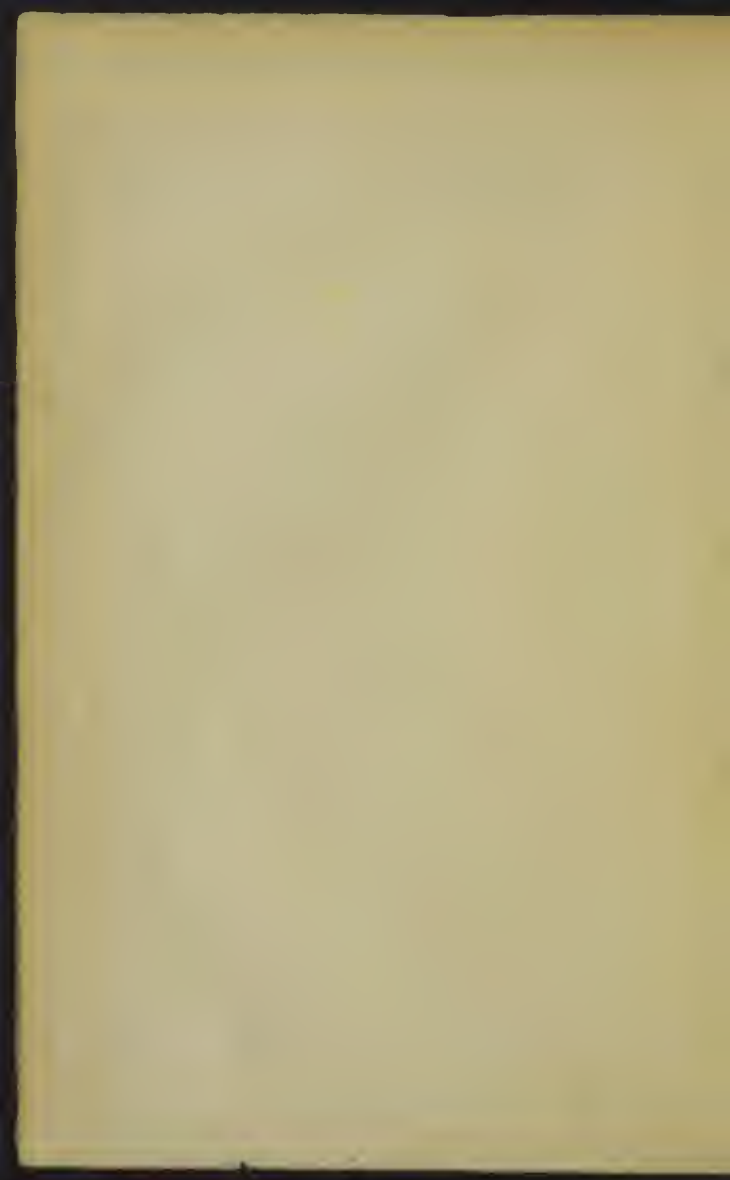




POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

Tom czterdziesty drugi.



SEMKO.

(Czasy bezkrólewia po Ludwiku).

(Jagiełło i Jadwiga).

PRZEZ

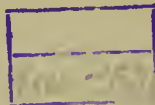
J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

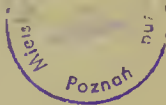
WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1890.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Октября 1889 года.



Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Nowolipki Nr 9.

I.

Jesienią 1382 roku, w początkach października, mało się jeszcze zbliżanie zimy czuć dawało. Ludzie ztąd różne wyciągali wnioski, twierdzili niektórzy, że mrozy i śniegi przyjdą nierychło. A że i ptactwo nie wszystkie jeszcze ku południowi odleciało, iune też znaki przedłużone ciepło zapowiadały, na polach się jeszcze wieśniacy z radełkami około roli krzątali i bydelko z owcami szło na paszę, bo trawa zieleniała jakby wiosną, chociaż tak zdrową i posilną jak wiosenna nie była.

Na Wiśle tuż pod Płockiem, ryhacy i przekupnie, co różny towar spuszczały z wodą, korzystały z wezbranej jesiennym przyborem rzeki. Z wysokiego brzegu, od zamku widzieć było można tu i ówdzie przesuwające się czółna, łodzie i większe statki.

Wieczór nadchodził i słońce jaskrawo ozlacało obłoki, jakby nazajutrz na wiatr zanieść się miało, gdy duża łódź, którą dwóch ludzi pędziło, ukazała się w dali i kołując a zbliżając zwolna ku brzegom, szukała miejsca dla przystani.

Szła ona pod wodę, dwaj powożący, to wiosłami, to długimi drągami, gdzie dna mogli dostać, praco-

wali silnie, aby się oprzeć prądowi. Zuali oni widać dobrze Wisłę swą, wiedzieli, gdzie były głębie a mierzalne, bo mieniali wiosła i długie żerdzie z wielką pewnością, zawczasu. Ubiór ich wskazywał też, że tutejsi być musieli. Duża ich łódź pełną była niewodów i rybołowskich przyborów, w cebrzyku pluskały złapane płocie i małe szczupaczki. Oprócz dwu przewoźników nie widać było nikogo.

Zbliżka dopiero dostrzedz można było, na dnie garść słomy i wiszaru, na uim sukienną pościółkę, a w kącie pod ławą skurzonego coś, szarą osłoniętego opończą.

Człek ten w łódce jakby schowany i ukryty, zdawał się spać czy odpoczywać, głowę miał osłoniętą, twarz zakrytą, niewidoczną. Nieporuszał się długo. Ludzie w milczeniu sterujący ku brzegowi, spoglądali nań niekiedy, między sobą coś szepcząc pocichu, jak gdyby budzić go nie chcieli. Nie spał on wszakże i szara opończa, cokolwiek uchylona, dozwalała mu widzieć gdzie się znajdował.

Łódź miała już przybijać nieopodal od zamku, którego mury na górze i krzyż na Tumie widać było, gdy leżący na pokładzie, całkiem opończę odrzucił, głowę uniósł trochę i począł się przygotowywać do wylądowania.

Z pod kaptura, który odrzucił, widzieć się dawała blada twarz jego i głowa okryta czapeczką futrem obramowaną z uszami. Wyszarzana suknia spodnia ciemnej barwy, z sukna grubego, krojem swym zdawała się oznaczać, że podróżny do duchownego należał stanu. Nosili ją naówczas i tacy, co żadnych święceń nie mając, do nich się przysposabiali.

Jeżeli klechę w istocie był leżący w łodzi, to chyba jednym z tych ubogich, wędrownych, którzy sukni księżej używali, by w niej po dworach, miastach i klasztorach łatwiej znaleźć gościnę, włóczyć się i żebrać.

Znajdowało się naówczas klechów nie mało, han-

dłużących przepisywanemi modlitewkami, ewangeliami, zaklęciami od chorób, którzy też czytali błogosławieństwa, święcili domy itp.

Z twarzy naszego wędrowca trudno było czegoś się domysleć, a nawet wiek jego rozpoznać. Starym nie był, ale i na młodzieniaszka nie wyglądał. Zarostu wcale prawie nie miał, tylko gdzieniegdzie rzadki włos krótki, na tej wyschłej roli biednie porastający. Żółta skóra okrywała mu policzki, jakby ualane i zbrzekłe, a fizjognomia, mimo fałdów, co ją pokrywały, więcej wyżyta niż zestarzała, należała do tych, co się z wiekiem zmieniają mało. Dziećmi tacy ludzie wydają się starzy, podżywszy, zdają się młodzi. Rysy miały babią, jakąś miękkość, wyraz dziki, szyderski i niemily.

Oczu dwoje ciemnych, małych, ostro patrzących, biegających żywo i niespokojnie, skierowanych teraz na wodę, wlepione w nią nieruchomie, oznaczały, że się zadumał głęboko... Z nałogu poruszały się one, nie widząc nic i do jednego punktu wracały machinalnie.

Ręką jedną sparłszy się na rozpostartej opończy, drugą trzymał na kolanach. Obie one z palcami długimi, suchymi, wybielałe, nigdy pewno nie pracowały, bo ani skóra na nich zgrubieć, ni opalić się nie miała czasu. Wypieszczone były jak niewieście.

Żółtawa powłoka twarzy okrywała je także. Włos z pod czapeczki wymykający się, niebujny, jakiejś niepewnej barwy, ciemnawy, w skąpych kosmykach spadał na skroń i szyję.

Z białą tą twarzą i rękami, strój się niezbyt godził, bo był zmięty, wyszarzany i ubogi. Sukno w wielu miejscach barwę postradawszy, świeciło niemi białawemi. Długie poły sutanny nie okrywały nóg, na których proste buty z mało co zadartemi nosami, bez ozdób i oków, jakie wówczas noszono, zrudziały były i popękane.

Skórzany pasek obejmował mu biodra, a przy nim

z jednej strony liche, mały mieczyk podróżny w prostej pochwie ze skóry zbrukanej, z drugiej wisiała tobołka na guzy spięta, jakiej pisarze w podróży zazwyczaj.

Zaczynało już się zciemniać, gdy łódź nosem się wryła w piasek na brzegu, zachwiała się i stanęła. Z tyłu stojący wioślarz ogromnym łańcuchem wepchnął ją tak na ląd, aby suchą nogą wysiąść z niej było można.

Wstrząśnięcie to nagle, które myśli podróżnego przerwało, zmusiło go też zaraz powstać na nogi. Chwycił opończę, otrzepując ją z zielska i słomy, które do niej przylegały, poprawił czapki, ociągnął pas, obejrzał się na dno statku, jakby tam szukał czego, i z ludźmi coś poszeptawszy począł się na brzeg wybierać.

Przewoźnicy spoglądali nań na wpół z poszanowaniem jakimś, wpół z pewną obawą.

Gdy wstał, okazał się niepoczesną, chuderlawą figurką, której ręce i nogi długie, laskowate, główka śpiczasta na szyi cienkiej osadzona, trochę przegarbione plecy osobliwą powierzchowność nadawały.

Twarz zadumana, rozbudziła się gdy powstał, oczy zaczęły biegać żywiej, ale trudno było znowu odgadnąć czy się z przybycia radował, smucił lub niepokoił niem.

Wyskoczył z łodzi na brzeg dosyć zręcznie, a że zapewne tu nie po raz pierwszy gościł, oczyma rzucawszy w prawo i lewo, dopatrzył zaraz nieopodal ścieżynę, która pomiędzy płotami dwóch ogrodów pięła się w górę.

Niepotrzebował przewodnika i niełatwo by go tu znalazł w tej porze.

Ogrody stały puste, bo z nich rzepe i inne zieleńce powykopano, badyle tylko suche, połamane tyczki, powyrywane zielsko się gdzieniegdzie wałało.

Drożyna do rzeki przez rybaków wydeptana, wprost

prawie na przedmieście prowadziła, pod murami obwodowemi rozsiadła.

A że na podzameczu zatrzymywać się nie myślał przychodzić, dostawszy się na górę, między słomą i dranicami kryte chałupy, dalej wązkiemi i krętymi nliczkami musiał przedzierać się dobry kawał, nim do miejskiej dostał się bramy.

Stała ona jeszcze otworem, straży nawet przy niej nie było; tylko co bydło z paszy przypędzili pastusi i w ulicy, która od miejskich wrót do zamku wiodła, widać było jeszcze spóźnione krowy, powolnym krokiem do znajomych sobie domostw dążące. Niektóre u wrót stały i rycząc wpuszczenia się dopominały.

W ulicy oprócz pastuszków, bydła, dziewcząt, które z wiadrami pełnemi przesuwaly się z jednych podwórków na drugie—mało widać było ludzi.

Miasto, chociaż grubym murem z basztami obwiedzione, zdawało pokaźne, wewnątrz nie bardzo się czyści i ozdobnie przedstawiało. Jesienne kałuże stały w pośrodku drogi, którą wozy porły głęboko, gdzieś niedaleko od domostw, w części już trawą porośnię, okazywały, że o wywożeniu ich nikt nie myślał, jeżeli deszcze nie sprzątnęły. Bokami tu i owdzie leżały potrzaskane kładki, aby czasu błota suchą nogą z chaty do chaty przebrnąć można.

Dworki ku ulicy zwrócone lub głębiej stojące w podwórkach, płotami od niej oddzielone, z grubych bierwion sosnowych pobudowane, z dachami wysokimi, wszystkie do siebie podobne, niczem się nie odznaczały od chałup włościańskich, chyba trochę większymi rozmiarami.

Nad niektórymi z nich dym się już podnosił, parując przez nieszczelne pokrycie i szparami wyciskając się do koła.

Mało z nich było gliną polepionych, o cokolwiek czystszych lub w dymniki opatrzonych.

Tu i owdzie zamiast ściany domu, wychylał się ogródek z drzewami, na których jeszcze resztką liści pożółkłych się trzymały; sterczały wrota kryte z furta lub tyn i ostrokoły. Nad niemi żórawie studnie występowały, ciemno malując się na niebie, jeszcze zorzą wieczorną rozjaśnionem.

Życie przy schyłku dnia całe się już do wnętrza domu tuliło, których pouchylane okienniczki światło i dym czerwony widzieć dawały. Po nich snuły się cienie niewieście, to w namitkach na głowie, to w wieńcach i kosach.

Podróżny pod chatami się przesuwając, kroczył długo większą ulicą, aż ku rynkowi i targowicy, do której nie doszedłszy, zwrócił na prawo między ciaśniejsze opłotki i ogrody, i tu do wrót wysokich dopadłszy, chwilę się im przypatrywał.

Wiele im podobnych pominął, rozglądał się więc czy nie omylił. Większa brama wjazdowa stała już zaparta, dla pieszych była furta osobna na parę wschodów podniesiona. I tę już podróżny znalazł zamkniętą, tak, że do niej kołatać musiał.

Nierychło kroki w podwórzu słyszeć się dały, zasuwa w furcie podniosła ostrożnie—i otworzono ją, zobaczywszy przychodnia. Stara kobieta w okopconym od dymu zawiciu na głowie, milcząc, skłoniła się nieco gościowi, który żywo ją pominąwszy, szedł ku domowi w głębi stojącemu.

Porządniejszym on był i czystszy od innych wielu, okna miał nieco większe i w części zaszklone, a do budynku głównego przytykał rodzaj kuźni, teraz już zamkniętej. W progu domu stał opasły mężczyzna, w opończy i skórzanym pod nią fartuchu, wyglądający ciekawie, kto tak późno się do niego zgłaszał.

Mężczyzna był lat średnich, twarzy rumianej, okrągłej, z brwiami grubemi, z usty szerokimi, opa-

sły, zażywny i śmiało na świat patrzący, jakby mu na nim dobrze było.

Spostrzegłszy nadchodzącego, uśmiechnął się wesoło, i ręką go witać zaczął, na co gość odpowiedział znakiem porozumienia i nie drożąc się zbytnio, ani powitawszy go nawet, wszedł zaraz do środka.

Izba, do której przez sień się dostali, musiała być gościnna, bo w niej, oprócz stołów, szaf, ław i ogniska, nic więcej nie było. Na policach kilku, na których naczynia różne ustawiono, przeważały miedziane, bo gospodarz z powołania był kotlarzem i sporządzał je do dworów i kościołów. Niektóre z nich całe misterne, wyobrażały dziwaczne zwierzęta z dziobami i paszczami do nalewania służącymi. Podłoga była z grubych dyków ułożona, co naówczas prawie się za zbytek uważało, gdyż w większej części domostw tok ubity i piaskiem posypyany ją zastępował.

Gdy podróżny a opasły gospodarz drzwi za nim zamknął, rzucił z siebie grubą opończę, i jeszcze suchszym a chudszy się wydał w czarnej sutannie która go okrywała.

Nie przemówiwszy słowa, przeciągnął się, strząśł, i obejrzawszy do koła, dopiero zcichą do gospodarza po niemiecku zaszwargotał.

Z pewnem poszanowaniem obchodził się z nim kotlarz—i nalegać nawet rozmowę nie śmiał. Po chwili namysłu zdjął mały kubek z półki, począł go ocierać wiszącym przy nim ręcznikiem, poszedł do ałkierza i wyniósł pod pachą beczułkę, z której go napełnił.

— Napijcie się—rzekł—po podróży to zdrowo.—Niech Bóg szczęści... a jak przybyliście, ładem?

Gość ramiona podniósł.

— Gdzież tam, na czólnie, wodą...

— Tem piśniej się rozgrzać potrzeba, bo teraz na wodzie chłód do kości przejmujący.

Przyjął kubek ofiarowany przybyły, ale drugą

ręką wskazał na zrzuconą oponę, która go od zimna chroniła.

— Zkąd jedziecie? Wolno zapytać? — zagadnął gospodarz, w oczy patrząc pijącemu.

Zamiast odpowiedzi, klecha pokazał w stronę, w którą Wisła płynęła. Rozumieli się widać, bo otyły gospodarz nie pytał więcej, odebrał opróżniony kubek i nałał go po raz wtóry, ale klecha nie pijąc na stole postawił.

Zapach wina mocny rozszedł się po izbie. Gość przystąpił bliżej ku ognisku, które było trochę przygasło. Zacierał ręce, dumał, jakby się gotował do rozmowy, na którą kotlarz czekał niecierpliwie.

— Książę wasz doma? — odezwał się podnosząc głowę.

— Był tych dni około Rawy na łowach — odpowiedział otyły — ale powrócić pewnie musiał, lub tylko co go nie widać.

— Co u was słychać? — bystro spozierając począł klecha.

— Cicho dotąd, nowego tak bardzo niema nic. Młodemu nudno na pustym gnieździe, choć koło niego zawsze kupy ludzi dworują z Mazurów i z Wielkopolski... Po ojcu co się zostało, na sokoły, psy i konie i na druhów się rozeszło... Grosza podobno skąpo, a bez niego życie niemiłe.

— Czemże się on zaprzęta?

— Łowami, no, i temi co mu dworują, albo to wy nie wiecie — mówił kotlarz. — Jak go ojciec wychował, takim wyrósł.

Inni książęta, ot, niechaj na przykład Szlązcy, wyglądają zupełnie jak nasi Niemcy, strojno, gładko, kochają się w sukniach pięknych, w śpiewie, w muzyce, w igrzyskach rycerskich, po kilka języków umieją. Tego ojciec trzymał przy sobie, między grubemi ludźmi, nie puszczał w świat, bał się z niego zrobić Niemca, jak powiadał, a wyrósł to na takiego dzi-

kiego szlachcica jak inni, i z niemi też mu najmilsza zabawa...

Prawda, lubi i on wystąpić, ubrać się, ale tak jak tu z wieków bywało...

Ruszył ramionami kotlarz.

— I nie zachciwa mu się to nic więcej nad lowy po lasach?—zapytał gość.

Kto go wie?—odparł gospodarz.—Z ojca to oni mają, że się na niebezpieczne sprawy porywać nie chcą, a i siły nie potemu. Janusz Czerski szczególnie radby ze wszystkimi w zgodzie żyć, aby jego w pokoju zostawiono. Gdyby nie to, ostalyby się Mazury całe, bo nad granicami raz w raz gore.

Klecha głową pokręcał.

— Z tym młodszym, co go tak szlachta bardzo kocha, bo do niej jest podobny, zostać to tak nie może—odezwał się.

— Coś się tu już podobno rusza—dodał ciszej—i jam po to przybył ażeby się dowiedzieć. Słuchaj Pelcz, maszli kogo, poślij pod zamek, aby mi się dopytał czy Semko powrócił z Rawy. Posłuszny kotlarz natychmiast pośpieszył do sieni, zawołał głośno, dał rozkaz i bosi chłopak przez schody, na wprost, wyrwał się ku zamkowi. Zciemniało tymczasem dobrze, i stara sluga zabrukana, która wrota otwierała, weszła słól nakryć, a tuż za nią w progu zjawili się młode dziewczę, dość ładne, z minką bardzo zalotną, przystrojone do gościa, które zobaczywszy, kotlarz się zmarszczył. Była to Anchen, córka jego, na którą gorące, pożądlive oczy skierował klecha, ręką jej śląc powitanie.

Dziewczę się mocno zarumieniło, chciało pozostać, miało ochotę zabawić, ale Pelcz tak się krzywił i zżył, iż wkrótce odejść musiało.

Tem grzeczniej potem, płacąc za to, kotlarz począł sam posługiwać klesze, gdy mu jedzenie przywieszono.

— Pożywajcie, co Bóg dał—rzekł do niego—nie

wyda się wam smaczną stawa nasza tutejsza, bo tu niema ani z czego, ani komu zwarzyć po ludzku. Póki żyła nieboszczka, wszystko było inaczej, a Anchen do kuchni szkoda.

— O mnie się nie frasujcie—odezwał się zajadając chciwie klecha — mnie wszystko jedno czem się nakarmię, byłem głodny nie był.

Sam nie siadając, Pelcz stał przy stole i patrzył, czekał, nalewał, podsuwał, nie rychło ośmielając się na ową rozmowę.

— A u naszych panów co słychać?

Klecha mruczał jedząc.

— Cóż ma być zawsze jedno. Wojna i wojna, bez niej by życia nie było. Jak niema kogo bić, trzeba myśleć, żeby się z czego spór zrobił... Gdy goście przyjadą mało ich stołem przyjmować, trzeba, żeby mieli pogan, na którychby zapolowali. Litwa na to dobra, że tam nim się jedna skończy wyprawa, do drugiej zawsze już jest przyczyna.

— O terażniejszym Mistrzu mówią, że on sam podobno do wypraw nie tak jest skory?—mówił Pelcz.

— Ma on co robić bez tego — ciągnął dalej Klecha—a wyręczyć się jest kim. Wie on lepiej, co mu przystało. Kraj nie mały do rządzenia i zagospodarowywania; toż to monarcha niemal jest, taką ma siłę i władzę. Na żołnierzach i wodzach mu nie zbywa. Rycerstwo płynie z całego świata, a jakie! to widzieć potrzeba! !

— Ale co ono kosztuje!—syknął Pelcz. Goście to drodzy, karmić ich trzeba, poić i to nielada czem, a w końcu i obdarzyć po królewsku.

— Nie bójcie się, na wszystko stanie!—rozśmiał się klecha.

Pelcz dał znak pokornego przyzwolenia, a że kubek stał próżny, nalał go.

— Z Litwą, slysze—począł znowu — pono do jakiegoś przyjdzie końca. Powiadają, że książęta ich przycisnąć, chcą się chrzcić wszyscy, a kraj gotowi

oddać w opiekę panom naszym. Z Polakami trudniej, bo to już niby chrześcianie są, a z niemi coraz się trzeba o jaki kawał ziemi ujadać.

— Z niemi!—wtrącił klecha.—Eh! pójdzie łatwiej niż z Litwą, byle się Zygmunt Luksemburczyk utrzymał, toć nasz!—a z nim zrobią, co zechcą.

— A jakżeby on znowu miał się nie utrzymać—mówił Pelcz, — siłę ma wielką, Węgrów, Czechów. Niemcy pomogą. Chcą go polacy czy nie, a będą musieli przyjąć.

Klecha nic na to nie odpowiadając, ocierał już usta, gdy chłopiec zjawił się w progu i nie idąc dalej, zawołał głosem ochryplym.

— Wrócił Semko.

Wiadomość ta wyjaśniła klesze twarz — chłopiec zniknął.

— Do zamku dziś już nie pora — odezwał się — każcie mi gdzie posłać, choćby kul słomy, abym się przespał do rana.

Opasły Pelcz poszedł żywo do ogniska, zapalił przygotowane łuczywo i niosąc je w ręku, wprowadził podróżnego do sąsiedniego alkierza, pokazując mu łoże przygotowane, szerokie, wygodne, na którem we dwu przespać się mogli.

— U mnie dla was gospoda zawsze gotowa — rzekł—i dla tych, co od naszych panów przybywają. Napijcie się jeszcze, aby sen przyszedł prędko, kładnijcie z Bogiem i odpoczywajcie.

Miał może ochotę Pelcz dłuższą prowadzić rozmowę z gościem, aby się po niego coś więcej o panach swoich dowiedzieć, ale klech przeraźliwie ziewał, opończy swą z ławy wziął i zaraz szedł na łoże, na którem się wygodnie do snu umieścił.

Pelcz pozostawszy na nogach, stąpał na palcach ostrożnie, ażeby snu mu nie przerwać.

Nazajutrz ranek przy pogodzie, szronem jesien-
nym pokrył dachy i powietrze znacznie ochłodziło. Ale słońce wschodziło jasne, dzień się obiecywał piękny.

O wczesnej godzinie polewka grzana już była dla klechy gotowa, który kamiennym snem całą noc na jednym boku przespawszy, zerwał się, gdy posłyszał krzątającego gospodarza.

Przez podniesione w pierwszej izbie u okien kłapy, jasne promienie słońca wpadały.

— Byłem się na zamek nie opóźnił!—zawołał przebudzony—bo księżę gotów gdzie wyruszyć na łowy. Dzieńby był stracony.

Pośpiesznie się zawiął z umywaniem i polewką, a choć, jak powiadał, do księcia się wybierał, stroju nie odmienił. Taż sama suknia wyszarzała i pomięta służyła mu znowu. Opończę tylko ciężką u gospodarza zostawiwszy, któremu coś szepnął na ucho, choć ranek był chłodny, w sutannie jednej z dworku wyszedł.

Po drodze, wyglądającą przeze drzwi Anchen, pozdrowił od ust całusem i śpiesznie ciągnął na zamek, dopóki w ulicę nie wszedł. Tu zwolnił kroku. Oczywiście zaczął rzucać na wszystkie strony, śledząc pilno, co mu się nawinęło ludzi, wozy, dwory, ruch koło nich, przechodniów i po budach przy oknach siedzących przekupniów.

Nie jego uwagi nie uchodziło, ani konie do wody prowadzone, ani czeladź zamkowa, która się po mieście uwijała; ani nawoływania przejeżdżających zbrojnych...

A choć do kościołów w Tumie i u Benedyktynów na msze właśnie dzwoniło, a suknia jego powinna go tam była naprzód zwrócić, prosto zmierzał ku zamkowi.

Tu, mimo wczesnej godziny, widać było ruch dość żywy i przytomność księcia czuć się dawała. We wrotach stała straż dobrze, ale ze staroświecka uzbrojona, w pierwszym podwórzu konie opatrywano, służy i dworaków różnie poodziewanych, kręciło się siła.

W drugim dziedzińcu, gdzie stały izby książęce, gawiedzi wszelakiej więcej jeszcze było. Na wcho-

dzącego klechę mało zważał, ale on z wolna posuwając się ku głównemu wnijściu oglądał się, stawał i bacznie rozpatrywał.

Tak się dostał do wielkich drzwi otwartych, które z pod słupów do sieni prowadziły. Wielka sień ludzi i gwarn pełną była. Czeladź miejscowa i gościnna zobaczywszy ubogiego klechę, nie zdziwiła się ale go i nie nszanowała.

Była to właśnie godzina rannego obiadu, który wówczas, za ledwie wstawszy pożywano. Zatrzymawszy się tu klecha, mógł się napawać wonią niesionych mis, które silnie korzennymi zaprawami czuć było... Do środka go nikt nie prosił, a on też się nie napierał.

Popychano go, na co się nie skarżył, nastawiając uszu i oczu.

Byłby tak może dłużej tu pozostał na przesmyku, gdyby poważny z laską w ręku mężczyzna, wyszedłszy z komnat książęcych, nie zobaczył go, i nie zagadnął.

Był to marszałek książęcy, którego Żebro zwano, jeszcze z czasów starego Ziemowita, będący na dworze. Przystąpił do niego z wolna. Pokornie, z przesadzoną uniżonością pokłonił mu się klecha.

— Jestem skryptorem—rzekł—czasem ksiądz kanclerz dawał mi jaką robotę...

— Jak was zowią? z kąd jesteście? — zapytał Żebro, patrząc na wytartą sutannę.

— Z Poznania jestem, klecha wędrowny — jąkał się nieco przybyły. Zowią mnie Bobrkiem. Po pańskich dworach, po plebaniach, gdzie albo czasem co przeczytać lub napisać potrzeba, służę... Ks. kanclerz mnie zna trochę.

Żebro popatrzał mu w oczy.

— Ono to dobrze—rzekł—ale u nas nie zbywa na skryptach: dwa klasztory mamy pod bokiem.

Pokłonił się Bobrek.

— Nie odpychajcie biednego klechy — rzekł pokornie.

Marszałek pomyślawszy, na drzwi mu ukazał które właśnie służba otwierała, misy jedne niosąc drugie opróżnione wynosząc i liżąc po drodze...

Izba, do której Bobrek wsunął się bardziej niż wszedł, obszerną była dosyć, sklepioną i kilką głęboko w murze osadzonemi oknami oświetloną.

W jednym jej końcu stół był zastawiony właśnie, przy którego jednym końcu na wysłanym krześle siedział młody Semko czyli Ziemowit, ksiązę Mazowiecki.

Dalej po obu stronach widać było osób kilkanaście, w większej części poubieranych po staremu, z prosta i niewykwinicie, szlachtę mazowiecką i wielkopolską, i starych dworzan a urzędników książęcych.

Głosy wesołe, podniesione, niemal poufale słyszeć się dawały, rozlegając po sali. Ci co się nie śmieli, do śmiechu pobudzali.

Dwóch tylko poważniejszych biesiadników, bliżej księcia siedzących, twarze były zasepione. Jednym z nich był mąż rycerskiego oblicza, pięknej twarzy bliznami kilką przeciętej, z włosiem już popruszonym siwizną. Odziany był w kaftan skórzany, wyszywany wzorzysto, ale już dobrze wysłużony. Ten słuchał rozprawiających głośno i głową tylko potrzasał.

Drugi był duchowny średnich lat, z łańcuchem na szyi, twarzy rysów pospolitych lecz myślącej, jasnego wejrzenia... Ten także do wrzawliwej nie miewał się rozmowy...

Ksiązę naprzeciw rozparty w swem krześle, był zaledwie rozkwitającym młodzieńcem, choć z obyczajem tamtych wieków, gdy piętnastoletni już na wojnę chadzali, mógł się za dojrzałego uważać.

Piękną, zdrowiem jaśniejącą twarz jego, opaloną nieco, okalał bujny włos długi, spadający na ramiona.

Bródka i wąs, zaledwie się wysypujące, nie tknięte jeszcze były żelazem. Czarne oko żywe, usta dumne

a pańskie, rysy regularne, cera świeżości pełna, dawały mu prawdziwie rycerskie i pańskie oblicze, ale w postawie, ruchach, w twarzy nawet było razem coś rubasznego i prostaczego.

Tej ogłady rycerskiej, jaką dawały obyczaje zachodnie, już zniewieściałe trochę i pieszczone, nie było w nim śladu. Prócz tego wyraz młodzieńczej twarzy nie był wcale łagodnym. Szczególniej brwi, oczy i usta, gdy je żywsze poruszyło uczucie, przybierały łatwo coś butnego i sierzdzego.

Ojcowska krew gorąca, odzywała się może w młodym mazowieckim księciu. Semko ubrany był wedle ówczesnej mody, lecz nie tak wytwornie, jak inni książęta, co się na francuski i niderlandzki obyczaj zapatrywali. Miał na sobie kaftan jedwabny, szyty jedwabiami, ale już dobrze przenoszony, na nim zwierzchnia suknia z rękawami długimi spuszcistemi, które po obu stronach krzesła się zwieszały aż do ziemi. Na nogach obcisłe spodnie, wchodziły w owe polsko-krakowskie buciki z nosami zakrzywionemi do góry, które cała Europa od nas przejęła.

Ujrawszy wchodzącego klechę, książę się zmarszczył — i zadumał, jakby go chciał sobie przypomnieć. Zwolna oblicze mu się wyjaśniło, skinął głową obojętnie, a jasnego oblicza duchowny siedzący za stołem, pozdrowił klechę ręką i rzekł doń żartobliwie.

Ave, frater.

Bobrek, ręce na piersiach położywszy, kłaniał się nisko.

— Zkądżeś to znowu do nas zabłądził? — zapytał duchowny.

— Włóczę się po świecie, jak zawsze — rzekł klecha. — Gdzie mnie niema? Jak ptak za żerem, biedny klecha musi wędrować!

— Jeżeli mu to wędrowanie do smaku — przerwał duchowny — boć, gdyby chciał miejsca zagrzać, łatwo-

by je znalazł, ale są ludzie jak ptacy, których natura do wędrówek zmusza.

— A! są może, inni, ale człekby chętnie siedział, gdyby było gdzie sięść—mówił Bobrek.—Po klasztorach obcych ludzi pełno, którzy nam chleb objadają, na prebendy i urzędy ehudy pacholek się nie dostanie.

Niektórzy z gości, nie przysłuchując się tej rozmowie, pomiędzy sobą szeptali, śmieli się i czem innem zajmowali, Semko niekiedy na klechę spoglądał.

— Z czegoż żyjesz? — zapytał jeden z panoszków.

— Z łaski Bożej i pańskiej — kornie odparł Bobrek. — Dla biedaka i pruszyzny ze stołów bogaczy spadające starczą. Napisze się błogosławieństwo, odmówi modł.tewkę, przeczyta ewangelję, odśpiewa pieśń pobożną. Nic jednemu przywilej drogi zechce się kazać przepisać dla dzieci... Zakłęcia od febry, od innych chorób do noszenia na piersiach, i inne świętości pisane, także się potrafi dostarczyć.

Wtem Semko przerwał nagle.

— Z Poznania jesteś? idziesz więc ztamtąd?

Bobrek się trochę zawahał z odpowiedzią.

— Trochę dawno jestem z Poznania — rzekł — człowiek się wlecze ode dworu do dworn, od miasteczka do miasteczka, nie jako cbce, ale jako może.

— A nie ograbili cię tam po drodze? — wtrącił wesół jeden ze szlachty.

Bobrek pokazał swą nbogą odzież i prózne kieszenie.

— Niema co ze mnie wziąć — odparł — chyba życie, a to się nikomu na nic nie zdało.

— Jeżeli teraz roboty żadnej nie masz — odezwał się duchowny w łańcuchu, za stołem siedzący — przyjdź do mnie, znajdę ci co do przepisywania. Ale lada gryzmołą mnie nie zbędziesz, bo ja lubię, żeby było malowano nie pisano, a litery na papierze muszą mi stać jak kwiatki na polu.

Klecha pokłonił się niskó, wykrzywiwszy usta.

Semko potroszę jedząc, trochę popijając, gwarząc ze szlachtą, przypatrywał się Bobrkowi, może w nadziei, że taki ubogi włóczęga, jak to było w obyczaju, pocznie błaznować, zabawiać ich i do śmiechu pobudzi. Ale Bobrek nie zdawał się być do tego przydatnym, z podelba tylko patrzył, ubierając się w taką pokorę i unizoność, że się aż żal robiło, patrząc na biedaka, a to upokorzenie sukienki zakonnej, liłość budziło.

Posłuchanie dane biedakowi, zdawało się ukończonym, przybysz nie miał już tu co robić, otrzymawszy od kanclerza obietnicę zajęcia, ale nie wyganiano go i on sam wynosić się nie myślał. Stał przy drzwiach do ściany się przytuliwszy.

Duchowny w łańcuchu, kanclerz książęcy, najwięcej się nim zajmował. Czuł w nim brata po piórze, bo w całym tem dosyć liczmem towarzystwie, ich dwu podobno tylko było co pisać i czytać umieli.

Bobrek byłby może musiał się wysunąć, choć mu się odchodzić nie chciało, gdyby w tejże chwili w dziedzińcu nie dały się słyszeć żywo nadbiegające konie, a wprawne ucho siedzących u stołu, chwyciło oprócz tententu koni, brzęk żelaza, zwiastujący przybycie ludzi zbrojnych.

Wszyscy ku drzwiom zwrócili wejrzenia ciekawe, zrobiło się cicho, a w sieni głos marszałka zwiastował czyjeś przybycie.

Jak zawsze, gdy coś na nim niespodziane czyniło wrażenie, Semko podniósł głowę i brwi mu się ściągnęły groźnie. Naówczas twarz jego piękna i młoda, tym co starego Ziemowita pamiętali, przypominała nieco oblicze jego chmurne i nasrożone.

Z głową ku drzwiom zwróconą, książę czekał na oznajmienie marszałka o przybyciu jakiegoś gościa, nie domyślając się kto to mógł być. Gość zresztą nie był tu rzadkim, bo szlachta się chętnie do niego zbiegała. Był on niemal jedynym z książąt krwi Piastów, z którym się swoim językiem rozmówić mogła.

Korzystając z tego, iż uwaga została odwróconą od jego biednej osóbk, klecha u drzwi stojący, odsunął się od nich nieco, a przylgnął do ściany w kącie tak, że go prawie widać nie było.

Nie ustępował jednak.

Głos marszałka zbliżał się do drzwi, otwarto półdwoje i w ramach ich ukazała się, jak cprawna w nie, śliczna postać, niby posąg rycerza. Mężczyzna był lat średnich, cały jak z żelaza wykuty, trzymający się prosto, wzrostu słusznego, odziany po podróżnemu a żołniersku.

Z głowy był nawet nie zdjął jeszcze błyszczącego hełmu, na którego wierzchu widać było na drutach rozpiętą białą chnstę, zawiązaną, i czerwono jakby krwi kroplami, poznaczoną.

Było to godło jego, stary Nałęcz... Nie był on tak dla oka przystrojony, jak wielu naówczas rycerzy dworaków i turniejowych szermierzy, którzy więcej się na podwórcach pańskich popisywali przed kobietami, niż w polu przed nieprzyjacielem.

Zbroja na nim nie była złocona ani szmelcowana, prosta, żelazna, ale zrobiona do miary, do kaftana, i leżała na nim jak ulana.

Wszystkie jej części, naramienniki, nagolenniki, napierśnik, przystawały do siebie, a rzemyków im w podróży nie popnszczono. Ogromny miecz na pasie rycerskim wisiał u boku, mały mieczyk miał pod ręką. Z obramowania żelazem wyglądała twarz z wąsami i krótką bródką, męzka, opalona, pełna, kraśna, z oczyma szczeremi a męznemi, które klamać nie umiały... Patrzyły śmiało i dumnie.

Zobaczywszy go książę, pozdrowił nie powstając z siedzenia, niektórzy z szlachciców siedzących przy stole podnosili się z ław i ręce wyciągnęli, wołając.

— Bartoszl Bartoszl!

On, hełm zdjawszy, szedł wprost do księcia.

— Miłościwy panie — rzekł — przebaczcie, że na jeżdżam jak tatarzyn... (obejrzał się do koła, jakby

chciał być pewnym, że obcych tu niema.—Wielka mnie tu pilna sprawa przygnała.

— Aleście mi wy miłym gościem zawsze — odezwał się Semko wesoło, uprzejmie patrząc na niego.— Jesteście w domu, w którym, spodziewam się, wojować z nikim nie będziecie, idźcież naprzód złożyć ciężką zbroję, i przybywajcie do nas...

Rycerz stał jeszcze, uśmiechając się do witających go panoszków.

— Tyle tylko, miłościwy panie—odparł—że z ramięm to żelazo zdejmę, i napowrót je zaraz znowu przyjdzie wdziać, bo—czasu omal! robota pilna!!

Odwrócił się i szedł, ale podrodze bracia szlachta, dłonie mu wyciągali, a zatrzymywali, spoglądając z poszanowaniem i miłością.

Ledwie się za nim drzwi zamknęły, biesiadnicy książęcy z wielką żywością rozprawiać zaczęli.

— Bartosz z Odolanowa, Bartosz z Koźmina — odzywało się ze wszystkich stron. — Bartosz kiedy przybywa, to nie darmo!!

Kancelarz tymczasem rozglądając się po sali, klechę w kącie zobaczył. Dał mu znak.

— Idźcie do mojej izby—rzekł—poczekajcie tam krzyżę, przyjdę niebawem.

Nie chciało się wcale Bobrkowi ztąd wychodzić, właśnie teraz, gdy się spodziewał posłyszeć coś ciekawego. poskrobał się po głowie, skłonił niezgrabnie, skrzywił nsta i rad nie rad wysunął się za drzwi.

W sieniach trochę się namyśliwszy, zawsze z tą pokorą, która, wedle przysłowia, ma przebijać niebiosą, ale na ziemi najczęściej wzgardę obudza i lekceważenie, Bobrek dla zyskania na czasie, n najgłupszego z czeladzi począł pytać o izbę kancelarza.

Pokazano mu ją natychmiast, tuż około zamkowego kościoła. Klecha poszedł w tę stronę, lecz czy przez niepohamowaną ciekawość, czy z nałogu, zatrzymał się po drodze, około ludzi i koni przybyłych

z panem Bartoszem z Odolanowa, który przyjechał się księciu pokłonić.

Suknia jego duchowna, choć wytarta, wzbudzała zawsze trochę uszanowania, pacholkiwie tak butno jak sam pan wyglądający, na zapytanie zkąd przybyli, odpowiedzieli, że z pod Kalisza jechali, z panem Bartoszem z Odolanowa.

Imię to samo dosyć mówiło.

Na Kujawach i w Wielkiej Polsce, imię starosty, pana na Odolanowie, Więcborku, Koźminie, Koźminku, Niebożycach i Złotej było tak powszechnie znane, iż nie potrzebowało żadnego objaśnienia.

Mąż to był dzielności wielkiej, umysłu żywego, niezem nie ustraszonej odwagi, ducha niespokojnego i przedsiębiorczego, a przytem taki miłośnik spraw rycerskich, że gdy mu ich zabrakło doma, gotów był szukać i zagranicą. Potwarzą to może było, ale rozpowiadano, że tęskniąc za turniejami i zabawami rycerskimi, czasami ich nawet u Krzyżaków szukał, a oni, co polskiego imienia i człowieka znosić nie mogli, pana Bartosza z Więcborka szanowali i wychwalali, powiadając, że teutońskim, ani żadnym z rycerzy zachodu nie ustępował.

Ale znano go też jako dumnego i nieunoszonego pana, z którym po dobremn, można było uczynić wszystko, przemocą zaś i siłą—nie, bo nad sobą nie cierpiał nikogo.

W szyku bojowym taki Bartosz stał za dziesięciu, bił się straszliwie, a gdy miecz swój obosieczny ujął w szerokie dłonie, gotów był nim człowieka przeciąć na poły. Z kopią w ręku, gdy nią tknął jeźdźca, nie było przykładu, aby się który w starciu na siodle ntrzymał.

On to był, co wyzwany na ostre przez Białego księcia, gdy się on poddać musiał, włócznią mu ramię strzaskał tak, że długo na nie leżeć musiał i już mu potem na zawsze od wejaczki ochota odpadła.

Dosyć więc było powiedzieć o Bartoszu z Odola-

nowa lub Koźmina, aby ludzie wiedzieli, że to zna-
czyło albo wojnę jakąś lub rycerskie zapasy.

Posłyszawszy to imię, kłecha się zadumał, bo i on
znał go i wiedział, że darmo czasu nie traci, a gdy
do Płocka przybył, coś zanadą wiozł ciężkiego.

Bobrek oczyma rzucił na dworzec książęcy i west-
chnął, żał mu było ztąd odchodzić, bo chudzina pod-
słuchiwać był bardzo ciekawy.

Nazad powracać tam zkąd go odprawiono, niepo-
dobna było, i, po krótkim namyśle, powłókł się ku
mieszkanin kanclerza.

Łatwo mu by je było znaleźć, choćby nie wiedział
o niem, bo właśnie, w takiejże wyszarzanej pół du-
chownej sukieneczynie, z krótko postrzyżoną głową,
z dużemi rękami z ciasnych rękawów wystającemi,
blady wyrostek, stał tu w progu i ziewał, to usta
zasłaniając dłonią, to robiąc znak krzyża świętego
przed niemi, aby szatana nie dopuścić do środka.

Był to, jak się łatwo domyślał, uczeń, amanuensis,
pisarzyna początkujący przy kanclerzu. Pozdrowił go
Bobrek tem oznajmieniem, że mu tu oczekiwać ka-
zano. Popatrzyli się na siebie oha, a że ława pod
ścianą była próżna i kot tylko drzemał na niej, sie-
dli razem.

Chłopiek miejscowy, na własnych śmieciach, czu-
jąc się śmiałym, choć starszego od siebie kłechę wę-
drownego, rozpytywać począł, zkąd po co i od kogo
tu przybył.

Bobrek tak mu się prawie wypowiadał, jak we
dworze, a dodał, dla rozproszenia obawy, iż długo
tu bawić nie myśli. Posądzał howiem chłopaka, że
nań może koso i niechętnie patrzeć, gdy się złęknie,
aby mu chleba nie odebrał.

Chłopczen rzeczywiście dopiero teraz się usta otwo-
rzyły swobodniej, i począł na rzucane pytania odpo-
wiadać ochoczo.

Bobrek okazał na tej indagaacyi niepospolity ta-
lent do wyciągania z człowieka co chciał. Marne słó-

weczko puszczał jak wędkę, na której końcu drgał robaczek, i za każdym razem z chłopca coś dobył.

Nietylko pana swojego kanclerza, musiał mu odmalować służka, ale i księcia Semka, i dwór jego, naostatek siebie samego i tych co tu kiedykolwiek gościli.

Rozmowa albo raczej wyciąganie na słowa szło tak ślicznie i gładko, że ten co się spowiadał, sam nie wiedział jak się wygadał, i co tylko miał gdzie schowanego, wydobył dla gościa.

Słuchając Bobrek nie spuszczał z oka podwórca, ani ludzi co po nim chodzili, nie uszło ucha jego żadne wołanie, żadne pornszenie około pańskiego dworu. Oczy biegały żywo i jak skoro się nieznana postać pokazała, o każdą poczynano się badanie.

— A to, kto?

Nazwisko usłyszawszy, wnet gadatliwe chłopię za język ciągnął, co ten ktoś robił?..

W końcu tej coraz poufalszej i więcej ożywionej gawędki, gdy kanclerz, przeciw wszelkiemu oczekiwaniu nie przybywał, spytał i oto chłopca, czy Bartosz z Odolanowa, który właśnie tu nadbiegł, częstym gościem w Płocku bywał.

— Dawniej to go tu słyhać nie było — odparł chłopak — a no, teraz już niemało razy przyjeżdżał.

— Książę go Inbi?

— Pewnie! Powiadają, że do spraw rycerskich mistrz to wielki, a księciu one miłe, bo się do nich urodził.

— I na łowy go pewnie zapraszać muszą, do Rawy, a może do Czerska i Warszawy? — wtrącił Bobrek.

Chłopiec głową potrząsał.

— O Czersku nie wiem nic — rzekł — do łowów innych książęta mają towarzyszków, a to człowiek do wojny. Prawią o nim, że jest jak te ryby, które w stojącej wodzie nie wyżyją... Jakby wojny nie stało, zrobiłby ją umyślnie.

— Śmiejąc się Bobrek poklepał go po ramieniu.

II.

Chociaż książę i goście jego już byli zjedli i obrusy ze stolów zdejmować miało, gdy przybył Bartosz z Odolanowa, kazano dla niego nowe misy przynosić, i wina, które aż z Torunia tu przywożono, więc też je Toruńskiem zwano. U krzyżaków bowiem, choć wojną żyli, teraz kupczenie wszyskiem coraz górę brało. Nie handlowali oni sami, ale pod ich boki i zasloną niemieckie przybłądy. Po miastach ich kupi wszelakiej było poddostatkiem, u nich we wszystko zamorskie najłatwiej się było zaopatrzyć, tak co do stroju, uzbrojenia, jak i co do gęby należało. Owe drogie naówczas pieprze indyjskie, imbiery, muskаты, ziarna rajske, przyprawy wszelkie, w których się lubowano, niemieccy kupcy i dla panów swych i dla tych co dobrze płacili, okrętami sprowadzali.

W Toruniu składy wina wielkie były i przednie, bo kızıżaka łąda czem poić nie było można, i goście co do nich przybywali z za świata, także do dobrego byli przywykli.

Stół na nowo zastawiony czekał na Bartosza, choć część szlachty ręce pomywszy rozchodzić się zaczęła po zamku.

Bartosz zbroję złożywszy, miecz odpasawszy, w kaptanie jednym, z małym tulichem tylko u pasa, wszedł napowrót, poklon czyniąc księciu.

Oprócz kilku mazurów w końcu stoła, pozostali przy księciu kanclerz i stary Wojewoda, Abram Socha.

Ten w wojskowych sprawach jak za starego Ziemowita, tak i teraz był prawą ręką, bo rozum i doświadczenie miał, a wierność dla swych panów wypróbowaną; Semkowi zaś lat jeszcze dwudziestu nie-

mającemu na tem zbywało właśnie, co hetman przynosił.

Choć szyszaka i zbroi pozbywszy każdy człowiek maleje, Bartosz w kaftanie jednym nie wydawał się ani szczuplejszym, ni mniej barczystym, jak był w pancerzu. Twarz, której teraz żelazo do koła nie bramało, odkryta cała, jeszcze była piękniejszą i dzielnego rycerza godną. Męstwo na niej wypisane stało, niechlubiące się z sobą, wprost z krwi, z rodu, obyczaju pochodzące, a tak jej przyrodzone, że nic piętna tego zetrzeć nie mogło, chyba niszcząc to piękne oblicze.

Książę Semko poufałe okazał Bartoszcwi miejsce nieopodal siebie, i sam mu nalał powitalny kubek.

— Prze zdrowie!

Nie dał się gość prosić, wypił duszkiem i wnet noża dobył, aby sobie chleba ukroić, bo głodnym był.

— Zkąd jedzicie? — zapytał Semko.

— Z domu i nie z domu — wahając się nieco i oglądając rzekł Bartosz, jakby chciał wiedzieć, kto go słucha. — Z dobrą albo złą myślą, z pokusą tu przybywam, usta mi ona piecze.

Widać było z powolnej mowy, że rycerz ten, któremu z żelazem łatwo się było obchodzić, słowem nie tak władał zgręzuie i sam się go obawiał. Po rycersku chciał może nagą i szczerą myśl rzucić od razu, a coś go wstrzymywało... Lękał się, aby tak zprosta objawiona, celu nie chybiła.

— Miłościwy panie — ciągnął dalej — to, co mnie tu przygnało i dla was nieobojętne. Mazowsze sobie samo zawsze Mazowszem, daj wam Boże uad niem panować szczęśliwie, ale Mazurów z nami Polakami wiąże węzeł stary i mocny. My też do was, a wy do nas należycie.

Piastów krew płynie w waszych żyłach.

Spojrzał, westchnął, i zuowu począł.. Szlachta, gdzie jaka była po kątach, zbliżyła się przysłuchiwać ciekawie.

— Królowi Loisowi, świeć panie nad grzeszną jego duszą, zmarło się w Tyrnawie na Węgrzech!!

Spodziewał się Bartosz, iż nowina ta wrażenie na wszystkich uczynić musi i powinna, ale nie przewidywał pewnie, iż Semka nią poruszy tak gwałtownie. Księżę porwał się z krzesła zrazu, o stół oparł, i krzyknął.

— Lois zmarł!!

Po izbie wszyscy powtarzali z trwogą jakąś.

— Król umarł!!

Semko jednak po krótkim namyśle, usiadł zadumany. Piękna twarz jego cała się nasrożyła, zmarszczyła i pofałdowała.

— Lois zmarł — szepnął raz jeszcze.

Kancelarz głowę spuścił, jak gdyby za nieboszczyka się modlił, Socha patrzył jak w tęczę na mówiącego, oczekując coś więcej.

— Wiecie o tem na pewno? — zapytał kancelarz głowę podnosząc.

— Przybyli gońce do Zygmunta, nikomu już to nie tajno. Została nam królowa tylko z dwiema córeczkami.

Popatrzał na Semka, który oczy trzymał spuszczone.

— Miłościwy panie—ciągnął powoli—Wielkopolska nasza Luksemburskiego młodzieniaszka sobie nie życzy; ani babskich rządów z faworytami i wielkorządcami. Mamy swoją krew, dawnych panów naszych. Szeroko ja mówić o tem, ani słów w jedwabie owijać nie umiem, z prosta więc rzekę, na was patrzą wszyscy, na was! Po należną wam spuściznę tylko rękę wyciągnąć, sama się wam Polska prosi!

Milczeli wszyscy jak przybici tą wielką otwartością Bartoszoną, ale z oczów Sechy wojewody widać było i przestach a niepokój jakiś. Marszczył się dziwnie, kancelarz też usta zacisnął, głowę potrząsał. Szlachta za Bartoszem stojąca, gorąco mu potakiwała.

Co się z Semkiem działo, zgadnąć było trudno.

Siedział ze wzrokiem w stół wlepionym, namarszczony srodze, to błędąc, to czerwieniąc, oczów podnieść nie śmiejąc, jakby się obawiał, że zdradzić go mogą.

Upłynęła tak chwila w milczeniu. Bartosz do tego, co tak otwarcie powiedział, nie dodawać nie śmiał, czekał jak ten łowiec, co strzałę puściwszy, patrzy, ażali zwierza ubił, czy skaleczył tylko.

Po bardzo długim namyśle, Semko począł głosem jakimś niepewnym.

— Loisa nie stało, ale Zygmunta już macie. Przecież go tam już słyszę i w Poznaniu i w Guieźnie, wszędzie jako prawowitego króla a pana przyjmowali, boście wprzód Maryę, jego przyszłą żonę, za panią sobie obrali, i na to przysięgali.

— Jako żywot!—wybuchnął Bartosz. Nasza Wielkopolska nigdy nie chciała kobiecych rządów znać, a co na niektórych siłą wymożono, zamknąwszy i głodem zmusiwszy, nas to przecie nie wiąże.

My teraz, więcej niż kiedykolwiek, Zygmunta zobaczywszy na oczy, znać nie chcemy. Strojny i dumny niemczaszek deptać nas myśli!

Ani my jego, ani on nas rozumie, my jemu obcy, on nam. Niechaj wraca zkad przybył.

Bartosz mówiąc rozognił się bardzo, i o jadłe zapomniawszy, które przed nim na misie stygło, mówił dalej coraz głos podnosząc.

— Królowna Marya... obiecana mu, ale nieposłubiona. Dziećmi były, gdy ją, tak samo jak drugą, Jadwigę, z Rakuzkim Wilhelmem poswatano. Ale żadne to śluby nie były, tylko pańskie uroczyste zrekowiny i kontrakty. Duchowni mówią, że takich ślubów dziecinnych kościoł nie zna.

Obejrzał się ku kanclerzowi, który po małym namyśle rzekł.

— Dekretalja ślubów między małoletniemi nie zna ją. Gdyby do prawego małżeństwa przychodzić miało, śluby powtórzyć pewnie potrzeba. Nie żaden to ślub,

gdy w pieluchach dzieci dla ziemskich widoków, bodaj do jednej kładną kolebki.

Gdy kanclerz to mówił, Semko oczy pilno w niego wlepiął, słuchając z uwagą wielką.

— Na tem niekoniec—odezwał się Bartosz.—Luksemburczyk obszedł się z nami, jakbyśmy tu nie ojczycami, nie rycerstwem byli, ale kumańskimi jego niewolnikami. Wiecie że tu, żywa dusza cierpieć nie może Domarata z Pierzchna, którego wielkorządcą zrobili, i jego prawej ręki, tego djabła krwawego, jak go zowią, Jana Płomieńczyka z Wieńca sędziego poznańskiego. Okrutnicy są oba, zboje, na życie i mienie nasze czyhający. Nie rządzą nami po bożemu, ale krew z nas piją.

Prosilili więc Luksemburczyka nasi raz. Weź nam z karku Domarata i Domaratowych. Odrzekł dumnie: Ten jest nad wami postawiony i słuchać go musicie: Nie wezmę go ztąd, a nieposłusznych, ukarzę!

Mało tego, biegła za nim szlachta nasza drugi raz, błagając i prosząc jeszcze: Domarata weź bo my pod nim i z nim żyć nie możemy... Gołowas się ofuknął na proszących i rzekł im przez swe sługi, że bunt podnoszą, że do ciemnicy każe hersztów na chleb i wodę sadzić. Bodaj nawet gardłem pogroził!

Tego nam już nadto było. Jako jeden człowiek, Wielkopolanie, okrom zauszników Domaratowych, krzyczą na głos: Luksemburczyka nie chcemy! Precz z nim, na Węgry!

Czuje on to już sam, że mu się tu ziemia z pod stóp usuwa.

Nie mamy pana, a kogoż weźmiemy? kogo?

Semko siedział zadumany ponuro.

— Córceście Loisowej przez swoich posłów przysięgali—rzekł cicho—podpisaliście to, pieczęcie wasze przywiesili. Wiarołomcami być nie możecie.

— Czyje tam pieczęcie wiszą u tej skóry — odezwał się Bartosz—ten niech sobie Maryę ma za swą królową, a my jej nie chcemy.

Gdyby nawet w ostatku krew Loisową po kądzie-
li przyszło poszanować, toć obie dziewczki bezślubne
są, choć je matka zaręczyła... Możemy swojego pa-
na z jedną z nich zenić!

Kancelerz spojrział bystro, lecz wnet się postrze-
głszy, oczy spuścił. Socha milczał nie dając znaku
przyzwolenia. Szlachta tylko Bartoszewi wtórowała
gorąco.

Semko milczał. W twarz jego patrząc myśleć by-
ło można, że go na męki brano, tak się ona mar-
szyła, zdradzając w duszy bój straszny. Porwał
mlecząc tak kubek ze stoła i jednym łykiem go wy-
chylił; chwycił potem mieczyk od pasa i obracać nim
począł, kręcić, aż z pochwę dobył i stół bez myśli
rzczał, jakby mu to ulgę czyniło, że drzewo psował
i ręce męczył.

Nikt odzywać się nie śmiał.

Bartosz wodził po nim oczyma, a choć opór znaj-
dował, nie zrozpaczył snadź, bo twarz zachował wiel-
ce spokojną.

Po długim przestanku, Semko, jakby sam do sie-
bie, mrużyć zaczął niewyraźnie.

— Ojcowskiej nauki, ja i brat Janusz jesteśmy
pamiętni. Mądry pan był, który się w cudze sprawy
nigdy nie męszał. Jemuśmy winni, że dotąd spo-
kojni na Mazurach naszych siedzimy. Ciągnęli go
niejeden raz, po śmierci Kaźmirzowej i za żywota.
Kusili Krzyżacy, nagabali inni, Szlężacy nasi powi-
nowaci nieraz się wplątać w swoje sprawy starali.
Nieboszczyk mawiał, że palca we drzwi kłaść nie
chce, aby mu go nie przyskrzypnięto. Bez wojny
odzyskał Płock, złożył hołd, gdy było potrzeba; myś-
my u siebie panami zostali i jesteśmy...

Ja też na mojem chcę poprzestać — dokończył
Semko.

Luksemburezyk będzie miał przeciwko sobie garść
szlachty wielkopolskiej, i tyle tego. Za nim i z nim
Krakowianie i Sandomierzanie i wszyscy tamci, w do-

datku i krzyżacy. Niemcy z niemcem łatwo się zważają.

Przeciwko tym wszystkim Semko jeden nie dokaże nic. Janusza brata i żelaznym drągiem nie podważyć. Siedzi on w swych lesiech, dobrze mu w nich, nie ruszy się.

Zechce się polskiej korony, można dla niej stracić mazowieckie księstwo.

Mówił, a choć to z młodych ust płynęło, kanclerz, wojewoda, nawet sam Bartosz, czuli, że rozumu tej mowie nie brakło.

Wprawdzie Socha stary, który nieraz toż samo słyszał z ust Ziemowita, ojca, wiedział, że rozum ten niecały jego był, że powtarzał, co się od nieboszczyka nauczył, co on mu za żywota nieustannie w głowę kładł, ale prawda prawdą była. Ciężko przychodziło zaprzeczyć temu, co się w oczy rzucało.

Odezwał się też kanclerz zaraz.

— Święte słowa, nie pożądam cudzego, abyś swego nie utracił.

A Socha dodał.

— Nie wabcie nas, nie kuście, miły starosto. Łaćna to rzecz zażądać wielkości, ale zdobyć ją trudno, gdy nieprzyjaciół tylu, i w razie złym nawet na druhów rachować nie można. Siła złego tylu na jednego. Ani skarb, ani ludzie nie starczą na to...

Bartosz się zasepił i zniecierpliwił razem.

— Mówcie zdrowił—rzekl...—Kto sokoła na czapkę nie puszcza z obawy, aby mu go dzióbem nie przebiła, ten czaplej kity u kółpaka nosić nie będzie. Dla tej Bolesławowskiej korony, a z niebios przyniesionego szczerbca, warto przecie coś stawić, bo i cesarska niemiecka korona, jaśniej od tej nie świeci.

— Ha! ha!—rozśmiał się gorzko Semko—korony tej już nam nie uwidzieć, gdyśmy ją raz z Gniezna wydali. Lois nieboszczyk uwiózł ją z sobą i zamknął w Budzie!

— E! poszlibyśmy po nią, rozechociwszy się i do

onej Budy—odparł żywo Bartosz—gdyby tylko było z kim i dla kogo.

Serca brak; z nimby i korony nie zabrakło!

Na to żartkie słowo, Semko zadrgał cały. Płomienie mu twarz oblały.

Spojrzał na Bartosza i wzrokiem go przeszył jak sztyltem. Brwi czarne zbiegły mu się na czole w jeden pas, i usta się trząść poczęły. Nożyk, który w rękę trzymał głęboko wrył się w drzewo i ogromną drzazgę odlupiał.

— Sercaby nie brak!—zawołał głosem wielkim — ale rozum też trzeba mieć!

Kanclerz i wojewoda księciu potakiwali, pochwalając; szlachta milczała ponuro.

Bartosz wziął się milcząc do chleba i zastygłej misy. Nikt się odzywać nie śmiał, bo widzieli już Semka zagniewanym, a choć młodym był, gdy krew w nim zagrała owa ojcowska, wiedzieli, że był gotów nożem, który drżał w rękach jego, w człowieka cisnąć.

Wszelako uspokoił się zaraz, ochłodził, napił się z próżnego już kubka, i zadumał.

— Domarata nie Domarata—rzekł powoli—przyjmiecie w końcu, kogo wam naznaczą. Wojna w domu a niepokoje uprzykrzą się... Pojednacie się z Zygmuntem i Maryą.

Gość głową tylko potrząsnął, nie zmieniła mu się twarz wcale, czuć było, że tego książącego wyrzeczenia nie uważał za ostatnie słowo.

— Ani ja, ani ci, co zemną trzymają—rzekł z wolna—przejednać się nie możemy. Dosyć już nam Krakowianie przewodzili. Sami przez się chcą czynić wszystko, a co im z nosa spadnie narzucają nam, jak tego Domarata. Srom dla nas Polan, z których ta korona wyszła i wielkość jej się narodziła. Nie, nie damy się w niewolę Krakowskiemu pankom, babom i gołowasom. Chcą wojny, to ją będą mieli.

Uderzył silną pięścią o stół i jeść poprzestał.

— Nie ja jeden to mówię, miłościwy panie — dodał — bo ja tam, choć też w sobie trochę siły czuję, nie rwałbym się z motyką na słońce... Stoją drudzy po za mną, a jest nas lik niemaly. Wicek z Kępy, wojewoda poznański, Sędziwoj Swidwa, ba i wszyscy Nałęczu ile ich jest, i przyjaciele i powinowaci. Nałęczu tu starsi są od Grzymały, której przodkowie niedawno z Niemiec swoją bramę miejską przynieśli. Nasza chusta krwawa tak tu stara jak chrześcijańska wiara; my tu ojczyce.

Zawołał to z wielką dumą Bartosz, i oczy mu pośpieźnie błysnęły.

Semko zadumany nic nie odpowiadał. Ponieważ gość usta już otarł i od stołu się odsunął, bo mu się jeść odechciało, przysunął się chłopak z misą, nalewką i ręcznikiem do umycia rąk.

Kancelarz poruszył się z za stoła, a Socha poszedł za jego przykładem; co widząc szlachta niosła się po cichu ku drzwiom. Smutne milczenie panowało w izbie, Semko roztargniony stół dalej nożem ciosał, co mogło znakiem być, że się nie uspokoił jeszcze.

Bartosz czas jakiś siedział poglądając po izbie i na księcia, aż znowu mówić zaczął.

Miłościwy książę, jechałem tu z nadzieją dobrą, powrócę bardzo markotny. Rychło mi trzeba nazad, gdy tu nie skóram nic. Grzymałowie nie śpią, a na moje gródki i wioski zęby wyszczerzają.

Usłyszawszy to książę, ruszył się z krzesła swego, i teraz dopiero zdziwiony postrzegł, jaką nim szkodę wyrządził bezmyślnie.

— Słuchaj, starosto—odezwał się głosem stłumionym, krok postępując ku niemu. — Dla miłości mej spocznijcie tu trochę; dzień mi ten dajcie... Chcę z wami rozmówić się, a i z sobą samym naradzić.

Spojrzał na stojącego starostę, który nic nie rzekłszy, skłonił się. Właśnie Socha miał odchodzić już i stał we drzwiach, do niego i kancelarza przyłączył się Bartosz, czując, że młody książę choć samowolay,

im się niekiedy powodować dawał. Chciał ich sobie pozyskać. Semko pozostał sam.

W podwórku stanawszy na krótką rozmowę, razem potem szli do dworca wojewodzińskiego, bo, choć Socha pospolicie na wsi mieszkał z rodziną, nieustannie w Płocku bywać zmuszony, miał tu swój dwór przy zamku, służbę i ludzi.

Kancelarz, zupełnie dla pilniejszej sprawy, zapomniawszy o Bobrku, któremu na siebie czekać kazał, razem z niemi szedł na dworzec wojewodziński.

Po drodze mało co mówili, bo się ludzi do koła dosyć kręciło, a i tak przybycie Bartosza do różnych domysłów pobudką być mogło.

Jeżeli się nie czynić nie miało, nie wypadało okazywać ani nawet zamiaru, a gdyby się ważyło przedsiębrać sprawę taką, do czasu też milczenie zachować należało.

Socha szedł tak zadumany w sobie i pogrążony, jak kancelarz, z którego twarzy również ranny spokój i pogoda zniknęły. Bartosz zasępiony był trochę, ale mu to dzielności nie odjęło. Znać było po nim, że on od swojego zamiaru nie odstąpi, a co raz zamyslił, dokona.

W wojewodzińskim dworcu, choć u możnego pana, jak na całych Mazurach, zbytku znaleźć nie było można. Tu dłużej się zachowywał wszelki obyczaj stary, sprzęt pierwotny i ta kozuchowa prostota, co na glinie pospolitej, drewnianą łyżką jeść się nie wstydziła, choć ją na srebrną stać było.

W wielkiej izbie, do której weszli, tylko ławy grube a stół duży w ziemię wbity, i na ścianach kołki, na których broń różna wisiała, nie więcej nie było. W kącie jednym pozwijanych proporców różnych większych i mniejszych stała kupka, przy ognisku na policy kubki niewykwintne, parę srebrnych, więcej glinianych i z drzewa nawet.

Wojewoda nie dbał o zbytek żaden. Chłopak odzia-

ny po wiejsku przyniósł dzbanek miodu, nalano kubki, usiedli do koła ognia.

— Darmom ja tu widzę jechał—odezwał się Bartosz popijając—chciałem jedynemu u nas Piastowi, co jeszcze nie zniemczał, koronę Łokietkową przynieść...

Z innemi Piastowiczami niema co i mówić. Szlżczy już niemieckie pieśni miłosne wyśpiewują, zjadła ich niemiecka rdza, polskiego w nich niema nic.

Utrzyma się u nas Luksemburczyk, Boże uchowaj, za pół wieku zaleją nas Niemcy, zduszą i wytłuką jak pszczoły. Jeżeli teraz się polskim panem nie uratujemy, to nigdy.

Milczał Socha ustami tylko i wąsami poruszając.

— Ani słowa — rzekł — nikomu by sprawiedliwiej ta korona nie należała, jak Mazowieckim. Z prawa się im ona należy, ale jak jej dostać?

— Tylko chcieć!! — odparł Bartosz — tylko umieć! Zapomnieliście chyba o Łokciu naszym, z czem on do korony szedł i jak ją dostał. Nie miał on większych nieprzyjaciół przeciwko sobie? a gdy powrócił do domu z wygnania, kto z nim był? garstka chłopów... mieszek pusty i głowa siwizną przypruszoną...

— Ale to on był! — przerwał kanclerz. — Tacy ludzie jak ten pan nie rodzą się co dnia. Opatrzność ich daje w czarnej godzinie, i cuda dla nich a z niemi czyni.

— Wy swojego Semka lekko sobie ważycie — przerwał Bartosz żywo. — Młody jest, mężny, tylko go zagrać. Ludzi i oręża dostanie ile zechce. Jeżeli on Piastom korony nie zachowa, skończone ich panowanie, sponiewiera się krew.

— Nie ważę ja go lekko — począł kanclerz — bo znam go od dziecka, ale wiele to znaczy jak go ojciec chował, co mu wpajał. Ze krwią przeszła w niego myśl ta ojcowska, że się im nie rwać nad siły, aby nie stracić tego co pozostało. Umierając im to Ziemowit powtarzał. Ambitny nie jest, w polu bić się będzie mężnie, lecz choćby korona mu się zaśmiała

na chwilę, dla niej ou życia nie poświęci. Rycerstwa w nim dosyć, a bohatera nie zrobicie z niego. Obyczaj prosty, zbytku i miękkości nieładny. Tułać się jak Łokietek o głodzie i chłodzie dla wielkości, nie potrafi. Zateśkui do domu.

Socha potwierdził mileząco, co kanclerz mówił.

— Święta prawda—odezwał się.—Semkaby ożenić jak Janusza, i niech na Mazowszu dobrze jak ojciec gospodarzy, będzie z niego dosyć.

Bartosz się porwał z ławy.

— Strach słuchać co mówicie! — krzyczał. — Nie jużby się w nim nie odezwało coś dziadowskiego! Teraz albo z niego męża uczynić, albo niezdarc... Dajcie mi go w polc, ja zań ręczę!

Oba słuchacze zamilkli.

— Na rany pańskie — rzekł w końcu Socha — z czem się nam porywać? Gdzie sprzymierzeńcy, zkad pomoc? Z biedy może, Konrad Oleśnicki dałby paręset włóczni, ale co to znaczy, gdzie ich tysiące trzeba, a na nie tysięcy grzywien. U nas w skarbcu pusto...

— A Litwybyście to chcąc nie mogli sobie pozyskać?—przerwał Bartosz.—Powinowaci wam są.

— Z Jagiellą wojna! o tem niema co mówić — zawolał Socha. — Gdyby nawet przyszło do zgody, a chcieli pomagać, oni też sił nie mają. Tam wre jak w garnku, ledwie się Krzyżakom mogą opędzić. Wiltold z Jagiellą wojują.

Litwę sprowadzić, to znaczy zniszczenie do domu, zjedzą wszystko i wypalą nim co zrobiają. Dziśbyśmy z niemi przynierze zawarli, jutrobyśmy na karku mieli Krzyżaków. Uchowaj nas Boże.

Bartosz zamilkł.

— A! a! Gdybyście ino chcieli, i bez Litwy i bez wszystkichby się obeszło...

Wojewoda i kanclerz dumali, wzdychali. Uśmiechałoby im się może młodego swego księcia widzieć na tronie, do którego miał prawo, lecz za żywota starego Ziemowita, tak byli nawykli cenić spokój

i lękać się wszelkich śmielszych wysiłków, iż za obowiązek mieli, bronić tego co on dzieciom zostawił w spuściźnie. Mazowska na sztych wystawiać, nie ważyli się.

Bili się oba z myślami, spoglądając ku sobie, ruszając ramiona, nie wiedząc jak się zbyć natrętnego i zuchwałego Bartosza, który nie ustępował, pozbyć.

Siedział on posepny, ale niezłamany, kiedy niekiedy tchnął silniej i coś zamruczał, kubka nachylił, odstawił, dumał. Słychać było tylko pryskanie ognia i krzyki z podwórca dolatujące.

Starosta zagadnął znienacka o starszego brata Janusza Czerskiego, ale wojewoda ręką machnął, uśmiechnął się i dał do zrozumienia, że o tym mowy być nie mogło.

— Żadna go siła z lasów jego nie wyciągnie — przebąkał. — Gdybyście mu koronę na misie przynieśli do domu, wahałby się może z jej przyjęciem.

Kancelarz zwrócił rozmowę dopytując o Luksemburczyka.

— Jam tej łatki nie widział — rzekł Bartosz — powiadali mi o niej ci, co w Poznaniu byli. Dzieciak. gołowąs, ładny panicz, strojny jak dziewczyna od złota i szkarłatów, pachnące paniatko, które na pospolitego człeka ani patrzeć nie chce. Z Niemcami tylko i Czechami swemi obcuje. Do naszych nie gada. Tak jak Loisowi nasze kozuchy mu śmierdzą.

Wjeżdżał do Poznania we zbroi pozłocistej, w szyzaku piórami nastrzępionym, po to, aby szlachcie, co mu się kłaniać przysła, pięść pokazać i grozić za Domarata...

— Bodzanta arcybiskup także z nim trzyma — wtrącił kancelarz.

— Dopóki siłę ma, arcybiskup mu się kłaniać musi, co ma robić? — rozśmiał się Bartosz. — Domaratowiby mu dobra zajechali. Ale niech poczuje, że Niemiec się nie osiedzi, ukoronuje nam kogo mu damy.

Socha spojrzał z niedowierzaniem.

— Na Luksemburczyka się porwać z lada czem nie można — szepnął kanclerz.

— My też nie lada co jesteśmy — odparł Bartosz butnie. — Wielkopolan jak mrowia jest, a oni nie chcą Niemca! Krakowianie się powinni rozmyśleć także.

Nam króla potrzeba, co by u nas zawsze mieszkał, nasz cały był, a wielkorządcami nie obsyłał. Niech zresztą królowa Elżbieta jedną z córek nam da, mniejsza o to, znajdziemy dla niej męża, ano nie Luksemburczyka. Ten niech Węgrom panuje, z Bogiem.

To mówiąc wstał poruszony Bartosz i po izbie przechadzać się począł.

Wisiało dosyć różnej zbroi po ścianach, którą on lubił, jał się więc jej przypatrywać; Sochę rozpytywać o nią, mówić o dawnym i nowym sposobie wojowania, ciężkiem i lekkim żelazie, koszulach stalowych, hełmach, włóczniach i mieczach. A że stary Socha miał też słabość do pięknego oręża, gdy poczęli ze ścian zdejmować, próbować, rozpatrywać, ważyć tarcze i różny rynsztunek, czasu im dużo na tem ubiegło.

Kanclerz wysunął się pocichu.

Cheiał i Bartosz choćby wieczora tego jeszczejechać precz, ale mu Socha przypomniał, że słowo dał, a z Semkiem się widzieć musi. Jakoż pod wieczór pacholę przyszło po Bartosza, a wojewoda rozmyśliwszy się i spytawszy, czy księżę o nim wspomniał, i odebrawszy przeczącą odpowiedź, puścił go samego.

Starosta na zamek wszedłszy, księcia w wielkiej izbie, w której rano przyjmował, nie zastał. Semko siedział w komnatce małej, u wieczornego ognia sam jeden.

Była to taż sama, w której ojciec jego niegdyś zwykł był na starość przesiadywać, wiele tu sprzętu pozostało z czasów jego i broń nawet której zażywał.

Nie wstał Semko widząc wchodzącego Bartosza, tylko mu miejsce wskazał na siedzeniu przeciw siebie.

W twarzy księcia widać było poruszenie wielkie i niepokój.

Starosta domyślił się, że choć ofiara odrzuconą została, ziarno, które posiał, kielkowało. Rozumny człek nalegać nie chciał, gotował się tylko odpierać, jeżeliby mu książę zarzucił co przeciw myśli.

Semko nie chcąc okazać niecierpliwości, choć radby był sprawę zagaił, naprzód się odezwał o swych psiech a ogarach.

— Nie przyznaję się do tego nikomu — mówił z uśmiechem — a wam powiem pod tajemnicą, że najlepsze ogary, jakie mam szczeniętami, podarowałam mi marszałek krzyżacki. I sokoła mam od niego, jakiego u nas nie dostać. Zkąd łaska?

— Nie dziw! — począł Bartosz. — Daliby miłości waszej i konia z rzędem, byle do siebie przyciągnąć i pozyskać. Lecz z panami temi ostrożnie potrzeba, bo darmo nie dają nic. Ziemia im wasza pachnie nad granicą.

— Odemnie jej nie dostaną! — odparł Semko — nie przeczuwając, że wprędce kłam sobie zada.

Gdy tak rozmowę poczęli, książę dłużej się nie wstrzymując zapytał Bartosza, zkąd to miał, z czem do niego zrana przybył? Sam on to z siebie brał, czy i drudzy z nim byli?

— Gdybym ja tylko jeden był — szybko odezwał się Bartosz — nie śmiałbym waszej miłości pokoju mącić, i na wojowanie go daremne narażać. Bóg mi świadek. Dziś we Wielkiej Polsce co tylko nie jest Domaratowe, mówi ze mną, że was żąda. Was wołają wszyscy, a jutro i krakowianie będą z nami.

Piasta chcemy mieć, a do wyboru nie mamy, wy królować nam musicie.

— Jesteś starszy odemnie i możniejszy, wój mój, Władysław Opolczyk — rzekł semko.

— Choć on wam bliski — odrzekł Bartosz — kłamać przed wami nie będę. Nie lubi on nas, ani my jego. Niemcem woli być, Węgrem, Rusinem niż Polakiem,

co nam po nim? Do oreża się nie zdał? Więcej o tem myśli, jakby co u królowej utargował, a nią się zasłonił, niżby co przeciw niej poczynił.

— Na Wielkopolany wasze, siła rachować nie można—wtrącił książę.—Przypomnijcie Białego, przeciwno któremu samiście występowali. Wszakże go Wielkopolska i Kujawiacy z klasztoru wyciągnęli, a sromotnie mu potem paść dali.

— Na rany Boże!—wykrzyknął Bartosz.—A gdzież równać Mazowieckie książę z Gniewkowskim? Więcej rzekę, gdyby Biały wytrwałość miał, stateczność większą, umysł pewniejszy, kto wie coby się przygodzić mogło? Z mnicha wywłoki nigdy nie. Dobry wałach do zaprzęgu, ale stada za sobą nie poprowadzi.

Uśmiechnął się Semko.

Wszystko co dotąd zarzucał, udało się odeprzeć Bartoszowi. Książę milczał znowu w ogień wpatrzwszy się, jakby czekał, aby gość znowu nalegać zaczął.

Pomilczawszy chwilę wziął się starosta do przekonania, iż nie łatwiejszym nie było, jak teraz Piastowi zdobyć koronę.

Ludzie, powiadał, znużeni byli bezrządem babskim i wielkorządcami, swojego pana u siebie chcieli mieć. Nietylko Wielkopole, ale Krakowian wielu od Luksemburczyka się odstrychało.

Zagrzewał też Bartosz po swojemu, tem, że do dzieł rycerskich pole było szerokie i piękne, tak, że dla samego wojowania warto było o koronę się kusić.

Semko słuchał, lice mu czasem gorzeć zaczynało, to bladło, serce młode biło żywo, ale ojcowskie nauki na pamięć przychodziły. Ledwie mu się wyrwało słowo gorętsze, zaraz je chłodnem zacierał.

Czuł Bartosz, iż chętkę w nim obudził, ale ją hamowała ostrożność i wspomnienie rodzica.

Jał nalegać, Semko się opierał.

— Nie mogę — rzekł w końcu — nie ważę się.

Myślałem długo, słowo moje ostatnie... Gotujcie i czyńcie, aby tron wolnym był, zobaczemy. Jeżeli Luksemburczyk pojdzie precz, a zawoła mnie szlachta głosem jednym...? Nie będę się opierał, ale i dobijając się nie mogę... Dopóki Zygmunt, którego Bodzanta, Domarat i inni jak króla przyjmowali i przyjmują, siedzi tutaj, póki ma swoich, co mu służą, ja kroku nie uczynię. Oczyszćcie plac wprzód...

Bartosz słuchał z głową spuszczoną.

— Tak mówicie, książę?— odparł—niech będzie woła wasza. Zgoda. Siedźcie spokojnie, my postaramy się pozbyć tej łatki. Przyjdzie zjazd z Krakowianami, będziemy gardłowali o drugą córkę, abyśmy ją sami za mąż wydali.

Semko milczał, lękając się już czy nie powiedział zanadto.

Po chwili gość sam na nowo rozpoczął.

— Z tych, co przy Zygmuncie są, naprzód Bodzantę odciągniemy. Dobra mu zajechawszy, weźmiem go, bo na to jest czuły. Gospodarz z niego dobry, a żołnierz źle gospodaruje. Zaśpiewa on naminaczej.

— Domarat wściekły jest, temu rady nie dacie— rzekł książę.

— Z nim też, jak z djabłem krwawym, sędzią Janem zgody być nie może. Ci muszą precz iść, a co nam krwi wyleli i mienia zniszczyli, skórą zapłacą... Precz z Grzymałami! żadnego nie ścierpiemy nad sobą. Nałęczów więcej niż ich!

I pięść wyciągnął starosta, cały z gniewu się rumieniąc, ale wnet postrzegłszy się, hamować zaczął.

— Mamy więc słowo miłości waszej—dodał Bartosz. — Zgotujemy wam wszystko, siedźcie spokojnie. Luksemburczyk u nas miejsca nie zagrzeje.

Semko pobladł, jak gdyby to, co powiedział, chciał cofnąć, lub się zawarować ogłędniej, ale Odolanowski pan nie dał mu przyjść do słowa, nalegając gwałtownie.

— Jadę natychmiast—wołał—próżnować nie będziemy, oczyścim! oczyścim pole!

Bodzącą już jakbyśmy w rękę mieli. Kraków opanujemy! My tam będziemy stanowili prawa, nie ci pankowie, co nam chcą przewodzić. Cierpieliśmy dosyć!!

Bartosz ożywał się, rozgrzewał, unosił coraz mocniej, nadziejami sięgał coraz dalej, a i w księcia musiał przelać trochę tego usposobienia, bo Semko wstawszy, nie nie mówiąc, za rękę go pochwycił, i potrząsnął nią mocno. Obawiał się mówić zbyt i przyrzekać, choć oczy i twarz potakiwała staroście.

Bartosz rozpromieniał cały.

Gdy tak rozprawiali w komnatce, w której siedzieli, drzwi drugie do wnętrza prowadzące, oponą ciężką zawieszoną, zadrgały, choć żaden szelest się słyszeć nie dawał. Postrzegł to Bartosz, księciu oczyma na drzwi wskazując, ale Semko obojętnie spojrzawszy w tamtą stronę, uśmiechnął się i dał znak, że obawa była niepotrzebną.

Starosta już pierwsze lody złamawszy, nie zaspokoił się tem, głos nieco zmżył tylko i począł nalegać, aby książę, choć nie czynnym chciał zostać, wszakże siły wojenne, na wszelki przypadek gromadził.

Nastawał na to, aby Socha tymczasem ludzi zbierał i kopijników co najwięcej gotował.

Semko milczał i opierał się.

— Łacno to rzec, a dokonać trudno—odezwał się w końcu przyciśnięty. — Ludzie i konie by się znaleźli może, ale skarbiec pusty... a kilka tysięcy grzywien na to potrzeba.

— Miłościwy panie — przerwał Bartosz — choćby u wroga pożyczyć przyszło, choćby ziemi kawał zastawić. Wykupiemy ją lub odbijem, dług zapłacim.

— Któż dziś grosz ma? jedni chyba Krzyżacy lub żydzi—rzekł Semko.

— A czemuż u najbliższych, u Krzyżaków nie wziąć?—przerwał Odolanowski.—U nich grzywien jak lodu a dadzą chętnie.

Ze wstrętem wstrząsnął się, słysząc to Semko.

— Żydów bym wołał—rzekł.

— Ale ich nie znaleźć u nas, chyba w Krakowie, a tam trafić trudno — mówił Bartosz. — Krzyżacy są pod bokiem, byleście zażądali, dadzą.

— A jeśli się dorozumieją na jaki wypadek mi potrzeba? — rzekł Semko. — Oni Luksemburczykowi sprzyjają, przeciwko niemu nie dostarczą broni.

— Luksemburczyka rychło nie stanie — odparł Bartosz—a oni na ziemię łakomi... Jam też z niemi dla rycerstwa w przyjaźni, ale z wilkiem družba, zawsze strach, aby nie zjadł.

Rozmowa szła tak dalej, rozrywana. Nic nie postanowiono. W czasie jej, kilkakroć zadrgała znowu zasłona, ale Bartosz rozgrzawszy już na to nie zważał.

Zawołano na wieczerzę, na którą znowu wtoczyło się trochę szlachty, przybył kanclerz i wojewoda.

Książe wyszedł więcej zasępiiony niż zrana. Bartosz za to weselszy. Wojewoda stary poznał zaraz, że gość nie darmo tu siedział tak długo.

W ciągu wieczerzy jednak, Semko unikał rozmowy o tem, co wszystkich najmocniej zajmowało. Szlachta powiastki łowieckie rozpowiadać zaczęła, Bartosz dużo miał też o Domaracie i krwawym djable, o wojnie Nałęczów z Grzymałami do mówienia. Wyklinano i odgrażano się na okrutników.

Przedmiot to był niewyczerpany, bo każdy dzień nowym gwałtem, najazdem i łupieztwem się znaczył. Grzymałowie ze swym Domaratem, wielkorządcą z ramienia królowej, dotąd górę brali, a uzuchwaleni, stare rozkrwawiali rany i zadawali coraz nowe, grożąc chcąc zmusić do posłuszeństwa.

Walka wrzała rozplomieniona tem, że już Nałęcz dwukrotnie odepchnięci przez Zygmunta Luksemburczyka do ostateczności byli doprowadzeni. Kupy zbrojne zbierały się z obu stron... a o pojednaniu słuchać nikt nie chciał.

III.

Późno już było, gdy Semko, który po odejściu Bartosza, sam na sam zostawszy z wojewodą i kanclerzem, naradzał się z nimi długo, naostatek do komnatki swej na spoczynek szedł, zadumany, nachmurzony, bo choć się słowem żadnem nie związał, kroku stanowczego nie uczynił, niepokój go ogarnął wielki.

Socha i kanclerz odradzali wszelkie starania o koronę; przypominali znowu ojcowskie nauki.

Padł na siedzenie u ognia książkę, blademi oczyma rzucając po ścianach, na których gdzieniegdzie rozwieszony oręż polyskiwał.

Było go w sypialni dosyć, gdyż w owych czasach zawsze pod ręką musiał mieć każdy broni, nie wiedząc kiedy ją chwycić będzie potrzeba.

Okolo posłania zwykle wieszano miecze i mieczyki, aby budzący się tylko sięgnąć potrzebował, a zaraz je miał w dłoni.

Nie klasnął jeszcze Semko na swą czeladź, któraby do rozdzielania się pomogła, gdy zasłona, którą widział drgającą Bartosz, podniosła się i za nią ukazała niemłoda już niewiasta.

On, choć na nią oczu nie zwrócił, zdawał się wi-

dzieć i przeczuwać, że tu była, ale się nie spieszył dać tego poznać po sobie, jakby rozmowa teraz nie-miłą była.

Niewiasta mogła mieć lat czterdzieści lub więcej. Twarz jej zwiędła, pomarszczona, stara, ślady niepospolitej piękności zachowała, ale to była piękność wieśniacza, więcej mająca wyrazu niż wdzięku; wiekiem ochmurzona i smutna.

Oczy jej ciemne, duże, śmiało patrzyły, jakby się tu czuła w domu.

Ubiór jej nie różnił się od pospolitego ludowego, ale dostatni był i chciał się wydawać bogatym. Krojem pospolitym uszyta spódnica, stanik, kaftan, z najprzedniejszego były sukna, jedwabiu i płótna. Na szyi paciorek, bursztynów i złotych łańcuszków miała sznury całe, aż do pasa spadające. Ręce zapracowane niebardzo, białe i pulchne, okrywały pierście-nie ze szklami i oczkami. Na głowie nakształt zwoju, bogata krasna chusta z pewnem staraniem zawią-zana, długimi końcami na ramiona i plecy spadała. Rozglądała się po komnacie, zasłonę podtrzymując nad sobą, a z poza niej, na jasnem tle drugiej izby, oświeconej też ogniem czy łuczywem, widać było wciskającą się główkę młodego dziewczęcia, w wianuszkę na włosach.

Twarcyzka jej była dosyć piękna, rysów regularnych, z dużemi oczyma niebieskimi, ale blada, bez rumieńca i dziwnie wybielała.

W obu tych postaciach poznać było łatwo dziecię ludu, choć na dobrym bycie wypieszczone, a jak zawsze, gdy od pracy i znoju człowiek się wyswobodzony czuje, duma go ogarnia od tego szczęścia, które nań spadło, na obu twarzach tych niewieścich było ich dosyć.

Śmiałe oczy dziewczęcia patrzyły tak zuchwałe jak starej służebnicy. Ciekawość iskrzyła się w oku.

Zbliża się przypatrując ładnemu wyrostkowi, równie strojnemu jak ta, po za którą stało, można było

dostrzedz na bardzo bladym i białym licu, na czole ku skroni czerwoną bliznę.

Rana, po której została pamiątka, musiała być zgojoną od bardzo dawna, ale była tak głęboką i ciężką, że nic jej zatrzeć nie mogło. Dziwnie nią napiętnowana twarzyczka, obudzała ciekawość. Tak młodziuchna, pieszczona, gdzież się mogła narazić na cios taki? Za tą blizną kryła się tajemnica jakaś, czy prosty przypadek?

Dziewczę mogło swą bliznę łatwo bujnemi zakryć włosami, gdyby chciało, a zdawało się nosić ją na okaz i chlubić.

Stara uczuwszy za sobą wciskające się dziewczę, zlekka ją odtrąciła, dając mu znak, aby odeszło, sama zaś, opończę odgarnawszy, kaszlnęła i posunęła się ku środkowi izby.

Spóźnionym tym gościem była niegdy mamka, później piastunka Semka, którą zwano Marychuą Błachową, wdowa po majątnym kmieciu na Kujawach, która wraz z mleczną siostrą Semką, Uliną, pozostała przy dworze, i po śmierci pierwszej księżnej, po tragicznym zgonie drugiej, coraz rosnąc w łaskach u starego Ziemowita, choć prosta kmietówna, całe gospodarstwo ogarnęła.

Zkąd jej te łaski starego księcia przyszły, jak się w nich utrzymała, a teraz też młodego Semka miała zaufanie i łaskę, o tem ludzie bardzo różnie mówili.

Niewiasta była rozumna, małowówna, zręczna, ale się pochlebstwy nie wysługiwała. A do zgonu Ziemowita, od łóża chorego starca krokiem nie odstępowała. Z jej rąk on najchętniej napój i pokarm przyjmował, a nawet gdy w gniewie ludzi zabijał i kałeczył, jedyna Błachowa się go nie obawiała; przystępowała doń spokojnie, nieraz jednem skinieniem przywołując go do upamiętania.

Mówiono, że wielu ocaliła życie, a niejedną raz, gdy siekierkę z obuszkiem, z którą zawsze chadzał, już miał cisnąć na sługę, ona ją księciu z rąk wyry-

wała, a winowajcę za drzwi wypychała. I książę nigdy słowa nie rzekł, ani ją potracił.

Też same łaski co ona, miała u niego mleczna siostra Semka, Ulina, która na dworze się wychowała niemal jak dziecię książęce, a wolno jej było wszędzie. Stary pan po główce ją głaskał, najmniejszej krzywdy wyrządzić jej nie dawał, obdarzał bogato i pieścił.

Z Semkiem, dziećmi będąc, pod dozorem Marychny bawili się razem, biegali, nawykli do siebie i na długo się nigdy nie rozstawali.

Ulinka, gdy chłopak podrósł i do koni się rwać począł, gotową też była z nim, ale przyszło się rozstać, bo się już Semkowe zabawy dziewczęcin nie godziły. Więc gdy po podwórcach oszczepy rzucał i z łuku strzelał, ona się choć przypatrywała i okrzykiwała.

Tych to zabaw z małym księciem wiekuista pamiątka została na skroni Ulinki, kochali się z sobą, ale Semko jak ojciec popędliwy był i łatwo się gniewał, Ulina też mu nie ustępowała. Tak razu jednego w dziecięcej kłótni, zamierzwszy się na nią mieczykiem Semko ciał w głowę i myślano, że ją zabił. On sam był w strasznej rozpacz. Szczęściem, choć dziecko długo leżało nieprzytomne, a krwi mn. upłynęło wiele, rana się później zagoiła. Blizna tylko po niej pozostała na wieki. Matka utrzymywała, że przez tę krew, której się dziecięciu tyle wylało, Ulinka na zawsze błądą i bez rumieńca pozostała.

Siostra ta mleczna, prosta chłopka, pozostawszy przy dworze, tak się ze swym bratem obchodziła, jakby on jej był rodzonym i śmiało i poufale, serdecznie, kochali się z sobą jak rodzeństwo.

Z początku, gdy dorastali, Błachowa zdawała się lękać bardzo, aby ta miłość, przy gorącej krwi Piastowskiej, w inną się nie przemieniła. Śledziła więc córkę i księcia, trwogę okazując niezmierną, nieustannie dziewczęciu dając nauki głośne i ciche, przeko-

nała się później, że Semko rozmiłować się w siostrze nie myślał.

Stara jednak nie spuszczała ich z oka. Byli z sobą jak dawniej, niby brat i siostra rodzeni. Błachowa nawet, gdy Semko się nudził samotnością, czas nie był na łowy, a gości brakło, pozwalala córce po całych dniach i wieczorach siadać z kądziółką w komnacie księcia, prawić mu bajki, i śpiewać piosenki.

Sama zwykle z pacierzami tuż w drugiej izbie, zdala nasłuchiwała.

Semko z nikim nie rozgadywał się tak szczerze, szeroko jak z tą siostrą.

Rozumieli się dobrze. Zwykle ponury, milezący a gwałtowny i surowy jak ojciec, młody książę dla niej był łagodnym. Mówiła mu otwarcie co chciała, łajała go czasem i wyśmiewała się z niego. Choć się w nim krew zburzyła, dosyć mu było spojrzeć na czerwoną bliznę, aby zaraz ostygnać. Dziewczyna miała odwagę wielką, jakby wyzywała go, a życia sobie nie ważyła. Nieraz, gdy byli sami, Błachowa podsłuchiwała, kłócili się z sobą okrutnie, a Ułina nad nim zawsze brała górę. Gdy w najśrodszy gniew popadł, biegła do niego, zawieszała mu się na szyi, nie miał siły jej odepchnąć.

Z Semkiem będąc tak poufale, z drugimi obchodziła się tak hardo, że do niej nikt przystąpić nie śmiał. Obyczaj ówczesny wiele dopuszczał, dziewczę zbliżało się do lat dwudziestu, rozkwitłe było dawno, a że Błachowa za bardzo dostatnią uchodziła, posagu po córce spodziewano się dużego, roili się około niej nie tylko kmiecie, mieszczanie, ale i uboższa szlachta. Ulinka swatów żadnych wcale przyjmować nie chciała. Z dumą pozbywała się dziewosłębów, z przekąsem czasami.

U matki jedynaczka oko w głowie, miała nad nią większą moc niż dziecku przystało. Więcej ona Błachową, niż ta nią rządziła.

— Cóż ty myślisz wiecznie rutkę siać? — mówiła wzdychając stara.

— Albo to co mi z czepeca n'a przyjść? — odpowiedziała Ulinka. — Jam teraz pani, a potem służą zostanę i poddanką męża. Na gody czasu jeszcze dosyć.

— Jak się zestarzejesz, to cię nikt nie zechce!

— Bodaj to prawda była! — śmiało się dziewczę. — Nie strach mi. Gdy zechcę się powiesić; sosna się znajdzie, teraz wolną chcę być.

Próbowali ją ludzie ujmować sobie podarunkami, pochlebstwy, obietnicami, kusila matka szlachectwem i państwem, ona słuchać ani myślała.

A choć we dworze, tuż przy młodym książatku ładne dziewczę się snulo, w łaskach było wielkich, podarkami obsypywane, ludzie nie śmieli na to słowa powiedzieć, choć może nie jeden coś sobie pomyślał.

Kancelarz i kapelan książęcy, inni też duchowni, choć możnym naówczas wiele tolerowano, z początku koso na tę dziewczynę w komnatach książęcych spoglądali, syknął czasem który, skrzywił się, szepnął coś, ale nadaremnie, więc zostawiono ich w pokoju.

Semko ani chciał słuchać, aby Blachowa z Uliną na Kujawy do swoich wynosić się miała.

Gdy Blachowa zakaszlała i weszła, pilno patrząc na księcia, podniósł się on i głowę ku niej zwrócił.

- Z twarzy mn patrzył fraszunek.

Stara stanęła, ręką jedną za brodę się biorąc, za bok drugą.

— Sokole ty mój — poczęła zwolna głosem stłumionym. — Co tobie jest? Najechali obcy, najechali, pewnie licha z sobą w torbach przywieźli.

Czego oni od ciebie chcą? Na co oni namawiają? Jeżeli groszy proszą, daj odczepnego, byle się na twój spokój nie porywali, a ciebie w jaką jamę nie wciągnęli!

Zamilkła wyczekując odpowiedzi, Semko dumiał trąc czoło.

— O! nikomu nie wierzyć, sokole mój, nikomu — ciągnęła baba dalej. — Każdy z nich zanadto zdradę nosi. Będą mówili, że oni co dla was czynić chcą, a lżą; oni wami się dla siebie posługują.

A tu, młoda krew, miły Boże mój, od lada czego zawre! Czego oni od ciebie chcą? czego?

Księżę słuchał i uśmiechał się dumnie. Ze swą starą nawykł był mówić, co mu na myśl przyszło, tajemnic dla niej nie miał.

— Milez bo stara, milez. Wiesz, po co ten przyjechał, coś go tu widziała?

Blachowa potrząsała głową.

Królem chcą mnie zrobić! widzisz! Co ty na to?

Usta starej zacisnęły się głęboko, a potem wydeły, brwi ściągnęły, głowę poczęła zwolna kołysać.

— Królem! — szeptała cicho, jakby przerażona niespodziewana, tą nowiną. — Jakim królem! Alboż ty u siebie nie panem i nie królem jesteś?

Na Wielkopolskę, do Poznania mnie chcą, i na Kraków i na Sieradzkę, i na całe państwo.

Stara się namarszczyła.

— Dyć tam jakiś niemiec jest! — odezwała się przestraszona.

— Oni go precz chcą przegnać.

— O! o! — przerwała Blachowa, podnosząc palec do góry. — Kiedy jednego wyżeną, mogą i drugiego. O cudzą koronę się tobie bić i zaczynać, kiedy ty swoją masz!

Głowa jej trzęsła się coraz mocniej.

— A tobie to na co? Nie dosyć ci ojcowizny? Stary, co go też tą koroną kusili, nigdy jej nie chciał.

Albo to Przemka i Leszka nie ubili, choć korony mieli.

Mało to chleba, nieba, ziemi i lasu na Mazurach.

Semko słuchając smutniał.

Błachowa, jakby uznała wreszcie, że sprawa ta rozum jej przechodziła, spuściła głowę i dumać poczęła głęboko, długo, nie mówiąc nic, w ogień zapatrzona.

Podeszła potem do ogniska zadumana, wzięła polano przy nim leżące, zagarnęła węgle rozżarzone, dorzuciła drewek parę i na dawne miejsce powróciła.

— Cóżes ty mi powiedział?—mruknęła.

— Co? Nic!—odparł Semko spokojnie.—Nim człowiek w wodę się rzuci, musi tyczką spróbować czy głęboka.

Błachowa dała znak potakujący, gdy usłyszawszy szmer, odwróciła się.

Zasłona była podniesiona i Ulinka wchodziła śmiało, z tą twarzą swą zawsze smutną, niemal zuchwałą i groźną, z jaką Semka spotykała, dopóki się nie rozjaśniła od jego spojrzenia.

Ubiór jej wieśniaczy, stanik bramowany złotem, sznury paciorek, kosy wstęgami przeplatane, koszula szyta bogato i wykwintnie, buciki z noskami okutymi, cały strój czynił ją bardzo powabną. Nie była to piękność delikatna i powietrzna, ale silnie rozwinięta i jakby do boju zbudowana. Może starszą się wydawała nad wiek swój, lecz piękną i mężną niewiastą.

Mimo twarzy bladej, cznie było w niej naturę krzepką, rękę tylko miała małą i nadto pieszczoną.

Jak matkę tak ją zdobiły różne klejnoty, chociaż Ulinka mniej ich nosiła. Semko wnijściu jej nie zdziwił się wcale. Spojrzał ku niej wesoło i uśmiechnął się. Dziewczę przystąpiło tak blisko, iż rękę wyciągnawszy, mogła go pogłaskać po głowie.

Matka to na nią, to na niego spoglądała.

— Wiem ja, wszystko wiem!—odezwiała się Ulinka. — Srocza mi wyśpiewała, próżno się nie tajcie przedemną. Naszego księcia chcą na króla do Polski. Nieprawda? A wy, matuś, na co to mu serce

psujecie? Dlaczego on nie ma królem być, dwa i trzy wielkie posiąść królestwa, jak w bajce? Na złotym tronie siedzieć, na złotych misach jeść! Albo on tego nie wart? Albo on nie rycerz? nie mężczyzna? tchórze się tylko do jam chowają i w nich siedzą!

Matka ręce załamała.

— Co pleciesz, plecinchu? — zawołała — bój się Boga...

— Bogabym się bała, gdybym mojemu księciu a rycerzowi mówiła inaczej — odparła Ulina. — Za piecem mu nie siedzieć, kądzieś mu nie prząść.

Niechaj idzie królestwa zdobywać, toć jego rzemiosło.

Słuchającemu Semkowi żrenice połyskiwały. Spojrzał na starą, która wylękła palce wyłamywała, aż w stawach trzaskały.

A Ulina śmiała się, przybierając coraz zuchowatszą postawę.

— Co tobie sroczka naplotła, ja nie wiem — poczęła Blachowa — ale ty sama paplesz jak sroka. Nieboszczyk stary pan dobry rozum miał, całe życie siedział spokojnie, i kraju mu przyrosło, a co się oderwało, to wróciło! Z Polakami w zgodzie żył, z Litwą się nie kłócił, z Niemcami się nie zadzierał, a synom zostawił na czem panować.

Ulina się uśmiechała słuchając.

— Wy go starym pamiętacie, ale i on młodym był i niezawsze siedział ręce za pas włożywszy — rzekła. — Młodemu tak gnić!

— Milczałabyś, ty! — groźnie przerwała matka. — Niby on twojego rozumu potrzebuje!

— On swój ma, a ja mój! — odparło dziewczę. — Ja mu rozkazywać nie myślę. Nie wołnoż mi słowa rzec, gdy się z piersi wyrывa?

— Tak! tak! — niesłuchając jej, mówiła Blachowa — wysyłaj go ty na wojnę, wysyłaj, bo to się bez wojny nie obejdzie... a tobie będzie miło, gdy ci go na noszach przyniosą?

— Cyt! Matus! — surowo a smutnie przerwało dziewczę—tobie się tak mówić nie godzi, w złą godzinę!

Stara zamilkła nagle, uznając się winną, Semko wstał z siedzenia.

— Patrzcie no, matus—inny już głosem poczęła Ulin — jaki to on piękny jest, jak słońko jasne! A nie byłaby mu na tej skroni korona do liczka?

— Albo on i bez niej nie najpiękniejszy! — zawołała Błachowa.

— Dosyć już tego!—przerwał Semko.—Będzie to, co Bóg da; nikt nie wie, co mu przeznaczono.

Ostatnie wyrazy uderzyły Ulinę, zaprzeczyła im, głową potrząsając.

— Nie mówcie tak — ozwała się. — Kto nie wie i nie czuje, co mu przeznaczono, ten jak martwa kłoda płynie z wodą. Człowiek od kolebki musi znać dolę swoją i sam jej pomagać.

Błachowa ramionami dzwignęła.

— Bezbożnica! co wypłata! — zamruczała. — Co ty wiesz?..

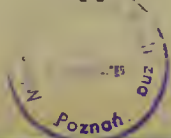
— A juści! — mówiła dalej śmiało Ulin. — Komu się nie śni i nie wyśni co mu przeznaczono, ten życia nie czuje... Żyje, jak kamień przy drodze.

Matka pociągnęła ją za rękaw i mówić nie dała więcej. Późna była godzina, Semko zdawał się znużony.

Nie wyszły jeszcze za drzwi, ku którym matka Ulinę gwałtem prawie popychała, gdy z przeciwnej strony otworzyło się wniście i wtargnął śmiało nowy gość, którego widok spłoszył kobiety. Skryły się co żywo za zasłonę.

Semko musiał się domyślać kto w tej porze bez pytania może wchodzić do niego, głowy nawet ku niemu nie zwrócił.

Na progu stał, w dosyć dziwnym ubraniu chłopak, ledwie z lat dziecięcych wyrastający, dzieciak,



ale już nie po dziecinnemu śmiały, pewien siebie, zachwały, jakby nad sobą nieczyjej nie uznawał władzy.

Zaledwie może piętnastoletni, pięknych bardzo i regularnych rysów twarzy, prawie niewieściego wdzięku, z włosami długimi w pukle, z oczyma czarnymi, ognia pełnemi i przenikliwością, chłopak był na pół po księżemu, wpół po rycersku odziany.

Zwierzchnia suknia miała krój i barwę sutanny, acz krótszą była, niż ją zwykle nosili duchowni. Przepasana pasem do mieczyka zrobionym, sprzeczała się też z przewieszonym przez plecy rogiem myśliwskim z kości i złożonego mosiądzu, na sznurze zielonym.

Z pod półsutanny wyglądało obcisłe ubranie i buty spiczaste z ostrogami. W ręku trzymał kołpaczek wcale do bireta niepodobny, z piórem i łańcuszkiem ozdobnym przy spięciu.

Twarzyczka rozgrzana podróżą, oczy świejące, usta otwarte, śmiały się wesoło i szydersko...

— Spóźniłeś się z łowów! — rzekł odwracając Semko.

— Albom miał do czego i do kogo się śpieszyć! — odparł wchodząc poufale, kołpak na stół rzucając. — A wy, gości jakichś macie?

— Wiesz już o nich!

— Jakżebym nie wiedział, w podwórzu ludzi obcych spotkawszy — rzekł chłopak. — Z wielkopolski! z Kujaw! Kto to! za czem!

Semko się odwrócił, dosyć niechętnie odpowiadając na pytania.

— Gość, stary znajomy, przyjechał z pokłonem — rzekł. — Znasz przecie lub słyszałeś o Bartoszu z Odolanowa.

— A kto go nie zna! — zawołał dzieciak. — Słynie jako rycerz dzielny.

Książę ziewnął.

— Głodny być musisz, pora spóźniona, idź zjeść i do snu. Mnie czas.

Odprawą tą nie dał się tak łatwo chłopak odpędzić.

— Wiesz—począł—niedźwiedziam ubił! Psy mi podarł, alem go sam juchę oszczepem dojechał...

— Jak na przyszłego księdza biskupa—rzekł Semko—wcale nie źle...

Na wspomnienie biskupstwa dzieciak namarszczył się i tupnął nogą.

— Ojciec, prawda, kazał mi suknię duchowną wdziać—rzekł dumnie—ażeby wam dwom więcej ziemi zostało, ale mnie sutanna piecze i cięży... Kto wie, czy jej jutro w krzaki nie rzucę... a zbroi nie wdzieję. O tem jeszcze na dwoje habka wróżyła!!

Ostatnich słów dokończywszy, kołpaczek chwycił ze stołu i nie żegnając się, wyszedł z komnaty namarszczony.

Był to najmłodszy z Mazowieckich książąt, syn owej nieszczęśliwej małżonki Ziemowita, zmarłej w więzieniu, ofiarą zazdrości i zdrady; Henryk przeznaczony do stanu duchownego, ale marzący tylko, jakby się z tego narzuconego jarzma wyzwolić.

Siedział on w Plocku, mając już tu nadane sobie probostwo, nosząc niby sutannę, ale więcej się łowami i wszelaką swawolą zabawiając, niż przysposobianiem do powołania, którego nie czuł. Ze wstrętem swym do stanu duchownego wcale się nie tail.

Semko go nie lubił, nie obawiał się dotąd, lecz o przyszłość był niespokojny. Małoletni Henryk nieraz już głośno się z tem slyszec dawał, że równe z Januszem i Semkiem ma prawo do ojcowskiej spuścizny...

Gorącej krwi, śmiały jak każdy zawczasu wyswobudzony dzieciak, z ludźmi aż do zuchwalstwa samowolny, popędliwy, był postrachem całego dworu.

Szczególniej nie lubiły go stara Blachowa i Ulina, bo pierwszej z nich naprzykrzał się nieustannie napastując zostające pod jej dozorem dziewczęta, które bronić musiała, a drugiej obcesowemi zalotami obrzydł wielce.

Kłóciły się z nim ciągle, ale Błachowej i Uliny gniewy a skargi, Henryk sobie lekcewżył, śmiał się i na przekorę wdzierał do ich izb, dokazując tam, i nie dając się niczem wystraszyć.

Kilka razy sam Semko ztamtąd wyrzucić go musiał.

Cały dwór książęcy, nie śmiejąc się przeciw bratu pańskiemu, równie się go lękał jak nienawidził.

Nie miał też przyjaciół i między duchownymi, których gniewało to, że ich suknię wdziewał, do nich się liczył, czasu nabożeństwa w ławie u chóru pierwsze zajmował miejsce, a pacierzy nawet kapłańskich odmawiać i śpiewać z niemi nie chciał.

Całe dnie spędzał zwykle na łowach, albo po wsiach i polach za innem, białem zwierzem, bezwstydnie się uganiając. Młodocianemu wiekowi jego wybaczano wiele, lecz mimo to, wszystkim był uprzykrzonym, miłym nikomu.

Księża się tem pocieszali pocichu, że nim infle włoży i zostanie ich głową, w inną stronę się zwrócili, bo się z tem nie tał Henryk, że wolał żenić się i panować, niż księdzem pozostać.

Ani Janusz Czerski, ni Semko Płocki, do podziału ojcowizny i rządów go przypuszczać nie myśleli, mając za sobą wyraźną wolę ojca, który go do stanu duchownego przeznaczył.

Tymczasem wyrostkowi bujać swobodnie dozwolano. Okiełznać go było trudno.

Odprawiony przez Semka młody książę, poszedł naprzód na swe probostwo na zamku, ostrogami porbrzekując, ale po drodze zobaczywszy światło w oknie ks. kanclerza, przez szpary okiennicy się dobywające, zastukał do drzwi jego. Z tego śmiałego dobijania się, łatwo się mógł domyśleć kanclerz, kto tak późno go niepokoił.

Pacholę drzwi otworzyło. Sionka i izba kanclerska o prostocie ówczesnych obyczajów świadczyły. Trochę przestronniej może tu było, ale tak ubogo jak w celi zakonnej. Pulpity tylko do pisania, przyrzą-

dy do niego i do pieczętowania listów, znaczniejszą część izby zajmowały. Kilka ogromnych ksiąg w drewnianych okładzinach kutych mosiądzem, w których się pisma świętego i dekretaliów domyśleć było można, leżały na umyślnie dla nich przyrządzonych stalugach.

Pałło się na ognisku, a kanclerz po skromnej wicherzy właśnie był na rozmowie z owym klechą wędrownym, który tak długo na niego czekał, gdy wpadł Henryk.

Po nim się nigdy ani poszanowania wielkiego, ani grzeczności spodziewać nie było można.

Za życia ojca, którego się on jednego lękał, chociaż ten trochę go pieścił, jakby dziecku chciał zapłacić, co nieszczęśliwej matce się zadłużył, Henryk sprawował się dosyć znośnie i pokornie, teraz buta w nim rosła z dniem każdym. O posłuszeństwie starszej braci ani chciał wiedzieć. Miał się za zupełnie równego im, choć sam wiek czynił go podległym ich opiece.

Wpadłszy do kanclerza, obejrzał się zaraz po izbie chłopak, zobaczył ubogiego klechę, i, niemając go za nic, zwrócił się do gospodarza.

— Od Semka trudno się o czem dowiedzieć—zawołał.—Mruk i kocha się w tajniach. Wy mi powiecie może za czem Bartosz przyjechał, bo to taki człek, co darmo siebie ani koni nie męczy.

— A ja zkąd mam o tem wiedzieć? — ruszając ramionami odpowiedział kanclerz spokojnie.—Mówili z sobą na osobności, jam świadkiem nie był.

Henryk posłyszawszy tę odpowiedź, rozśmiał się śmiechem takim na całe gardło, że dosyć wesołego kanclerza pobudził też do pół-uśmiechu, choć się starał przy swej powadze utrzymać.

Uderzył go poufale po ramieniu młokos.

Wy mnie, ojcze, za takie dziecko macie, iż sądzić, że mi jak niemowlęciu można dać ssać palec, a ja go wezmę za cyckę. Dobryś! księżę kanclerzu! Jak

gdybym nie wiedział, że wy i przez mur słyszycie i wiecie to, czego wam nie powiadano!

Ksiądz kanclerz cynizmem tej mowy zgorszony był i rozśmieszony, tembardziej, że świadkiem był obcy. Zachmurzył się, choć usta krzywiące się, świadczyły, że lękał się parsknąć od śmiechu.

— Nie wiem o niczem — rzekł — nie wam powiedzieć nie mogę.

— Powiedz księżę, iż mówić nie chcesz — odparł zuchwały dzieciak. — Bartosz nie jeździ darmo, dużo o nim słyszałem i wiem. W Wielkopolsce się ruszają przeciwko Zygmuntowi, gardło dam, że tam Semka chcą pociągnąć, tak jak dawniej ojca ciągnęli.

— Nie wiem! — potwierdził raz jeszcze kanclerz.

— Semko się będzie opierał, tchórz jest i gnuśnik — począł, po izbie się przechadzając Henryk, i zawrócił się nagle do gospodarza.

— Ojczy, pragnienie mnie pali po łowach, przez miłosierdzie daj się napić czego, byle nie wody, bom już ją z kałuży pił.

Gdy kanclerz rad nie rad, do szafy w ścianie szedł po kubek i wino, rozpustne chłopię, wesoło biegając po izbie, potrącało bez najmniejszego poszanowania ogromne księgi.

— Semko gnuśnik — wołał. — On powinien iść do Polski i o koronę się starać. Gdybym ja na jego miejscu był, a wasy miał, zrobiłbym to, ale on... Będzie go Błachowa kołysała!!

Płock by naówczas spadł na wydziedziczonego Henryka, ojczy, i mielibyście naówczas takiego księcia, że lepszego, nie znajdziecie!

Codzień uczta, turniej, muzyka, codzień łowy. Dwór pański i świetny, trefnisiów przy biesiadzie, ile izba zmieści...

Podniósł ręce do góry.

Kanclerz podał mu kubek nalany, który wcale nie po dziecinnemu wychyliwszy, zaraz próżnym podał, aby mu nappełnił znowu.

— A co? nie prawdę mówię? — wołał rozochocony. — Takby było po bożemu i sprawiedliwie, i ja bym tej sutanny nie nosił, której się dziewczki boją, a ja jej nie cierpię.

— Nie bluźnijcie! — przerwał kanclerz oburzony, obcego świadka w kącie pokazując mu oczami.

Henryk, jakby go dopiero teraz postrzegł, poskoczył ku niemu, tak przyglądając się zblizka, jakby osobliwe jakie zwierzę, nieznanego rodzaju miał przed sobą. Wystawiony na to bystre, przenikające wejrzenie, Bobrek zmieszał się, skulił, zrobił małym i pokorniejszym jeszcze.

— Klecha? — zapytał Henryk. — Coś ty za jeden? słyszysz? zkąd? nie znam cię, gadaj co tu robisz?

— To skryptor wędrowny, który modlitwy przepisuje — rzekł kanclerz.

Henryk od stóp do głów, z pogardą wielką rozpatrywał się w biedaku, który nie śmiał podnieść oczów.

Odwrocił się potem od niego, niepowiedziawszy nic i sam do siebie tylko bąknął.

— Śmierdzi ten klechal

Kanclerz stojąc w pośrodku izby zdawał się czekać, aż niepotrzebny gość nocny, który nie zwykł był nigdzie miejsca zagrzewać, precz pójdzie sobie, ale książątka po izbie biegało.

— No? nie chcecie mi nic powiedzieć? — zawołał w końcu.

— O niczem nie wiem.

— Pójdę więc języka szukać gdzieindziej — odparł chłopak, i drzwiami trzasnąwszy wybiegł.

Łatwo mu się było domyśleć, gdzie Bartosz nocował, bo izby gościnne wiadome mu były, a choć w nich ani ognia, ani ruchu już nie było widać ni słyszać, wprost tam pobiegł książę Henryk.

W małej sionce na kulu słomy i dece od konia spał Bartoszowy giermek, który go nigdy nie odstępował.

Gdy książę lampkę wzięwszy u czeladzi do izdebki tej wkroczył, śpiące już pacholę, porwało za miecz i stanęło, drzwi pańskich bronić gotowe.

— Idźże precz, trutniu jakiś!—zawołał śmiejąc się Henryk.—Widzisz, że oręża nie mam, a zabijać nie myślę.

Przebudzony hałasem Bartosz w drugiej komnacie, wołał z niej.

— Kto tam? Czego? — I sam za oręż był gotów chwycić, gdy Henryk mu przez drzwi odpowiedział.

— Książę Henryk jestem, idę was powitać, choć późno, bo mnie wprzód doma nie było.

Giermek od drzwi odstąpił, a młode panie weszło lampkę trzymając. Na łożu wyslanem nisko, Bartosz mało co rozebrany, w kaftanie porozpinanym tylko spoczywał. Podniósł się nieco na widok wchodzącego.

— Leżcie sobie—rzekł Henryk, który stojącą niedaleko ławę przysunął do łoża. — Złem zrobił, żem wam sen przerwał, ale mi powiedziano, że jutro jechiecie do dnia, a pociąg przybyli, nikt mi powiedzieć nie umiał. Jam tu przecie trochę gospodarzem w tym Płocku, choć na probostwie tymczasem.

Przyszedłem was spytać.

Bartosz ledwie ze snu się trochę otrząsnąwszy, nie wiedział sam, co odpowiedzieć. Zawahał się.

Bystro go oczyma ciekawymi przenikał Henryk, niespokojnie kręcąc się na ławie.

— Sprawa między mną a Semkiem—rzekł z wolna Bartosz.

A mnie to o niej wiedzieć nie wolno?—podchwycił Henryk.

— Zapytajcie o nią brata swego, jeżeli on wam zwierzy się, nic przeciw temu mieć nie będę, ale sam mówić nie mogę.

Henryk się złośliwie uśmiechnął.

— Jam przecie nie dziecko!—rzekł.

Bartosz niezrozumiałe zrobił poruszenie.

— Kiedy wy mnie powiedzieć nie chcecie, z czemescie przybyli—rzekło książątko—to ja wam może powiem?

Starosta spojrział na chłopaka ciekawie.

— A tak—mówił Henryk. — Na Wielkiej Polsce się zawichrzyło, wy, Nałęczcie nie chcecie znać ani Domarata, ani Zygmunta, potrzeba wam Piasta. Namawiacie Semka sobie.

Semka ja znam, on tak w polu się bić gotów, gdy go co podrażni, w gniewie i zabić nawet, ale głowę i księstwo ważyć dla korony niepewnej, nie zechce...

Słuchał Bartosz z pewnem zdziwieniem, coraz mniej wiedząc, jak ma postąpić z zuchwałym panikiem...

Namyślił się.

— Mylicie się—rzekł w końcu zimno. — Jam po sąsiedzku na rozmowę i radę przybył do Semka, a o Piastach u nas jeszcze mowy nie ma, póki Luksemburczyk jest. Wprzódę się jednego trzeba zbyć, nim o nowym pomysłim panu...

A Semkowi, gdyby mu trzeba iść w pole, męztwa nie zabraknie...

— Męztwa znajdzie się tyle co w Białym — rozśmiał się Henryk.—I ten przecie ludzi żywych palił, a krzyku ich się nie bał i nie litował, no i zamki brał... i bitwy przegrywał.

Bartosz tylko zerknął na młokosa.

— Semkowi ja korony życzę—mówił Henryk dalej—bierzcie go sobie. Dałbym go wam ochotnie, na króla i na co chcecie, bobym po nim sobie Płock mógł wziąć.

— Ale wasza miłość jesteś do stanu duchownego przeznaczony—zamruczał Bartosz.

— Tak to było, za życia pana rodzica—westchnął chłopak. — Ojczysko się bodaj obawiało, aby Janusz i Semko, gdyby mi kawał ziemi przyszło dać, ze świata mnie nie sprzątnęli! Dla tego dzieckiem odzieli mnie w tę brudną sutannę, której nie cierpię, kazali

mi uczyć się abecadła i pisania i modlitw. Ale Panu Bogu ze mnie pociechy nie będzie, bom ja na klekę nie stworzony... Prędzej, później, choćby i infułę włożyli, cisnę ją, a żonkę sobie wezmę.

Rozśmiał się głośno.

— O tem myśleć wam zawcześnie!—odparł Bartosz krótko, markotny, z tego rozmowy obrotu.

— Zawcześnie?? Jak komu!—zawołał chłopak stawiając się dumnie.

Ja dziś już żonki potrzebuję, a dalej nie wytrzymam.

Starosta nic nie odpowiedział.

Napastliwe chłopię wiedziało już, że z niego nic nie wyciągnie.

— Jutro rano jechać macie?—zapytał.

— Muszę — odparł Bartosz. — Tego wy jesteście świadomi, że u nas burza wielka. Zamków moich strzedz muszę od Domarata, od Wierzbięty, od Grzymały z Oleśnicy i od wszystkich, wielu ich tam jest. Czuwać pilno potrzeba, a ludzi zbierać z kąd można.

— Gdybym ja na miejscu Semka był — zawołał Henryk—dałbym wam zaraz kopijników, ale pod mojemu rozkazami dwóch tylko chudych wikarjuszów, z których nikomu nic, i kulawi świątnicy, do misy dobry. Na wojnę nie mam z kim iść.

Westchnął małeć.

— Darmom was przebudził — dołożył powstając z ławy —więc szczęśliwej drogi i powodzenia z Domaratem. Semka gdybyście sobie wzięli, bardzobym rad...

To mówiąc młode książątko pokłoniło się od niechcena leżącemu i szło nazad z sypialni, nucąc po drodze. Noc już była ciemna.

W izbie kanclerza świeciło się jeszcze, ale tu już dzień się kończył modlitwą. Gospodarz domu odmawiał na głos pacierze, w pomoc wzywawszy wędrownego klekę, który mu do modlitwy odpowiadać musiał. Potem nie czas już było, przy zamkniętych wrotach

powracać do miasta i kanclerz około ognia posłać kazał podróżnemu, aby się układał i przespał do rana.

Bobrek nie kwapił się też bardzo z powrotem. Na zamku się miał czas rozsluchać i rozpatrzyć, a naza jutrz rano, gdy się w podwórcach ruszać zaczęło, nim na jutrznię zadzwoniono, zwłókl się z chudej pościółki i cichaczem wyniósł z mieszkania kanclerza.

Powolnym krokiem przesuwając się uważnie pomiędzy ludźmi, a ucha nastawiając bacznie, Bobrek doszedł do wrót już otwartych, razem z innemi, którzy do wodopojów i studeń szli; wysłiznął się w ulicę, i gdy coraz jaśniej dniało, znalazł się u wrót przyjaciela Pelcza.

Tu już furta była otwarta, baby dla rannej kądzieli i gospodarstwa powstawały, tylko piękna Anchen się nie pokazała. Pelcz także się wylegał, choć już nie spał...

Gdy drzwi pierwszej izby skrzypnęły, zawołał pytając, ktoby był, a usłyszawszy głos Bobrka, w chwilę potem, kożuch narzucił i wyszedł do niego.

— Strachu mi nie małego napędziliście — rzekł otyły kotlarz. — Niedoczekawszy was z powrotem do nocy, miałem niedobre przeczucia.

— A cóż mnie tam spotkać mogło! — uśmiechnął się błądy klecha. — Goły się rozboju nie boi.

— Gadajcie zdrowi — dodał wzdychając gospodarz. — My tu niemcy i ci co z nami trzymają, skóry swej niepewni i głowy... Nic dokończył kotlarz, tylko ciężkiem westchnieniem.

Bobrek się wzgardliwie uśmiechał. Spojrzeli sobie w oczy, niemi się porozumiewając.

— Cóż się na zamku dzieje! — zapytał ciekawie Pelcz.

— Pan Bóg mnie natchnął tu przybyć w samą porę — odezwał się głos zniżając i szepcząc Bobrek. — Nowin siła i bardzo ważne. Trzeba natychmiast śpieszyć z niemi. Dajcie mi czółno i przewoźników pewnych do Torunia. Położę się na dnie, sieciami

mnie przykryją. Muszę śpieszyć!—powtórzył Bobrek—pilno! pilno!

— Cóż tak nagli? mówcie?—przysuwając się ciękawie odezwał się gospodarz.—Po mnie ciarki chodzą!

— Królowi Loisiowi się zmarłol—odparł Bobrek.—Luksemburczyka Polacy nie chcą, ciągną Semka do siebie... Kto wie? Skusić gotowi! O tem w Toruniu nie wiedzą jeszcze pewnie...

Przybiegł wczoraj Bartosz z Odolanowa. Na rozmowie tajemnej raz i drugi trwali długo. Pewnie mu koronę przed oczyma świecą, gotów się dać im wziąć. Dla naszych panów jest co czynić. Zygmuntą popierać muszą, bo to ich jest człowiek, ale i z Semką korzystać mogą teraz... Na wszystko oko pilno trzeba mieć. Gdy się w Polsce zawieruszy, dla nich zawsze z tem dobrze... Kawał ziemi oderwą...

Semko grosza będzie żądny, da zastawą nad granicą szmat jaki...

Rozśmiał się Bobrek ręce zacierając. Pelcz z poszanowaniem, rozważą i głęboką wiarą a przejęciem słuchał klechy, którego rozumowi ufał...

— Co żywo! co tchu! mówił dalej klecha. Póki jeszcze dzień niebardzo jasny, idźmy na brzeg...

— Chodźmy, rybaków znajde znajomych, co was do Torunia zawiozą. Nie trzeba, aby widziano nas... ani mnie z wami.

To mówiąc Pelcz sam, winą wlawszy do garnuszka, do ognia przystawił, chleba ukroił, do alkierza idąc się przyodziać. Bobrek też zwijał się, nawet o pięknej Anchen zapomniawszy, która dopiero war-kocz splatała na przeciwko... Umarzłszy na chłodnym ranku, opończę swą odzyskaną, zawczasu wdział, a nogi grzał u ognia.

W mgnieniu oka przygotowania wszystkie zrobiono, polewkę parząc się nią, wypił klecha, chleb do ręki wziął, a gospodarz czapkę nałożył i już z nim ciągnął na brzeg rzeki. Po drodze tylko musiał do kilku chałup wstępować, z których mu się dwóch

ludzi z wścierzami udało wywolać. Dla niepoznaki ostrożny Bobrek, sutannę okrywszy opończą, na ramię też wścierz wziął i tak razem z Pelczem, pomiędzy pustemi ogrodami puścili się ku Wiśle.

Tu znaleźli do koła przymocowaną łódź, do której zaraz wskoczył klecha, i na dnie jej, okutawszy się, położył. Pelcz dopóki nie odbito od brzegu, stał nie odchodząc i pilnując.

Rybacy nie mieszkając chwycili wiosła i drągi, i nie wyszło kilku pacierzy, gdy już wśród rzeki byli.

Ani nawet dla pożegnania się z kotlarzem, klecha nie podniósł głowy: ktoby zdala był patrzył na to niewiune czółno, nad którym wścierze sterczały, a dwu ludzi powoziło, nie domyśliłby się nigdy, że na dnie jego spoczywał człowiek, który tymczasem w głowie swej zbierał i porządkował co wczoraj słyszał, wiedział, wyszpiegował i czego się domyślał.

Rybacy wprędce na środek rzeki się dostawszy, puścili łódź z jej biegiem i kierowana tylko, bez pomocy wiosła, sunęła się dalej żywo, tak, że zamek i miasto z oczów im zniknęło...

Bobrek zdawał się usypiać.

IV.

Jak szerokie naówczas były kraje korony polskiej, kąta w niej może całkiem spokojnego znaleźć było trudno... Gdzie nie było wojny, tam strach jej i niepewność o przyszłe losy życie trwały.

A trwał ten stan nie od dziś dnia, ani od śmierci króla Ludwika, poczęły się te niepokoje a ruchy.

Trwały one niemal przez całe jego panowanie, a teraz gdy nawet dalekiego króla nie stało, gdy narzucony mąż przyszedł królowej Maryi, Zygmunt Luksemburczyk, chłopak zaledwie dorastający, rządy chciał nad Polską obejmować, rozdzieliły się przekonania i zdania, miał-li prawo za sobą? Przyjąć go było, czy nie przyjmować?

Krakowscy panowie już się wrzekomo na niego zgadzali, choć i tym nie wszystkim smakował. W Wielkopolsce wrzało!

Zrazu mu się kłaniano, chłopię butne odpowiadało na to groźbami i taką pogardą dla biednej szlachty, jaką ją i Lois częstował.

Dokuczał tu samowolnemi groźbami Domarat z Pierzchna. Zaraz na pierwszym wstępie rzuciła się szlachta prosząc a błagając, aby go z Poznania wzięto.

Ale właśnie Domarat, ciemieżca ten wielki wraz z arcybiskupem Bodzantą, przyjmował tu Zygmunta, opiekował się nim, on mu podmuchiwał, co miał mówić i na którą stąpać nogę... Doradził więc panu tę grozę, której sam używał przeciw szlachcie krnąbrnej, nbogiej, niepozornej, ale wielkiego serca.

Odprawiono proszących ostro: — Słuchać go macie i milczeć.

A że Wielkopolanie już za Ludwika dosyć się wstydnęli i miotano nimi, nie słuchając ich a posłuszeństwo nakazując; serca szlacheckie były coraz silniej.

— Nie damy się!

Kazano im Domarata słuchać, odstąpili go wszyscy jako jeden, i kupka tylko Grzymalitów z nim została.

Po drugi raz zjechała się szlachta, domagając odpędzenia Domarata. Zygmunt rozsierzdził się jeszcze mocniej, grożąc ciemnicą i gardłem.

Nie było już mowy o posłuszeństwie, rozpierzchnęło się co żyło... Z końca w koniec Wielkopolski brzmiało:

— Nie chcemy ani Zygmunta ani Domarata. —
Precz z niemcem!

Zaraźliwa to rzecz, gdy się weźmie jedno wołanie. Z Wielkopolski poszło ono do Krakowa, i tam ludzie się rozmyślać poczęli.—Co nam po tym młokosie? Będzie jak Lois na Węgrzech siedział a nas na wielkorządy zdawał. Tegośmy już mieli dosyć.

Inny też jakiś wiatr zawiewał od Węgier od królowej matki, w Krakowie śpiewano inaczej. Mówiono, iż król zmarły tego sobie życzył, i tak przeznaczył, aby jedna z córek była węgierską, druga polską królową. Mogli więc sobie jedną panienkę dostać, na panią ją wychować, a wyswatać jak im było po sercu.

Panowie krakowscy, którzy najbliżej tej przyszłej królowej stać mieli, powiadali sobie: Jużci gdy ją swatać będziemy, a z nią komuś królestwo potężne damy; musi wdzięczny być dziewczosłębom. Każdemu z nich coś się okroi, komu ziemi szmat, komu ze skarba skojec...

U przyszłego pana, ci co go przyprowadzą, wezmą pierwsze urzędy główne, będą przy nim stali, z nim rządzą.

Zygmuntowi, który już na pół królem był, sprawa się i suła.

Z Małej i Wielkiej Polski zwołano się na Świętą Katarzynę do Radomska. Tam mieli wspólnemi głosami Krakowianie i Wielkopolska radzić i stanowić, co dalej czynić.

Tu się po raz pierwszy odezwały głosy nie za Maryą, ale za drugą córką królowej Jadwigą.—Niech nam ją pani Elżbieta da, mamy Semka Piasta, panię młode, krew naszą, połączym ich, królować nam będą.

Zaledwie się z Semkiem odezwano, Wielkopolanie jak za swoim poczęli gardlować. Semko i Senkol powtarzano przez nienawiść dla Zygmunta więcej może niż z miłości dla niego.

Ale i on dobrym im był, bo ze wszystkich Pia-

stów, Mazurowie tylko dochowali się polskiem, reszta zniemczała.

Daleko mniej smakował Mazur Małopolanom, bo dla nich za mało miał oglądy, blasku i pańskości; a obawiano się srogości krwi Ziemowitowej.

Domarat i Bodzanta, będący też na zjeździe w Radomsku, którzy już w katedrze gnieźnieńskiej sadzali na tronie Zygmunta, ulekli się.

— Przysięgaliśmy Zygmuntowi — poczęli wołać — nie możemy myśleć o żadnym innym panu. On naszym królem jest i musi być.

Nie słuchano ich, powtarzano:

— Jednej z córek Loisa, jakośmy się zobowiązali i poprzysięgli tak damy tron, ale męża jej dobierzemy, któryby u nas mieszkał i rządził sam nami.

W końcu musieli na to przystać wszyscy, Małopolanie i Wielkopolarie. Nałajano się, nasporzono dużo, stanęło na tem, aby zwołać się znowu na sejm wielki do Wiślicy, na święty Mikołaj...

Tu niemała gromadka, jak w Miłosławiu i Radomsku, być miała, ale z obu połowie kraju, kto żyw, przybyć się obiecywał. Było zawołanie wielkie, wiec powszechny, ten stanowić miał to, co się stać musiało.

Gdy się to działo, Zygmunt jeszcze gościł w Wielkopolsce. Domarat i Bodzanta dodawali mu otuchy. Byle jechał do Wiślicy, pokazał się tam, pewni byli, że się jego majestatowi szlachta pokłoni.

Dobrze przed świętym Mikołajem, choć to pora najgorsza do podróży, bo na pół błota, pół grudy, ciągnęli Wielkopolarie, Krakowianie i Sandomierzanie ku Wiślicy. Zdało się każdemu, że jak do młyna, kto pierwszy przybędzie, ten będzie mełł, i maki dostanie.

Stary ów gród obmurowany, warowny, pełen Łokietkowych pamiątek, Kaźmierzowych ustaw, prastarych wspomnień, który pusty i cichy stał długo i drzemał się zdawał wśród błot swoich, odżył znowu.

Ale życie to było inne wcale niż w owe czasy,

gdy mały żelazny pan wyruszał ztąd na zdobycie państwa i korony, w imię Boże, pokutę odprawivszy w Rzymie w miłościwe lato! I inne też niż gdy chłopów król prawa tu dawał i poprzysięgał, inne, a może gorsze niż w niepewne czasy małego króla, i w spokojne czasy wielkiego prawodawcy.

Z tamtych państwa podwalin choć co pozostało, czas prędko poszczerbił a popsuł, co się było spoilo, rozpadało się znowu. Pana swojej krwi nie było, króla trzeba było żebrać i prosić u obcych.

Chmurno było przed oczyma ludzi, tak, że przyszłości nikt jeszcze dojrzeć nie mógł.

Na zamku jak w domu rozgościł się już był Margrabia Zygmunt, przyszedł król, z Domaratem, przy kościele zajął mieszkanie Arcybiskup Bodzanta. Oczekiwali na przybywających, aby ich sobie pozyskać. Lecz zaraz z początku okazało się, że sprawa nie pójdzie po ich myśli.

Zjeżdżali się krakowscy panowie. Jédnego dnia, ze dworem licznym, po książęcemu, przyciągnął poważny a poważany Jaśko z Tęczyna kasztelan wojnicki.

Dano znać Domaratowi o nim. Wybiegł naprzeciw niego, zapraszając na zamek gospodą.

Zjechali się na gościńcu.

— Czołem!

— Czołem!

Domarat bystry, dumny a gwałtowny człowiek, z oczów myśli czytać umiejący, w powitaniu chłód poczuł, który wiał nań od kasztelana.

Stary Toporczyk jechał tak spokojny, jakby się niczem nie trwożył, a przyszłości dobrej był pewien.

— Na zamekby wam z nami gospodą — odezwał się Domarat, na mury ręką wskazując. — Zygmunt Margrabia pan nasz, tam już jest i na was czeka... Niech się inni jako mogą po mieście rozkładają, wam przystało być u pańskiego boku.

Jaśko tylko głowę pochylił, dziękując.

— Na gospodę łatwo znajdziecie łakomego — rzekł — ja za nią dziękuję, bo czeladzi mam dużo, a przodem posławszy, jużem domostwo wziął i szopy dla koni... Tam mnie czekają.

Gdy w bramę wjechali, pożegnał Topor Domarata, w ulicę zawracając. Sędziwój z Szubina tak samo za gospodę w zamku dziękował, nie przyjmując jej; a co najgorzej, odmówił czei tej i Dobiesław z Kurzwek, w którego rękach był zamek krakowski, a prawie tak jak Kraków cały.

Do pańskiego stołu na zamek nie garnęli się ludzie, tylko maleńcy, i tacy, od których niemiec, mówić do nich nie chcąc, z pogardą się odwracał. Tych, przy których waga była największa, ani Domarat ani Bodzanta ściągnąć nie zdołali.

Luksemburczyk w początku króla chciał udawać, aż postrzegł, że mu do korony jeszcze daleko, i choć go już w Wielkopolsce królem za Domaratem okrzykiwano, choć go nim w Gnieźnie witał Bodzanta, tu on był sobie margrafem niemieckim, i nie więcej.

Przybywający na zjazd nie ścigali się do zamku, nie śpieszyli do arcybiskupa; zbierali się pokątnie to tu, to owdzie i naradzali pocichu.

Tymczasem młodą panię, myślało o tem, jakby olśnić tych niepocześnie poodziewanych i kożuchami śmierdzących Polaków, a wystąpić przed nimi jak najświetniej.

Więc i sam Zygmunt stroił się od złota i klejnotów i dwór jego występował w szytych sukniach, z herbami pańskimi, świecąc, barwnie, bogato. Szlachta w opończach i butach grubych patrzyła na to cudaństwo, pytając, czy to byli trefnisie niemieccy i dlaczego ich tak wielu.

Na błaznów w istocie dwór ten tak upstrzony wyglądał.

Domarat widział już, że nie po myśli się rzeczy składały, ale Zygmuntowi nie odejmował serca, owszem tak mu wszystko tłumaczył, jakby stało najlepiej.

Wesoło więc, pewien siebie czekał panicz, rychło się wszyscy zjadą, a święty Mikołaj da mu koronę.

W wigilią tego dnia pełną już była Wiślica, chociaż ciągle jeszcze ludzi przybywało gromadami. Każdy starszy z rodu lub dostojęstwa wiódł za sobą zastęp cały. Dano też znać Zygmunтови, że z Krakowa ciągną posłowie węgierscy królowej matki, Biskupi: Jagierski Stefan i Czarnadzki Jan, a z niemi panów dwu, których baronami i grafami mianowano.

Domarat w wigilią Ś. Mikołaja wyprawił naprzeciw nich dworzanina, aby posłów spotkawszy na zamek prowadził. Cieszono się tem, iż pomoc niechybna Zygmunтови przybywała.

Markgraf lekko rzeczy biorący, ani się tem radował, ani zbytnią przywiązywał wagę do poselstwa królowej, pewien był swego. Gdzieby mu zaś to barbarzyństwo opierać się śmiało??

Domarat rachował na silne poparcia i odzyskał ducha. Nad wieczór wreszcie wozy i konnica ich do Wiślicy przyciągnęła. Ale biskupi dwaj, z których jeden ks. Jan, już w Polsce bywał, kraj i ludzi po troszę znał, zamiast na zamek do arcybiskupa pod kościół się wprosił ze swym towarzyszem. Dwaj zaś magnaci nie mieli wyboru, i tych na zamek wzięto. Z temi Domarat częścią przez tłumacza, częścią po łacinie musiał się porozumiewać, bo po polsku nie rozumieli.

Oba lat dojrzałych, poważnie, dumnie wyglądający, czarno zarośli, wzrostu ogromnego, do rozmowy nie okazywali się chętnymi. Patrzali niewesoło.

Gdy nieco spoczęli, markgraf ich kazał prosić do siebie na wieczerzę.

Lubiące występować panie, ustroiło się od jedwabów i łańcuchów, królewską przybierając postawę.

Weszli dwaj Węgrowie, także się ochędoźnie przybrawszy, łańcuchy na szyje pokładłszy, z poszanowaniem, ale bez zbytniej uniżności dla przyszłego pana swojego.

Zygmunt jako żywy i lekkomyślny był, zaraz im sprawę swoją przekładać zaczął, wyśmiewając Polaków.

Do starszego z nich, który urząd podkomorzego przy dworze Elżbiety pełnił, przystępując, rzekł.

— Dobrze, żeście mi tu w pomoc przyciągnęli, aby prędzej ten śmieszny a bezrozumny opór złamać, który mi tu zuchwali ludzie, niepamiętni swych przysiąg, stawiać śmieją. Sami niewiedzą czego chcą, burzą się, i buntują!

Przyjęli mnie wszyscy niemal, i główny arcypasterz Gnieźnieński, jako króla, cześć mi oddawali wielką, na tronie sadzali w Gnieźnie, a teraz, że oto tego (wskazał na Domarata) znieść nie mogą, podnieśli bunt...

Zagroziłem im karaniem wielkiem...

Podkomorzy ów, którego Ferenczem mianowano, wcale gorącości Zygmuntovej nie dzieląc, rzekł chłodno.

— My tu za towarzyszków biskupom Janowi i Stefanowi dodani, spraw tych nie znając, to poczniemy, co oni wskażą... Królowa Jejmość zdała wszystko na panów duchownych.

Przy stole o niczem prawie mówić nie chcąc, prócz pospolitych rzeczy, więcej się temu przysłuchiwali, co inni rozpowiadali.

Biskupi zaś węgierscy, na których markgraf czekał dnia tego napróżno, drogą zmęczenia, wymówili się, iż spoczynku potrzebowali.

Zygmunt z tego wszystkiego nic sobie nie czynił, pewnym będąc matki przyszłej żony swojej, która go sama do Polski wyprawiła. Ufał w to, że posłowie z niczem innem przybyć nie mogli, tylko aby prawo jego do korony popierali.

Domarat więcej się zafrasował i zakłopotał. Nie czekając dnia następnego, sam pobiegł na probostwo do ichmościów biskupów, wrzekomo dla powitania ich,

w istocie dla wyrozumienia, jaki wiatr wiał z tych Węgier.

Nim go do izb wpuszczono, w których biskupi węgierscy wieczerzali, zobaczywszy przyjeżdżającego arcybiskup Bodzanta, do malej komórki przy micszkanu swem zaprowadził.

Twarz miał tak pomieszaną i niepokojem napiętowaną, że i Domaratowi samo wejście nań trwożę sprawiło, choć przyczyny żadnej do obawy nie znał, a poselstwo jeszcze jako poparcie Zygmunta i posiłek przybywający im, uważał...

Wszedłszy do komórki, gdy Domarat rękę arcybiskupa ucałował, ten rzekł do niego śpiesznie.

— Zaprawdę, zaprawdę, nie wiem, co się dzieje! Dusza moja strwożona jest wielce. Staralem się wyrozumieć braci moich, szczególnie Jana, dawniej mi znajomego, w jaki sposób Zygmuntovi posiłkować myślą, jakich użyją argumentów, aby go na królestwie utwierdzili, znalazłem ich obu milczących, zamkniętych. Nie mówią nic, oczy spuszczaają. Lękam się aby *foemina variabilis*, królowa nas nie opuściła, lub całkiem nie zawiodła, na sztych wystawiwszy.

Zalał rękę arcybiskup, a Domarat żywo opowiadać zaczął, jako panowie węgierscy, neutralnie się względem markgrafa znajdowali, i na panów biskupów powołując, o niczem też mówić nie chcieli.

— My tego do jutra w takiej niepewności zostawać nie możemy—zawołał gorąco popędliwy Domarat, któremu więcej może o siebie niż o Zygmunta chodziło, a lękał się, aby nie padł z nim razem. Idźmy do nich, trzeba się rozmówić otwarcie. Wiedzmy co nas czeka, aby środki zapobieżenia zdradzie przedsiębrać zawczasu.

Bodzanta sam niemało strwożony, po chwili namysłu, szedł Domarata, wiodąc za sobą Bodzanta do izby, w której dwaj biskupi, jeszcze za stołem nad misą orzechów i migdałów siedzieli, słodkiem winem z małych kubków popijając.

Widać było, że z nich dwu, Jan biskup Czarnadzki czynniejszym tu miał być, bo choć przodek przed nim brał, poważny starzec Stefan biskup Jagierski, słowo przy nim zostawało. Tamten tylko, orzechy gryząc, znaki przyzwolenia głową dawał.

Gdy do izby wchodzili, dwóch kanoników i prałat Węgrów zabawiali, lecz ujrawszy Bodzantę, który Domarata prowadził za sobą, do przybocznej izby zaraz się usunęli.

Zostali sami z niemi.

Ucałowawszy ręce pasterzy, na wskazanem miejscu siadł Domarat, kołpak gniotąc w rękach. Twarz mu z niecierpliwości kurczyła się i drgała, a oczy mrugały...

Nie wytrzymawszy długo, począł się rozwodzić nad tem, jak Zygmunt królowej Imci powinien być wdzięcznym być za poselstwo, w sam czas nadciągające, aby Polakom ich przysięgi przypomnieć.

Śluchał tej przemowy ks. Jan biskup Czarnadzki, zęby wykluwając, obojętnie dosyć, aż gdy Domarat go prawie do muru przyparł, by się oświadczył co myślał, rzekł chłodno i ociągając się.

— Mylicie się, miłość wasza, sądząc, że my w sprawie markgrafa Zygmunta przybyliśmy. Późniejsze dopiero wypadki o niej zawyrokują. Królowa Imci zleciła nam przedewszystkiem, wysłuchać skarg i żądań panów ziemian królestwa tego. Mamy jej z nich zdać sprawę, a o jedno upominać się tylko, ażeby jednej z córek królowej wiary dechowano...

„Jednej z córek“? zabrzmiało groźbą w uszach Domarata.

— Lecz niema w tem wątpliwości żadnej—przerwał gwałtownie, że dla nas żadna inna tylko królowna Marya jest wyznaczoną. A że z nią w dzieciństwie połączonym był już markgraf Zygmunt, więc ten jest z nią królem naszym, i myśmy go jako króla przyjęli!

Biskup Stefan słuchając, głowę kręcił i zwrócił się do ks. Jana, jakby mu odpowiedzieć zlecał.

— Z ogłoszeniem króla, pośpieszyliście się nieco, odezwał się ks. Jan powolnie.—Markgraf z naszą królową zaręczony jest, ale ona nie została mu posłubioną.

Polacy chcą dla siebie króla mieć, któryby ich tylko był, a Zygmunt prawdopodobnie na Węgrzech panować będzie. Rzeczy więc jeszcze nie są rozstrzygnięte...

Powtórzę jeszcze, iż przy tem tylko stać musimy mocno, a bronić aby jednej z naszych królowien wiary nie złamano.

A po chwilce dodał biskup wzdychając.

— Tu zaś powszechnie głoszą, iż wielu sobie markgrafa za króla nie życzy...

Zerwał się Domarat z siedzenia.

— Doniesiono wam fałszywie—zawołał.—Co jest u nas ludzi przedniejszych a rozumnych, to wszystko markgrafa królem uznało. Garść wichrzycieli potrzeba zmusić do posłuszeństwa i milezenia.

— To, rzecz wasza!—odparł biskup Czarnadzki.—My tu obcy, pokój nie wojnę przynosimy. Wysłuchamy tego, co jutro panowie wasi mówić będą, i postąpić wedle okoliczności.

Niecierpliwy Domarat raz jeszcze głos zabrał, popierany przez arcybiskupa, długo za Zygmuntem gardłował. Postrzegł w końcu, że biskupi oba, sporu z nim zaprzestawszy, milczeli, słuchali, zdania żadnego nie objawiając.

Próżno więc było silić się na przekonanie tych, co przekonani być nie chcieli.

Gdy przyszło się żegnać, Domarat wcale ztąd odchodził z innem przekonaniem, niż przybywał. Męstwa i ufności utracił wiele.

Myślał nad tem, czy ze zmianą położenia miał się Zygmunтови odkryć, lub nie. Nie zdało mu się to

w końcu potrzebnem, bo same wypadki nazajutrz miały mu otworzyć oczy.

Męztwa odbierać, ani gniewu obudzać zawczasu nie chciał.

Zamiast do księcia, pojechał Domarat jeszcze po gospodach panów krakowskich, starając się ich jednać sobie i Zygmunтови. Ale i tu zawód go spotkał, nawet u tych, których pewien był, że wiernie ze dworem trzymali. Stawili się wszyscy zimno, sprawy mark-grafa nie biorąc do serca, a popierając prawa jednej z królewien.

Dobiesław z Kurozwęk, o którym Domarat trzymał, że wielkiego rozumu nie miał, szczególnie milczący był i w sobie zamknięty. Postękiwał tylko na wielce ciężkie czasy.

Inni się odwoływali do tego, co na jutrzejszem zebraniu postanowionem być miało.

Całą niemal tę noc wigilii Św. Mikołaja niespokojny Domarat spędził bezsennie. Na zamek powróciwszy, musiał słuchać, co mu jego słudzy przynosili, powysyłani na zwiady, innym dawać nauki, jak się nazajutrz obracać mieli.

Z liku po gospodach okazywało się, że z druhów Domarata wielu do Wiślicy nie nadciągnęło, a z nieprzyjaciół mało kogo brakło.

Tu się go nie obawiano wcale, więc i tacy Wielkopolanie, co gdzieindziej nie radziby się byli z nim spotkać, śmiało przybyli, nie kryjąc się z sobą.

Przyjechał i Bartosz z Odolanowa, którego wielkorządca za najgorszego i najniebezpieczniejszego przeciwnika liczył. Ten jednak z orężem w rękę głównie był straszny, słowem zaś nie lubił szermować.

Inny z Nałęczów był gębą całego rodu.

Zwano go Otkiem, a obyczajem wieku, przeżywało starego Lepiechę. Miał ten Otek na granicy Kujaw, ziemi przestrzeń dużą, majątności borowe. Zamożny był bardzo, nawet, z czem naówczas mało kto

mógł się pochlubić, w grzywny i grosz zapaśnym był.

Mimo to, z pozoru wejrzawszy nań, trudno było od kmiecia lub chłopą odróżnić. Chodził zawsze w kożuchu wytartym, często w skórniach prostych, w czapce baraniej, w koszuli zgrzebnej. Twarz miał opaloną, płamistą, ręce czarne ogromne, oblicze straszne zboja, wejrzenie jak piorun rażące, a umyślnie zdawał się przybierać pozór człowieka ubogiego, aby przy nim jego możność i znaczenie silniej odbijało.

Wiedzieli bowiem wszyscy, że na jego zawołanie, ubogich Nałęczów i ich powinowatych gromady zbiedz się każdego czasu były gotowe. Znaczniejsza ich część za wodza go swojego miała, i nie bez przyczyny, bo karmić ich, poić, osłaniać, bronić i pomagać każdego czasu był gotów, choć despotycznie się obchodził z niemi.

Otek Lepiecha łatwoby był mógł i dla rodu swego i dla zamożności dojść do urzędów znacznych, kasztelanem zostać lub starostą, ale nie chciał. Powiadał zawsze, iż on doma nikomu nie służąc, sam sobie wojewodą i panem jest, a na tem ma dosyć.

Spojrzawszy nań, niktby go inaczej nie nazwał, tylko chłopiskiem, ale rozum miał i naukę wcale niepowszednią.

Chłopcikiem jeszcze pono do stanu duchownego się sposobił, który porzucił, gdy mu starsze rodzeństwo i ojciec zmarł. Umiał więc dużo, bo zamłodu po ten rozum co w księgach siedzi, jeździł do Pragi i do Krakowa. Została mu z tych czasów pobożność gorąca, wymowa wielka, cudna, a łatwo zrozumiała tak, że wszystkim trafiała do sere i do głowy. Lada kłecha w dysputę się z nim wdać nie ważył, bo rzadko z niej kto cało wyszedł.

Lepiecha jak wyglądał niepozornie, tak życie też prowadził prostym chłopskim obyczajem. Nikt u niego w domu innego sprzętu i jadła nie znalazł, tylko ten, co u kmiecia lub po prastarych dworach. Spał na wyszarzanej skórze, latem w płótnie, zimą w wy-

szarzanym kozuchu, lada jako przepasanym chadzał, zbytkami się wszelkimi brzydził i za zgubę duszną je uważał. Co miał bogatego, pięknego, to do domu Bożego niósł na ofiarę.

Było coś w tej pogardzie wszelkiej miękkości i świecideł poszanowania godnego, ale też i obrachowanego na to. aby ludziom w oczy wpadało, bo Otek się tak chlubił latami na kozuchu, jak inni złotemi łańcuchy.

Bądź co bądź szanowali go ludzie, bo mimo tej próżności, serca był chrześcijańskiego, litościwego i dla biednych miłosierny.

O Lepiesze dowiedziawszy się Domarat, że i on do Wiślicy zjechał, i to nie sam ale z chmarą Nałęczów, bardzo był markotny, bo temu żadną siłą, strachem ni powagą, gęby zawiązać nikt nie potrafił.

Tak się wszyscy na ów wielki dzień świętego Miłkołaja gotowali, iż o szarym brzasku mszę odprawiono, aby co rychlej począć obrady. Na zamek zawczasu ciągnęła szlachta gromadnie.

Żadna ich tam izba i największa, pomieścić nie mogła, co przewidując, szopę w podwórce pobudowano wielką, która drzwiami wchodowymi szerokiemi z sienią i izbami zamkowemi się łączyła. Nie było czasu ani potrzeby jej ubierać; ściany zarzucano tarcicami w słupy, ławy tylko dla starszyny i duchowieństwa ustawiono pod ścianą zamkową. Zresztą na ziemi słomy nasłano grubo, i dach też nią był pokryty. Światła tyle było, co przez szerokie wnijsia wpadało.

Jeszcze ani markgraf, ani arcybiskup i biskupi węgierscy nie stawili się do szopy, gdy ona już prawie była pełną, a gwarną jak targowica.

Była to chwila może najwięcej stanowiąca, bo się ludzie porozumiewali. Spotykano się, obejmowano, witano, przypominano, zapoznawano, głośno każdy mówił o tem, co na sercu miał. Nikt się taić nie myślał z tem co przynosił, a wielu z czasu korzystając

nawracać się starali tych, co nie wiedzieli, w którą stronę iść mają.

Markgraf Zygmunt, który się na ten dzień dla okazu i olśnienia, przystroił jak nigdy, czekał tylko na poselstwo węgierskie i panów krakowskich, aby z nimi jak ze dworem swoim wyniść do zgromadzonych.

Domagał się koniecznie, aby mu siedzenie, nakształt tronu wystawiono na wywyższeniu, osobno. A że na zamku był stary tron Kaźmierzowski na nim koniecznie zasiąść sobie życzył.

I posadziłby go był na nim Domarat z Bodzantą, ale się ulekli, ażeby szlachty widokiem tego tronu więcej jeszcze nie rozjątrzyć. Tłumaczyli mu więc, że w Polsce nawet koronowani królowie, gdy publicznie występowali, nie mieli ani wyższego ani innego krzesła, tylko takie, jak arcybiskupi, którzy też stanowili duchownemu królowali.

Dwa więc jednakie siedzenia ustawione być miały dla Bodzanty i dla młodego Zygmunta. Przy tych zajmować mieli miejsca posłowie królowej, dalej starszyzna krakowska i wielkopolska.

Musiał się na to zgodzić Zygmunt, rachując, iż choćby wspaniałym ubiorem wszystkich zaćmi, i majestat swój okaże. Na dzień ten wdział co miał najprzedniejszego; suknię francuską bogato wyszywaną w różne zwierzęta i ptaki, zbroję złoconą, hełm z pawimi piórami rozłożystemi, płaszcz szkarłatny, gronostajami podbity i buciki z nosami, których złote łańcuszki za każdym poruszeniem pobrzękiwały.

Na zbroję rzucony łańcuch gruby dźwigał smoka przedziwnej roboty, który z paszczy buchał złotym płomieniem.

Z panów krakowskich najwspanialej wystąpił Dobiesław z Knrozwek, najpoważniej Jaśko Topor. Inni im też nie ustępowali, a w tłumie po ubiorach, łaćno było rozróżnić szlachtę ziem wszelkich, bo nie wszyscy się nosili jednako.

Do większych miast i ich okolic, do gródków na handlowych gościńcach leżących, do krajów nadgranicznych przenikał łatwiej towar obcy, tkaniny zachodnie, jedwabie ze wschodu i kroje sukien cudzoziemskie. W innych zakątkach trzymał się obyczaj i suknia prastara, często jak najprostsza i niepozorna. Ci co od Rusi jechali co innego na sobie mieli, niż przybywający od zachodu, orężem się też różnili, głowy pokryciem i samemi twarzami nawet.

Każda też ziemia trzymała się tu kupą, mając wodza i mówców swoich. Wielkopolska jak rozciął, widomie się na cztery połowy rozpołowila, które nawet z sobą sąsiadować nie chciały w szopie.

Jedna z nich, wśród której widać było Otkę Należca Lepiechę, przyparła się do Sandomierzanów, druga z Grzymałą z Oleśnicy i wszystkiemi Grzymałównymi sprzymierzeńcami przy Domaracie, bliżej Zygmunta się umieściła.

Za Lepiechą widać było Bartosza z Odolanowa, który dobrą pół głową innych przerastał. Nie gotował się on tu do głosu, bo był, jak sam powiadał, nie do bajania, a do bijania stworzony; chciał jednak słyszeć i widzieć, co się tu dzieć miało.

Gdy Zygmunt wszedł w szyszaku pierzastym na głowie, a z nim biskupi i starszyzna, trwał jeszcze szmer chwili, aż na dane znaki uciszać się zaczął. Arcybiskup ciągle ręką ukazywał, aby milczenie nastąpiło, i posłom węgierskim dał głos pierwszy.

Podniósł się tedy, nieco czapeczki uchyliwszy, ks. Jan biskup Czarnadzi, i po łacinie mowę rozpoczął, którą tłumaczono sobie jak kto mógł, bo na klekach nie zbywało.

Nawet ów Bobrek, któregośmy widzieli tak śpiesznie odpływającym do Torunia, znalazł się w Wiślicy. Tu tylko mniej na klekę wyglądał, odziany był neutralnie, nie do rozpoznania, tak aby go jedni mogli za duchownego wziąć, drudzy bodaj za szlacheica.

Miejsce sobie znalazł między Wielkopolanami wygodne do słuchania, a niewidoczne, w kącie.

Posel królowej ogłębnie bardzo mówić począł do zgromadzonych, zagaiwszy tem, że królowa IMśś wdzięczna była panom i ziemianom wszystkich krajów za dochowaną przysięgę i wierność paktom przyśiężonym, które koronę polską jednej z córek jej zapewniały.

Gdy to rzekł, niewymieniając Maryi, poruszył się i zżymnął Domarat, Zygmunt zmarszczył dumnie, ale biskupowi nikt mowy przerywać nie śmiał; zwłaszcza, że wielka większość przytomnych widocznie ją dobrze przyjmowała, krom arcybiskupa Bodzanty, który siedział ze smutnie spuszczonemi oczyma, Domarata i Grzymałów.

Na twarzy arcybiskupa nie malowała się żadna wyrazistsza niechęć ani opór. Od dnia wczorajszego ostygł był znacznie, co Domarat już poczuł. Słuchał Bodzanta z namaszczeniem, z rezygnacją, nie przecząc, nie potwierdzając, ani obliczem ni postawą.

Markgraf coraz niecierpliwiej się na swem siedzeniu poruszał, coraz dumniej głowę podnosił, płaszcza poprawiał, nogami przebierał i łańcuszkami brząkał, jakby do tańca chciał iść. Ale to było wszystko dla pokrycia gniewu, który go ogarniał. Oświadczenie posła przychodziło całę niespodzianie i raziło go jak obuchem.

Tymczasem biskup Czarnadzki ciągnął dalej, z wielką zręczności, mówiąc więcej tem co przemilczał, niż tem co glosił.

Więc o królownie Maryi, ani słóweczkiem nie napomknął, o markgrafie nie wspominał wcale, jakby go ani tu, ani na świecie nie było, a dobitnie i jasno wyluszczał, iż nie wyrzeczono dotąd, która z królewien dla Polaków ma być przeznaczoną. Dopóki zaś nie nastąpiło postanowienie wyraźnie, i umowa ostateczna, Polacy nie powinni byli przedwzecznie zamków i rządów oddawać nikomu!!

Wypowiedział to tak jasno, tak dobitnie, wcale Zygmunta nie wyłączając, iż markgraf dotknięty tem i poruszony o mało się nie zerwał z krzesła. Wejrzenie Domarata tylko go wstrzymało.

Zaledwie biskup Czarnadzki skończył, gdy podkomorzy Ferencz na dany znak powstawszy, powtórzył za nim toż samo, tylko mniej zręcznie.

Wypowiedział bowiem wyraźnie, iż królowa życzy, aby rządów nikomu ani panu Zygmuntowi nie zdawano, dopóki by coś nie postawiono!

Nie dano mu prawie dokończyć, taka wrzawa wesola zerwała się po stronie Nałęczów, z wielkopolskiego kąta, i Lepiecha rękę podnosząc do góry, wołać począł.

— Powinna się stać i stanie się wola królowej pani, a nie pana Domarata, który nam króla ze swej ręki dać chciał, za co król jego nam na kark posadzić obiecał...

Gdyby pan Domarat aniola z nieba na królowanie sprowadził, od niego byśmy nie przyjęli!

Dziękujemy królowej, że słusznym prośbom naszym uczyniła zadość. Niechże dopełni tego i z panem markgrafem weźmie sobie i sługę jego, a czeladź Domaratową...

Cierpieć ich nie możemy i nie będziemy!

Huknęli za Lepiechą wszyscy Nałęcze, a Bodzanta przestraszony, obie ręce podniósłszy, milczenie nakazał... Więc choć nierychło i niełatwo, przywrócono spokój i ciszę.

Zygmunt z dumą i wzgardą oparłszy się na poręcz krzesła, nogę na nogę zarzuciwszy, w górę oczy wlepil, gdzie wróble w strzesze na przekorę szlachcie świergotały.

Gdyby nie Domarat, opuściłby był pewnie szopę, taki nim gniew miotał, tak mu tłum ten śmierdział.

Wstał zwolna poważny Jaśko z Tęczyna i począł do posłów się zwracając, bardzo mądrze im dziękować, a zapewniać, iż jedno w zgodzie z narodem

królowa IMść królestwu temu i córkom swym szczęście i pokój zapewnić może.

Rozszerzył się nad tem jak nieodzownie potrzebnem było, aby przyszła królowa i król w kraju zamieszkali i bez przerwy czuwali nad nim, na innych się nie spuszczać...

Jaśko z Tęczyna powagę u swoich miał wielką, niemniejszą u obcych, można więc było wnosić, że mówił to nie z siebie, ale za zgodą panów krakowskich. Zachmurzyli się wielce Grzymałowie, Domarat zbladł jak trup i trząsł się, Bodzanta wzdychał po stronach patrząc.

Zaledwie kasztelan Wojnicki dokończył, gdy głosy z różnych stron zrywać się zaczęły, a arcybiskup roztargniony, zamyślony, poskramiać ich i kierować nimi zaniedbał...

Nad wszystkich głośniej wołał Lepiecha, a że ludzie go słuchać byli ciekawi, uciszać się zaczęło.

Któryś z usłużnych Nałęczów, w podwórzu pochwyciwszy pieniek, na którym skałki łupano, na ramionach go do szopy wniósł i wlaśnie w porę pod nogi Lepiesze zatoczył, aby wyżej stanąwszy, lepiej się mógł dać słyszeć.

Tak więc ów mówca w brudnym i odartym kożuchu, ręcznikiem białym ale zbrukanym podpasany, wzniósłszy się po nad swych Wielkopolan, prawie zaczął.

— Paniątko ono niemieckie, które cudzoziemskimi zapachy wonieje, do jakich my nie nawykliśmy, nie dla nas; my ludzie prości, rzepą wykarmieni. czosnkiem jemu śmierdzim, a on nam zbyt szafranem będzie woniał!

Z naszej ubogiej ziemi na te złociste szaty, w jakich chodzić nawykł, by nie stało... Nasi starzy królowie tak chodzili jako my, jedli to co my, tym językiem co my pana Boga chwalili, a nam rozkazywali; żaden z nich nas z izby nie wypędzał, gdy do stołu miał zasiadać.

Temu panu co nam go przywieźli z Węgier, oprócz

Domaratowych nikt się na oczy pokazać nie ważył, niemiecka służba rozpędzała wyśmiewając. Jeszcze go królem nie koronowano, gdy tak poczynił, cóżby było potem?

Panowie krakowscy coś też wiedzieć powinni o wielkiej miłości jaką dla nas ma, kiedy im na Zwierzynieckie probostwo, zamiast Nankiera, Niemca jakiegoś czy Czecha chciał wsadzić!

Jutroby wojewodowie i wielkorządcy do nas z Budy i Wyszehradu jechali. Że pan Domarat i krew jego, pana tego na tron gwałtemby wsadzić chcieli, nie dziwota. Im nie o Polskę chodzi, ale o własną skórę, której nie są pewni, gdy nam sprawiedliwy król będzie panował.

Kłanialiśmy się temu panięciu nie raz, ale trzykroć w Poznaniu i Gnicźnie, aby Domarata od nas wziął, odpędzano nas z groźbą i fukiem... Luksembureczyk nam Domarata narzuca, a Domarat Luksembureczyka, niechże z Bogiem razem od nas precz idą!

Za Lcpiechą podniósł się taki krzyk.

— Precz z Domaratem! — że szopa się trzęsła. Ręce i czapki miotano do góry, rzucali się naprzód niektórzy. Bodzantę i Domarata namiętność ta przestraszyła...

Błady i zmięszany podniósł się Domarat, dopraszając głosu; ale długo przyjść do niego nie mógł. Ledwie arcybiskup powagą swą wyjednał, że się cokolwiek uspokojono.

Tymczasem w piersiach zapalczywego Grzymały, trwoga się już w gniew zmieniała, krzyknął:

— Słuchajcie mnie! Com wam winien! Srogim musiałem być, boście mnie sami przywiedli do tego krnąbrności i samowolą waszą. Bez żelaznej ręki nad zawichrzonym krajem, ładu nie będzie. Nikt życia i mienia nie pewien.

Nie dano mu mówić dłużej.

— Złóż wielkorządy! Precz z Poznania! Potem się będziecz oczyszczać!

— Precz z Domaratem.

— Precz z cieniem.

Arcybiskup już nie mógł pohamować burzy, a świadkowie tego wybuchu, panowie węgierscy, przekonali się teraz, jak rozumnie postąpili sobie, gdy Zygmunta z Domaratem nie popierali.

Sam on, zwątpiwszy aby mógł przyjść do głosu, siadł ręce na piersi założywszy, hardą tylko postawą wyzywając nieprzyjaciół.

Poddać się ani ukorzyć nie myślał. Dotry czas upłynął nim się znowu głosu mógł doprosić Jaśko Topor, spokojnie i łagodnie wnosząc, aby się do woli królowej zastosować, nie bez niej nie stanowić, poselstwo do niej wyprawić i za porozumieniem z nią, jedną z królewien wziąć za panią.

Nadto dumnym był Luksemburczyk, aby chciał przemawiać za sobą i kogokolwiek bądź prosić. Wśród gwaru, poruszył się z siedzenia, tyłem zwracając do zgromadzenia, i wszedł na zamek, nikomu głową nie skinąwszy.

Swobodniejszemi przez to stały się narady, a że panowie krakowscy z wielkopolskimi bez mała zgodni byli, garść tych co się opierać chcieli, zamilknąć musiała.

Dotychczas przyjaciel Domarata, stronnik Zygmunta, który już koronować go był gotów, arcybiskup postrzegł teraz, że przeciwko ogólnemu prądowi walczyć nie może. Zgadzał się więc na to, co wnosili Jaśko Topor, a co z życzeniem posłów węgierskich licowało.

Pod wieczór nie ulegało już wątpliwości, iż za Luksemburczykiem nikt się nie będzie śmiać odzywać. Arcybiskup, poszeptawszy coś z Domaratem, milczał, na głos ogólny zdawał się godzić wreszcie nawet wielkopolski pan, ale chytrze się uśmiechał.

Bartosz z Odolanowa, który tu przybył, aby Semka mazowieckiego podnieść sprawę i imię jego rzucić na szalę, za poradą Lepiechy zmilczał.

— Z Semkiem czas będzie wystąpić—rzekł stary Nalecz.—Jawna rzecz, że królowa da córkę, a wybór męża dla niej, pozostawi nam. Niech Semko siły gotuje, niech sobie serca jedna. Zawczasu nim straszyć ich nie potrzeba, boby mu rychlej przeszkodzili, niż pomogli.

Przystał Bartosz na to, ale Semka imię pomiędzy Naleczami już sobie z ust do ust podawano.

Późno dość było, gdy wszyscy znużeni rozpuszczenia się domagać zaczęli, bo i obradować nie było już nad czem.

Na pozór przynajmniej godzili się wszyscy na jedną z królewien, a o markgrafie nikt już nie wspominał.

XI.

Powróciwszy do komnat swych, Zygmunt naprzód przywołał szatnego i czeladź, wykwinął strój, którego brudna i śmierdząca szlachta nie była godną, rozkazując zdjąć z siebie.

W jednym kaftanie, stanawszy później w oknie, które na szopy wychodziło, wziął się w boki i urągał tłumowi...

Nikt go może nie widział i nie zważał na to, bo czem innem były zaprzątnięte głowy, ale miał tę pociechę, iż się nawykrzywił nienawistnej tej ciżbie, ku której czuł największą nienawiść...

Kazał sobie potem przynieść jedzenie, nikogo do stołu nie prosząc, i ze psy swemi się zabawiając, polskie dla nich wymyślał przezwiska.

Mimo tej niechęci dla Polaków, Zygmunt się wcale nie wyrzekał panowania nad nimi; myślał owszem, jakby z wojskiem węgierskim i Czechami wpaść mógł, a buntowników zmusić do posłuszeństwa.

Chociaż posłowie węgierscy w imieniu królowej oświadczyli się tak neutralnie, nie brał tego Luksemburczyk za ostatnie słowo Elżbiety—ale za zręczny wybieg polityczny, dla uspokojenia umysłów.

Widocznie królowa nie chciała drażnić Polaków, a spodziewała się, pozyskawszy sobie przewódców, z córką im i męża narzucić. O zerwanie umowy nie posadzał królowej.

Pocieszał się więc pijąc i zabawiając, choć dochodząca z szopy wrzawa naprzykrzała mu się wielce. Rad był, gdy pod wieczór nareszcie tłum się ten rozpływać zaczął.

Nie obchodziło go to wielce, co tam postanowiono, uważał bowiem uchwały sejmu tego za rzecz tymczasową i małego znaczenia.

W ostatku, cała ta sprawa wśród, kraju barbarzyńskiego, ogłoconego ze wszystkich świetności do jakich nawykł, straszliwie go nudziła.

W tych myślach zatopionego i leżącego ze psy swemi na posłaniu, zastał wsuwający się pocichu Domarat z Pierzechna.

Wielkorządca poznański był jednym z tych ludzi, których sam temperament zmusza do despotyzmu, niepohamowany, gwałtowny i mściwy, niepowodzeniem zamiast się opamiętać, doprowadzony był do wściekłości.

Obrażony, upokorzony, gotów był życie dać, aby zemsty żądze zaspokoić...

Im gwałtowniej domagała się szlachta, aby się usunął, tam uparciej postanowił na stanowisku pozostać...

Wszystko co zaszło dnia tego na Sejmie powszechnym, dla niego nie miało wagi, myślał już, jakby obalić postanowienia jego.

Dalszy plan postępowania już miał w głowie gotowy. Zygmunt ani on nie chcieli się poddać uchwałom szlachty; Zygmunt miał z sobą kilkuset kopijników, z nimi, śmiało sobie poczynając, wiele dokazać było można.

Miał czas się nieco wyburzyć i rozważyć to wszystko Domarat, przychodził spokojuiejszy na pozór, ze złośliwym uśmiechem na ustach. Wieczera, przy której się napił, cokolwiek mu sił przywróciła. Oczy poblyskiwały weselej.

Luksemburczyk spojrzał nań z tą niechęcią, jaką miał dla wszystkich Polaków i jego nie wyjmując, ale znosić go musiał.

Domarat schyliwszy się, ścisnął za kolano paniątko, czego o mało nie przypłacił raną, bo jeden z psiaków porwał się do niego, co Zygmuntowi uśmiech dziecinny wywołało na usta.

— Miłościwy panie i królu mój—szepnął—niech sobie zgraje te krzyczą i jak chcą ujadają; my na swoim postawimy.

Zygmunt podniósł się na łożu.

— Jak?—zapytał.

— Nie trzeba tylko długo tu siedzieć — mówił Domarat.—Wasza miłość, jutro, pojutrze wybieriecie się wrzekomo na Węgry, a ciągnąc, naturalna rzecz, zawadzić o Kraków. Miasto łatwo opanować, na zamku poszukamy ludzi, może go nam także poddadzą. Mając raz w ręku stolicę, obwarowawszy się w niej, nie potrzebujemy więcej nic. Panowie krakowscy sami się nam przyjdą prosić!

Ale działać trzeba śpiesznie, nie tracąc godziny...

Luksemburczykowi, pragnącemu także zemsty i postawienia na swoim, rada ta bardzo się podobała. Klasnął z radości w białe ręce, na których zaświeciły pierścienie.

Domarat twarz miał rozpromienioną.

— Dziś jeszcze nocą—dodał—posyłam do Krakowa, aby tam co potrzeba przysposobiono. Wyjeżdża-

jąc ztąd wasza miłość nie potrzebuje się opowiadać jaką drogę wybierze.

— Zgoda! zgoda! — zawołał Zygmunt — tylko, na wszystkich świętych — nie narażajcie mnie na jaką sromotę. Ciągnąc na Kraków, muszę być pewnym swego. Uchowaj Boże, by mi tam wrota miano zamknąć przed nosem.

— Nie może to być! — odparł Domarat. — Po drodze, dla spoczynku macie prawo zajechać na noc, na dzień. Zostaniecie dłużej raz się tam dostawszy, nikt nie będzie wyganiał. Z miasta na zamek droga dogodną porą — łatwa... Gdyby się nawet udało zaraz pierwszego dnia tam zając gospodę i kopijników część wprowadzić, jużby was ztamtąd nie ruszono. Królowa sama córkęby przywieźć musiała.

— Jesteście pewni, że się to tak da wykonać! — wahając się i wpatrując w Domarata — odrzekł Zygmunt.

— Będę pracował nad tem — rzekł Domarat żywo. — Natychmiast posyłam zaufanego człowieka. Zostańcie przez jutro dla pewności, abym miał czas uprzedzić. Starajcie się pozyskać sobie kasztelana Dobiesława. Zamek i Kraków w jego rękach, on tam stróżem. Człowiek jest głowy ciasnej, a dumy wielkiej, niemłody już, a ociężały. Dobre słowo z ust waszych pochlebi mu. Tymczasem niech się dwór i kopijnicy do podróży gotują, rozgłosimy, że miłość wasza jesteście zniechęcony, że powracasz do Węgier.

O Krakowie mowy nie będzie.

Luksemburczyk potakiwał z wyraźną uciechą. Dogadzała mu ta myśl nieco awanturnicza, a jak się zdawało, bardzo szczęśliwa. Wykonanie miał Domarat za bardzo łatwe — za to on odpowiadał. Człowiek był energiczny i przebiegły.

— O tem cośmy tutaj postanowili — dodał w końcu wielkorządca — ani słowa, nikomu! na tajemnicy wszystko zależy.

Zygmunt potakiwał, dając poznać, iż dobrze to

rozumie. Umówionem zostało, że markgraf miał jakiś dzień, półtora przesiedzieć jeszcze w Wiślicy, pożegnać węgierskich panów, nie dając im czuć żalu, jaki miał do nich, a potem wyruszyć na Węgry, w istocie zaś do Krakowa.

Rozpogodzonego temi nadziejami nowcami zostawując Zygmunta, Domarat wymknął się do swej izby na tyłach zamkowych.

Sień przed nią i przyległe komory natłoczone były ludźmi do dworu, orszaku i obozu jego należącymi. Część ich poobwijana w opończe i kozuchy, spała na gołej ziemi przy ogniskach, niektórzy w kości grali i pili, inni poupijani podśpiewywali i kłócili się z sobą, trzcźwiejsi zaś hamowali. Wszystko to odbywało się dziwnie, stłumionemi głosami, ażeby na zamku nie robić wrzawy. Co się który głośniej odezwał, starsi sykałi i gębę mu zatulano.

Pomiędzy tym tłumem przechodząc Domarat, na którego widok powstawali z poszanowaniem, zobaczył otulonego, z kołnierzem podniesionym, w czapce na oczy nasuniętej, znajomego nam Bobrka. Ten w kącie ubożuchno przytulony zdawał się czekać. Domarat skinął nań i weszli razem do izby.

Bobrek trochę tu inaczej wyglądał, nie chwając się suknią kleszą, jakby dworzanina jakiegoś postać przybrawszy. Taż sama twarz blada, pociągła, bez zarostu, na której namiętna jakaś przeszłość srogie ślady spustoszenia pozostawiła, nie miała tu tej pokory zbytniej, z jaką występował w Płocku—przybrała zuchowatość nadrobioną. Zdawał się nawet nieco słuszejszym, bo się trzymał prościej i głowę podnosił.

Domarat przysunął się do niego.

— Mówiłem ci już co masz czynić—odczuwał się—nie mieszkaj ani godziny, jedź zaraz, natychmiast, nocą. Choćby koń padł jeden i drugi, byleś się przed innymi dostał do Krakowa. Masz tam dobrych zna-

jomych, przygotuj w mieście gospodę dla markgrafa, ale cicho!!

Miedzy Niemców mieszczan niechaj pójdzie wieść, że to dla nich pan, że oni mu pomagać powinni, rozumiesz? Miasto zyszcze swobody i grunta, jakich nigdy nie miało, nawet przed Albertem wójtem. Da im znowu wójtów wybierać, młyny budować... Niemców siła jest, powinni o sobie pamiętać.

Markgraf po drodze do Węgier, wstąpi do miasta. Trzeba namówić, aby mu natychmiast, gdy się ukaże, bramy otworzyli. Tem go ujmą...

Masz na zamku swoich?

Bobrek głową kiwnął, okazując, że wie dobrze co czynić ma.

Sługa Krzyżaków czuł się w obowiązku pomagać ich Luksemburcykowi, podejmował się temu chętnie.

Nie ruszył się jednak z miejsca, choć sprawa była tak pilną. Domarat pomyślawszy chwilę, spojrzał na skrzynię stojącą w kącie, poszedł do niej, otworzył i dobył sporą sakwę drobnej monety srebrnej pełną. Milcząc oddał ją Bobrkowi.

Ten chciwie ją oburącz pochwycił, i natychmiast bezpiecznie pod opończą umieścił, oczki mu zagrały weselej. Poznać było łatwo, że dla niego wszystkie te sprawy, którym służył, za które karku nastawiał, głównie tem się zalecały, że mu grosz przynosiły.

Ożywił się, poruszył, zaczął bełkotać, iż tejże godziny gotów był puścić się w drogę, ale samemu jednemu, nocą nie było bezpiecznie. Spodziewał się przededniem jeszcze do orszaku którego z panów krakowskich przyłączyć.

— Do pierwszego jaki się nastęrczy! — wołał gorączkowo Domarat. — Trzeba zawczasu tam poczynać, a na pewno przygotować, aby co nie przeszkodziło. Poślę i innych, ale na was najwięcej liczę! ☛

Bobrek dziękował i zaręczał, że nie omieszką nic; dodał dla uspokojenia, iż wielu panów tejże nocy ruszać chciało z Wiślicy, a niektórzy pewnie dwory

swe wyprawili przodem, aby im gospody gotowali. Do tych spodziewał się on przyłączyć.

Wiedział z dawna Domarat, że temu posłańcowi, którego do Sasów, Brandeburgów i Krzyżaków używał, szerokich instrukcyj dawać nie potrzebuje, szepnął mu jeszcze słów kilka i odprowadził.

Wyszedłszy ztąd wolnym krokiem, tak, aby na siebie nie zwracać oczów zbytńo, Bobrek wysunął się na podwórce, po których straże nocne i czeladź się jeszcze snuła, dopadł bramy i wybrał na miasto.

W całej Wiślicy mało tej nocy domów było, w którychby spoczywano. Szlachta naradzała się, rozprawiała, jadła i pila, inni, którym pilno było a narady już uważali za skończone, sposobili się do podróży, bo obroków mogło zabraknąć a kupować je kosztowało drogo. Bobrek zamiast jak przyrzekł starać się o wyjazd prędki, zaszedł naprzód do jednego z domów, niedaleko od kościoła i tam, na górcie, w komorze osobnej u Niemca, dostawszy kaganka, zaryglowawszy drzwi, siadł za stół do pisania. Szło mu zapewne o to, ażeby go przy robocie tej nikt nie podpatrzył, gdyż szpary we drzwiach pozawieszał odzieżą i okna obejrzał, dopiero po spełnieniu tych przygotowań, cichutko wydobył ze skórzanej torebki przyrząd do pisania.

Kawałek twardego pergaminu, nie koniecznie czysty, nie zbyt dobrze wyprawny, na list starczył. Siadł go pisać wprawną ręką, po niemiecku Bobrek, a że wiele mieć musiał do doniesienia, miejsca oszczędzał. Tyle mu to czasu zabrało, że nie dokończył aż nad ranem. Zajął się potem osznurowaniem listu i mocnem jego opieczętowaniem, położył adres i dopiero odpoczął, gdy zawinięty w kawałek płótna położył na stole.

Kury piałły w miasteczku, ruch, który zaledwie był ustał, rozpoczynał się na nowo, gdy Bobrek rzezy swoje pozbierawszy, zawinąwszy je w troki, opoń-

czę i kożuch nagotowawszy, szedł, aby wyszukać gospodarza.

Długo mu coś szepecząc i zalecając, wręczył pismo, dał kilka pieniążków w rękę, zszedł po wschodkach do stajni i parobkowi konia kazawszy podać, do którego węzelki przytroczono, ruszył w ulicę...

Spuszczał się pono na własny rozum i szczęście, wprost bramą Bocheńską na krakowski gościniec wyjeżdżając, nie wyszukawszy sobie wprzód towarzystwa.

W istocie nie było o nie trudno na tej drodze, bo wielu panów, choć sami jeszcze w Wiślicy pozostawali, dla ciasnoty i niewygody dwory swe przodem wyprawili.

Szły po grudzie zwolna wozy kryte skórami, jechali i szli ludzie, nie zbywało na wesołych dworakach, których mijając zwolna Bobrek przypatrywał się i przysłuchiwał im, myśląc kogo miał sobie wybrać do towarzystwa.

Nawykły do włóczęgi niemal po wszystkich ziemiach Polski i sąsiednich, mówiący kilku językami wprawnie, ostrożny i przebiegły, z niewielu słów domyślał się snadnie, z kim miał do czynienia.

Pominąwszy kilka takich kupek, gdy już dobrze dzień zaczęło, natrafił o milę od Wiślicy, pokaźniejszy orszak czyjś, ale tak bezpański jak inne. Starszy dworzanin tylko nim dowodził, podweselony jak i drudzy, o czem się łatwo przekonać można było z tego, że pieśni swawolne wywodzili na całe gardło.

Bobrek począwszy jechać za nimi, przysłuchiwał się, uśmiechał i zdawał tylko czyhać na zręczność, aby bliżej poznać się z nimi.

Starszy, co przy wozach z drugimi jechał, drab duży, suchy, z nosem czerwonym i policzkami rubinowymi, z długim wąsem spuszcistym, miał twarz dobroduszną i głupkowatą.

Może to właśnie Bobrka ku niemu pociągało.

Okolo pierwszej karczemki śpiewający stanęli,

utrzymując, że już im w gardłach pozasychało, chociaż dobrze je w Wiślicy odwilżyli. Stał z n'emi i Bobrek, a tu, gdy starszy nie zsiadając piwa sobie przynieść kazał, udało się z nim podróżnemu zawiazać rozmowę.

Począł się uskarżać, że arcybiskup, który był razem proboszczem u św. Floryana, samego wyprawił go do Krakowa, a markotno mu tę drogę odbywać bez towarzystwa.

— Jeśli waści nie pilniej jak nam — odezwał się starszy dobrodusznie — przyłącz się sobie do nas.

Podziękował za to Bobrek bardzo nniżenie i przyjął łaskę wdzięcznie, wnet się dając poznać. Ale jak skłamał, że go arcybiskup posłał, tak i nazwisko zmyślił nadając sobie pierwsze lepsze.

Starszy zaś z czerwonym nosem, pochwalił mu się, że należał do dworu pana krakowskiego Dobiesława z Kurozwek, a imię mu było Jędrak z Grójna.

Gdy potem piwem gardła odwilżywszy, dalej ciągnęli, ów poseł arcybiskupi, tak umiał wesolą rozmową zabawić starego dworzanina, iż gdyby był o pół dnia chciał od niego odstać, pewnieby go nie puścił.

Poznawszy rychło z kim miał do czynienia, dobrał przedmiot rozmowy i sposób wyrażania się tak właściwy do ujęcia słuchacza, że Jędrak ciągle się śmiejąc, konia swojego co najbliżej przy szkapie prowadził, aby słówka nie stracić.

Tak samo jak w Płocku modlił się pobożnie z ks. kandlerzem, jak umiał sobie rady dać z Pelczem po drodze z rybakami, w Wiślicy ze szlachtą i Domaratem, tu też łącno sobie zjednał dworzanina pana krakowskiego.

Mówili o rzeczach wielu, a zawsze na podziw się z sobą zgadzali. Bobrek trafił w myśl staremu odgadywał go, i gdy na nocleg przybyli, a klecha o miód wytrawny się postarawszy postawił go dobrą miarą przed Jędrkiem, pokumali się tak, iż z pod wątroby co chciał mu dobyć mógł Bobrek.

Dowiedział się od niego, że orszak swój pan krakowski nie darmo przodem wyprawiał, gdyż Jędrek jakieś rozkazy na piśmie wiózł do wójta i burmistrzów, a drugie do dowódcy na zamku.

— Gdyby człek czytać umiał—dodał wesoło Bobrek — ciekawaby rzecz była się dowiedzieć co tam stoi, ale to nie nasza rzecz pismo wachać.

— I nie czytając, wiem co napisano—odparł Jędrek—nie co innego zaleca pan, tylko czujność i posłuszeństwo a wierność.

— Komu?—zapytał Bobrek śmiejąc się.—Wszakże my dotąd pana nie mamy, ani nawet paniej. Miał panować Luksemburczyk, ale pono go nie chcą. Nie wiadomo, którą z córek królowa da i wyznaczy. Kogóż tu słuchać?

— Tymczasem tego, co w Krakowie panem jest, naszego Dobiesława—rzekł stary.—On nikomu nie da miasta, póki końca nie będzie. Z tego co mnie samemu zalecał, domyślam się, iż do miasta wyprawił przodem, aby nakazać, żeby tam nikogo nie wpuszczano.

— Jużci panu Zygmuntowi, gdy na Węgry jechać będzie, noclegu w Krakowie nie wzbronią — odezwał się Bobrek.

Jędrek ramionami poruszył.

— Albo ja wiem! — rzekł obojętnie — to nie moja rzecz. Do miasta jak do miasta, a że na zamek mu iść nie dadzą, to pewna.

Bobrek słuchał tak obojętnie, jakby go to nie a nie nie obchodziło, pili potem miód, opowiadali sobie trafne różne i wesołe rzeczy o klebach, o panach, o niewiastach, których bardzo wiele umiał Bobrek, a tak je poważnie razem i śmiesznie, twarzą i głosami ludzi wszelakich naśladowując, wygłaszał, że Jędrek z Grójna za boki się trzymał słuchając, a choć którą powieść znał, wydawała mu się nową.

Przed północą, słomy sobie kazawszy przynieść, pokładli się spać. Jędrek zmęczony jazdą i po mio-

dzie, który dużo chmielu miał, nie zbudził się, aż gdy w izbie ogień rozpalono o świtanu.

Zdziwił się mocno zobaczywszy około siebie miejsce opróżnione, i że mu towarzystwa nie stało. Sądził, że poszedł konia opatrzyć, a nie rychło dowiedział się od swoich, iż wesoły ów przybłęda, czegoś pilną drogę opowiadając, dobrze przededniem sam jeden dalej wyruszył.

Było mu po nim smutno, zwłaszcza, że się nawet nie żegnali, a potem na drodze do Krakowa, nigdzie go ani spotkać, ani napytać nie mogli.

Bobrek tak dobrze konia swego zażywał, iż na dziesięć godzin, zwolna ciągnące wozy pana krakowskiego wyprzedził, a w bramie się opowiedziawszy jako własny dworzanin pana Dobiesława, do miasta wjeżdżał bez przeszkody i do gospody, zdawna sobie znanej przy ulicy Grodzkiej, do Bieniasza z Torunia, zaciągnął.

Niemiec był czystej krwi ów Bieniasz, niedawno tu osiedlony i przyjęty do mieszczaństwa, sownie się opłaciwszy za to, że go do kupców zaliczono. A że pieniędzmi przy rozumie wszędzie się wszystko łącznie robi, przybylec zaś był człowiek gładki, rozmowny, grosza nieskąpiący, i okazywał jakby tu miał wielki handel wieść kupią wszelaką, pozyskał sobie wielką wziętość i zachowanie.

Dotąd jednak zapowiadany jego handel, dla różnych wrzekomych przeszkód się nie rozpoczynał. Jeździł tylko często Bieniasz, nie wiadomo dokąd, ludzie doń z różnych stron, Niemcy wszyscy, przybywali, przesiadywali. Gadania było wiele, a towary zawsze w drodze.

Na sposób jego życia mało kto zwracał uwagę, bo nikomu to nie szkodziło, że zamożny człek wczasu zażywał. A wszędzie go było pełno, na ratuszu, w świdnickiej piwnicy, na targach, między ławnikami i urzędnikami. Mówiono o nim, że ciekawy był i zabawiać się lubił łada czem.

Wyglądał bardzo poważnie, twarz miał pięknie zaokrągloną, rumianą, oko wesołe, usta świeże, zęby białe, brzuszek pokaźny, nosił się bardzo dostatnio, wykwintnie, z cudzoziemska. Powiadał się wdowcem a gospodarzyły u niego zawsze młode gospodynie i nieszpetynych dziewcząt parę, które przy gościach usługiwały, co pobyt u niego czyniło bardzo przyjemnym. Słowem, człowiek był choć go do rany przyłożyć, dobroduszny, serdeczny i potulny. Po polsku, choć tu już od lat kilku żył, nauczył się mało, starał się tylko o to, aby rozumieć co słyszał, ale naówczas Niemców było tyle w Krakowie, a język ich między mieszczanstwem tak rozpowszechniony, iż bez polskiego łąco się obchodził.

Zaledwie wjeżdżającego w swe wrota zobaczył Bobrka, gospodarz, gdy do niego zbiegł natychmiast, konia kazał parobkowi wziąć i poprowadził do komory.

Przywitali się krótko i nie usiadłszy nawet, żywo poczęli z sobą po niemiecku szwargotać. Pilna sprawa, z którą Bobrek był wysłany, tak ich gorąco zajmowała, że nim się klecha z kożucha rozdział, a gospodarz o przyjęciu go pomyślał, z godzinę szepotali, sprzeczali się, naradzali, ramionami ruszając, chodząc, a tracąc czupryny. Bieniasz zakłopotany się zdawał, Bobrek nalegał... Nierychło się opatrzyli, że noc nadchodziła.

Dopiero gospodarz o posiłku pomyślał, zawołał na służę. Bobrek tak się z niemi witał poufale, a one z nim tak przymilająco, jakby tu częstym gościem bywał.

Przyjmowano go czem tylko dom miał, najlepszem. Z postawy jednak i twarzy Bieniasza wnosząc, dorożumiewać się było można, iż to z czem wysłaniec przybywał, niepospolicie go trapiło. Chmurzył się, zamyślał, a coraz coś w ucho Bobrkowi rzucił, który zdawszy nań wszystko, już się zbytnio nie troszczył...

Nazajutrz spał jeszcze Bobrek, gdy Bieniasz już był na mieście, a nie powrócił aż na obiad.

Z nim razem przyszli: jeden nadzwyczaj małego wzrostu, rudego włosa, mieszczanin, drugi słuszny, chudy człek, po żołniersku przyodziany.

Zaledwie się przywitawszy, choć misy niesiono na stół, poszli wszyscy kupą do kąta, stanęli kółkiem, i niezmiernie żywo rozprawać zaczęli, ale tak cicho, że sami się tylko słyszeć i rozumieć mogli.

Bobrek im coś bardzo długo wykladał, towarzysząc sobie ruchami wyrazistemi, już niby pieniądze licząc na dłoni, to machając rękami, jakby mieczem ciął, kłaniając się i nadymając na przemiany. Żołnierz na to ramionami ruszał, pokazywał ku zamkowi, potem na gardło własne, w ostatku ręce rozpostarł, głowę spuścił i dodał:

— Nie można!

Małeńki mieszczanin rudy, piskliwym głosem, kręcąc się w kółko, to jednemu, to drugiemu niemal do oczów skacząc, miotał się, wykrzywił, rzucał, a skończył jak żołnierz ręce rozstawiwszy i minę robiąc rozpaczliwą.

Postygły misy z polewką gdy wreszcie do stołu siedli. Rozmowa z powodu że sługi, niewiasty ciekawe a długojęzyczne, chodziły i słuchały, urywana była i niezrozumiała; tego się tylko łatwo nawet one domyślać mogły, że Bobrek zagniewany był, markotny i czynił wyrzuty.

Kilka razy mu się wyrwało przezwisko, tchórzów, za co żołnierz go połajał mocno, i o mało nie przyszło do zwady, bo nóż postawił na stole ostrzem do góry, a oczy siarczyste wlepił w klechę. Potem jakoś ostygli, ochota odpadła od dalszego szermowania, napili się mocno i gospodarz mało mówiący, jak siedział na ławie, tak oparłszy się o ścianę, zamknął oczy, otworzył usta i, chrapać zaczął.

Widząc to goście za czapki wzięli, i mało co się żegnając, szli precz. Bobrek zły był, tak, że nawet

dziewczęta, uśmiechające się do niego, zbywał obojętnie i zostawiwszy gospodarza znużonego snem pobiednim, zajął się przeodziewaniem. Dobył z troków suknię kleszą, ale czyściejszą i lepszą niż ta, w której występował w Płocku, czapkę futrzaną dostatniejszą, i za duchownego się już całkiem przybrawszy, sam ruszył ku zamkowi na miasto.

Gdy potem dosyć późno do gospody powrócił, wiadać było że i ta wyprawa mu się nie powiodła, gdyż humor wcale się nie poprawił.

Zleconem miał, jak wiemy, pracować około tego, ażeby miasto przybywającemu markgrafowi bramy otworzyło, a gdyby się udało, aby i na zamek go puszczono. Mogło się to stać niby nie umyślnie, wskutek opieszałości, niespodzianką.

Tymczasem, nikt się na to nie chciał ważyć. Znało kasztelana Dobiesława, iż surowym był, a ludzie jego, tegoż dnia przywieźli na ratusz i na zamek rozkazy, aby bram wszystkich pilno strzeżono i nikt go nie wpuszczano.

W listach, które Jędrrek przywiózł, stało wyraźnie, iż nie bacząc na to, ktoby przybył, zbrojnych ludzi, orszaków gromadnych, żołnierzy żadnych obcych, mieszczanie pod gardłem nie puszczali.

O zamku, który, jak czasu wojny, ciągle był pilno strzeżonym, nawet myśleć nie było można. We wrotach straż stała mocna, nie otwierano nikomu. W listach zaś swych kasztelan nawet pono po imieniu markgraфа mianował, aby mu wjazdu wzbroniono.

Bobrek próbował ludzi śmielszych pozyskać, aby strażę popojono, odciągnięto, a bramy zostawiono na pół przymknięte; gotów był nawet za to opłacić, ale słuchać nikt nie chciał, a ci, coby się ofiarowali, nie obudzali zaufania.

Potrząsano głowami słuchając o tem, gdyż po mieście już z Węgier jakoby przywiezione chodzily pogłoski, iż królowa Elżbieta zmieniła postanowienie pierwsze i dla Maryi królowejnej zięcia sobie szukała

we Francyi lub Włoszech. Dla Luksemburczyka miejsca już tu nie było, a choć niemcom smakował, obawiali się go sami jedni brać na karki.

Duchowieństwo, do którego Bobrek się udał, rachując na przychyłność znanych sobie kanoników ku królowej i Zygmunтови, także niebardzo kwapiło się z pomocą, obrażone tem, że Nankiera na Zwierzynie nie mianował Luksemburczyk, ale Czecha kapelana swojego...

Burczano na to. Biskup nominat Radlica do niczego się mieszać nie chciał. Był on nieboszczyka Loisa ulubieńcem i lekarzem, rodzinie jego oddanym, nie Zygmunтови.

Bobrek postrzegł, że nic tu już do czynienia nie miał, i że mu trzeba było z upokorzeniem, ze złą wieścią nazad powracać. To jedno pocieszało, że grosza pozostało dosyć, a zwracać go nie myślał wcale.

Wahał się jeszcze, z dnia na dzień wyjazd odkładając, sznurkując po mieście, a tymczasem kasztelan sam, pośpiesznie, dniem i nocą biegnąc z Wiślicy nadciągnął, i jak tylko w Krakowie stanął, natychmiast straże i tak już mnogie, podwojono, wrota, nawet we dnie pozamykano. Każdy kto przybywał opowiadać się musiał.

Na ostatek dowiedział się w mieście Bieniasz, że markgraf przewidując co go tu spotkać miało, pominął stolicę, pod Wawrzyńcami się przez Wisłę przeprawił i w Niepołomicach miał spoczywać, z kąd już prosto na Bochnię i Nowy Sącz na Węgry ciągnął.

Dobiesław z panami krakowskimi, aby nikomu nie chybić, a djabłu też świeczkę zapalić, urządził tak poczystnie i przystojnie podróż Luksemburczykowi, iż choć się wściekał, a kłaniać się i dziękować jeszcze musiał.

Szlachta bowiem z pocztami znacznemi niby mu cześć wyrządzając, a w istocie pilnując go, zabiegała drogę, przeprowadzała markgrafa, karmiła, życzyła podróży szczęśliwej, nie puszczając ani kroku z wy-

znaczonego gościńca do Bochni, do Nowego Sącza, i aż do granicy.

Doprowadzono go tak aż do skraju, i nie uspokojono się, aż on i jego kopijnicy pociągnęli do domu.

Napróżno dosyć czasu na wypatrywaniu straciwszy w Krakowie; Bobrek wręście z pomocą Bieniasza, znalazłszy sobie towarzyszków podróży, starą sutannę i opończę wdział, aby do Wielkopolski powrócić.

Nie pilno mu było stawić się przed Domaratem z rękami próżnemi, ani też śpieszył zbytnio, po drodze, tu i ówdzie na Szlążku przystając, rozpatrując się i badając.

Nim do Poznania dojechał, dochodziły zewsząd wieści, iż Domarat ustąpieniem Zygmunta i uchwałami wiślickimi niezrażony, do walki zajadłej ze szlachcią, przeciw niemu zburzoną się gotował.

Gościńce tu już niebardzo były bezpieczne, a Bobrek unikając, aby go nie poturbowano, bardzo ostrożnie na przemiany się opowiadał jako rodowity Nałęcz, a drugim jako czystej krwi Grzymała. Miał zaś przezorności tyle, iż zawsze wprzódty nim się przyznał kim był, wywahał z kim miał do czynienia.

Im bliżej Poznania, tem goręcej tu było. Ludzi snuło się orężnych mnóstwo, ślady krwawych utarczek widne były wszędzie, popalone dwory, opustoszone wioski, kupy włóczęgów niebezpieczne spotykał co chwila.

Pocichu wsunął się na zamek, który Domarat trzymał jeszcze, upatrując chwili, gdy się stawić będzie mógł.

Od znajomych sobie dworzan słyszał, że podrażniony był, gniewny, rozszrożony, a przystęp do niego niebezpieczny. Zaszył się więc do kąta, przypatrując co się działo.

Posłańcy przybiegali i odjeżdżali co chwila. Grzymałów co było po wsiach i bezbronnych dworach, ciągnęło pod opiekę Domarata; niektórzy już poodzie-

rani i pokaleczeni, ledwie z życiem uszedłszy. Zamęt panował okrutny, ale z żelaznym uporem, na wszystko gotów stał przeciwko wrogom swym, niezłamany niczem wielkorządca.

Poddać się, ustąpić, uznać zwyciężonym nie myślał. Wiedział też, że litościby nie znalazł.

Drugiego dnia nad wieczór, korzystając z chwili usposobienia, Bobrek się dostał do mieszkania Domarata, które podobniejsze było do zbrojowni niż do pańskich komnat.

Grzymałów ubogich a poodzieranych już ze zbroi, bo ich wielu boso i w koszulach uchodziło z rąk Nałęczów, trzeba było opatrywać w suknie i orężu.

Stosami też zwożono tu i składano na kupy łąda jakie pancerze, blachy, hełmy stare, miecze, obuchy, cepy, co tylko z kąd ściągnąć się udało.

Domarat nie spał, nie jałł, chodził w gorączce, z ustami zapienionemi, rozkazy wydając, śmiercią grożąc, winnych i niewinnych śląc do ciemnic lub pod sądy Jana Płomieńczyka, sędziwego swojego, owego krwawego djabła, którego katem znano i zwano...

Srogością tą bezlitośną chciał przerazić, spodziewał się złamać opór Wielkopolan, ale omylił się wielce. Cała niemal szlachta podniosła się przeciwko niemu.

Codzień prawie przychodziły wieści, że ktoś odpadł i przystał do Nałęczów obozu.

Nie zmieniał to ani postanowienia, ni sposobu postępowania Domarata, odgrążał się tylko, że kraj cały w perzynę i stos gruzów obróci.

Właśnie w godzinę takiej sierzdistości wielkiej, gdy wielkorządca rozsyłał rozkazy zbrojenia się do ostatniego czleka, drżąc z gniewu. bo mu wioskę spalono, Bobrek sądząc, że go spokojniejszym zastanie, stanął przed rozpłomienionym Domaratem.

Ułakł się mocno i stanął w progu jak skruszony winowajca, oczekujący wyroku. Domarat zrazu go

nawet niepoznaawszy, przyskoczył i nie opamiętał się, aż ujrzał schylającego do kolan.

— Z niczem powracam, najmiłościwszy panie! rzekł pocichu—ale—Bóg świadek!—wina nie moja—zdrada była! Na złamanie karku pędziłem, a przybyłem za późno, dwa konie padły...

Domaratowi już ta bezpowrotna przeszłość, którą odczuwał, nie tak leżała na sercu. Co innego miał na myśli. Popatrzał na niego czas jakiś osłupiały.

— Ludzi! ludzi mi na gwałt potrzeba! — zakrzyczał.—Słyszysz! ludzi! Do sasów, do brandeburczyków, do diabła gotowem słać, byle mi kto żołnierza dostarczył. Na Czechy już posłałem. Ty sam pół-krwi Niemiec, masz u Niemców mir, trutniu! ruszaj mi zaraz, a spraw się lepiej!

Tchu mu zabrakło, rękę przyłożył do piersi i zawołał.

— Ta hołota, lachmanami okryta, myśli, że mnie wezmą gołą garścią. Nie poddam się, dostoję, nie lękam!

Postrzegł się dopiero kończąc i domawiając tych słów, że się niepotrzebnie zwierzał człowiekowi małemu—namarszczył się, urywając nagle.

— Jedź ty mi zaraz, czasu nie tracąc... do sasów, do brandeburczyków, wiele chcą od kopijnika dam...

— Miłościwy panie, słodko, łagodnie, głosem przymlającym się poczał Bobrek, słówko pozwólcie rzec. Będę posłusznym, pojedę dokąd każecie, ale czemużby do zakonu niemieckiego się nie zgłosić? Oni wam chętnie usłużą, a ich kopijnik więcej wart niż inny, u nich ludzi zawsze dosyć, knechtów przyślą...

— Mają z Litwą dużo do czynienia — przerwał Domarat gwałtownie—ja potrzebuję śpiesznie żołnierza. Szlachta nikczemna, zdrajcy podłe, odbiegają mnie, ale ostatnią z siebie zdejmę koszulę a pomszczę się. Żołd zapłacę sowity, łup cały oddam, dworów i zamków nie pożałuję... Będą mieli czem wory napęlnić i do domu wrócić nie próżni.

Mówiąc oburącz się chwycił za głowę.

— Ludzi mi potrzeba! ludzi!

— Pójdę po nich dokąd każecie—odparł Bobrek spokojnie.

Domarat wołał tymczasem bez przestanku.

— Ludzi mi dawaj! Bronić się muszę. Zruszają mnie do tego. Zbierają wojsko na mnie, wystawię drugie przeciw nim. Chcą, aby się krew lała, popłynę strugami. Palą oni, ja kamienia na kamieniu nie zostawię.

Zajądłości tej wcale się nie zdawał dzielić kłecha ostygły, patrzył, słuchał, rachował może czy nie nałożyć głowę i kto tu będzie mocniejszym, a co zakon zyszcze na tem. Nim dalszych doczekał się rozkazów, drzwi się nie zamykały; wpadali ciągle przybywający z wiadomościami, poranieni, przerażeni...

Zaledwie uspokojony, Domarat w nową wściekłość wpadał, same niemal klęski mu zwiastowano.

Palily się dwory i wioski Grzymałów, szturmowano do ich gródków, niewiasty splakane z dziećmi na ręku uchodziły. Ogromne łupy zagarniali Nałęcz, a tymczasem wojsko ściągali z całej Wielkopolski, chcąc niem osaczyć wielkorządcę i zmusić do poddania się.

Na zamku, mimo przygotowań do obrony, przetrach panował, bo miasto obawiając się zniszczenia, szemrało i groziło, że się podda Nałęczom.

Chociaż drogi były poprzecinane, a po lasach stały zasadzki, na gościńcach zaś wielkich kupami czatowali Nałęcz, oddziały Grzymałów przedzierały się lasami, bezdrożami i co chwila wpadały na zamek, pod opiekę Domarata.

Lud to był bardzo lichy uzbrojony, z którego ledwie się co zdatnych do boju wybrać dawało, a wszystkich karmić było potrzeba.

Bobrek, o którym wśród tej wrzawy zapomniano, stał u drzwi ciągle i korzystał z tego, bo się nasłuchiwał powieści o tem jak sprawa Grzymałów stała.

Przebiegły klecha nastawiał uszu, rachując jak dwu panom razem usłużyć...

Głównie szło mu o to, aby swoim panom niemieckiego zakonu, zdać dobrą ze wszystkiego sprawę. Doniósł im już z Wiślicy trochę, teraz się zbierał ustnie w Toruniu i Malborgu opowiadać, co w sąsiedniej Polsce się działo.

Domarat nie mógł mu dać pożądanego zlecenia.

Ten już prawie był o nim zapomniany, czem innem zaprzątnięty, gdy po odejściu ostatnich przybyłych z żałobą, zobaczył tego bladego u progu trwającego, zbiedzonego klechę.

— Czekam, czy miłość wasza, raczycie mi dać pisanie do mistrza lub tylko ustne poselstwo, odezwał się narzucając z nim Bobrek.

— Do mistrza?!—szorstko podchwycił Domarat.— Gdybym grosza potrzebował, a miał kawał ziemi do założenia, nie obróciłbym się do nikogo innego, tylko do zakonu, ale mnie potrzeba ludzi!

— Ludzi, no i oręża! — dodał Bobrek. — Gdzież łatwiej o wszelką zbroję, jak u nich? Szopy całe stoją jej pełne i jakiej jeszcze! a i ludzi dać mogą i to takich, z których jeden stanie za tutejszych dziesięciu.

Domarat zamyślił się głęboko...

— Do mistrza! do Brandeburgów, do diabła idź!—zawołał—powtarzam ci, ruszaj gdzie oczy poniosą, byleś mi sprowadził ludzi, ludzi!

Gorączce tej Domarata winien był klecha, że go za Kraków nie łajano, o pieniędzy liczbę nie pytano, a nazajutrz dostał pismo pod pieczęcią i nowy zasilek na drogę.

Wybierając się dalej przez zawichrzony kraj, Bobrek dobrze musiał się namyślać jaką postać przybierze. Najbezpieczniejsem wydało mu się, pozostać czem był, ubogim klechą. Odzież ta najlepiej od Nałęczów i Grzymałów broniła, a że ciury i duchownych czasem dostatniejszych odzierali, najstarszą, wytartą

przywdziać musiał sutannę, lichą czapczynę, podarte obówie, aby powierzchownością swą nikogo nie przywieść na pokuszenie.

Z Domaratem widzieć się już ani mówić nie było można, przeżegnawszy się zatem, westchnawszy do Boga o własną skórę, mroźnym rankiem, Bobrek jako chudzina biedny, wyruszył wielkim gościńcem, wążąc się na wszystko, co go spotkać mogło...

Listy z pieczętkami w butach miał misternie pozaszywane, gdyż w potrzebie i z dratwą się obchodzić umiał.

VI.

Postanowiwszy panom swoim zakonu niemieckiego przywieść dobrą wiadomość o zawichrzonym stanie Wielkopolski, chociaż wioził razem i niepomysłną o tem, co tu markgrafa miłego Krzyżakom spotkało, Bobrek drogę skierował na Płock, aby zajrzeć, co się tam z Semkiem działo.

Mówiono bowiem, iż on się także potężnie wystąpić gotował, a panowie wielkopolscy sprawę jego popierać się zbierali.

O wszystkiem tem panowie zakonu teutońskiego powinni byli być zawiadomieni dokładnie, gdyż ze wszystkiego korzyść dla siebie wyciągnąć umieli... Wiedział klecha, że będzie u nich pożądanym, lecz zapas wiadomości chciał jak najpełniejszym uczynić.

Podróż wygodną ani miłą nie była, kraj cały niemal stał w płomieniach. Ale ubogi, nędzny klecha, na najbiedniejszej jeszcze szkapie, czegoż się miał obawiać?...

Pierwszy dzień podróży zszedł tak spokojnie, a takim pustkowiem, że do dalszej drogi dodał męztwa.

Ślady tylko spustoszenia i gwałtów spełnionych widać było dokoła, ludzi spotykał mało. Jedni zbiegali do grodów i miasteczek, drudzy w lasy; gospody nawet niektóre, gdzie walka się jaka odbyła, zawalone trupami odartemi, stały pustką, bo z nich gospodarze pouchodzili...

We dnie, na prawo i na lewo, widać było dymy, a nocą dymy pożarów...

Gdziekolwiek trafiał na ślady obozowisk nieopodal od gościńca i wygasłe ich ogniska, a padłe konie, po nad którymi stada kruków się unosiły i wilcy do nich z lasów ciągnęli...

Straszny był widok tego kraju, w którym nie wróg, ale własni jego mieszkańcy takie spustoszenia uczynili!

Nałęczów nie spotykał Bobrek nigdzie, a drugiego dnia małą kupkę Grzymalów, która strwożona, do Poznania się przedzierała. Starszy wiodący ją, zatrzymał klechę do rozpytania się; ten zapewnił go, że Domarat mocno się do obrony sposobił.

Na popas mu tego dnia przyszło stanąć w lesie, około nędznej karczemki, z której dymnika i dachu trochę się kurzyło, co zdawało się oznaczać, że tam przecie ludzie być musieli...

Uchyliwszy drzwi, w pomroce nikogo z początku nie dostrzegł Bobrek, ogieniek się tylko żarzył biedny i syczał, bo mokremi gałązkami był podsycany.

Rozpatrzywszy się dopiero lepiej, zobaczył na ziemi siedzącego człowieka, i zdało mu się, że mnich był, w sukni grubej, paskiem ze szuura przewiązanej. Kaptur też na głowę miał nasunięty, a broda siwa, rzadka, na piersi mu spadła.

Zbliżywszy się doń, pozdrowił Chrystusa, na co mu głosem dźwięcznym i silnym siedzący odpowiedział:

— Na wieki.

Był to w istocie zakonnik reguły Franciszka Świętego.

— A gospodarza tu nie ma?—zapytał Bobrek.

— Jak widzicie. Pan Bóg tu gospodarzem, a ja jedynym dotąd gościem — rzekł stary mnich, który właśnie w rękę chleba kromkę trzymając suchego, a w drugim sól, posypywał ją oszczędnie i pożywał. Małeńki kubek drewniany stał przy nim z wodą. A choć w pustej gospodzie, przy biednym ogniu wesóło nie było, mnich starowina zdawał się być bardzo dobrej myśli.

— Cóż wy tu ojcie porabiacie?—odezwał się Bobrek, szukając sobie miejsca gdzieby przysiadł...

— Widzicie—domyśleć się łatwo. Wedle reguły świętego Ojca naszego, za jałmużną chodzę dla konwentu, a pod czas, wyprawiono mnie do Pызdr, więc tam powoli dążę.

Rozśmiał się stary...

— Za jałmużną, pod te czasy! — przerwał Bobrek.—Toście się, mój ojcie, nie w porę wybrali, bo tu teraz wszyscy żebracy i rychlejby wziąć potrzebowali, niż dać mogli.

— Przecież!—odparł stary mnich, nie przerywając sobie w jedzeniu suchego chleba, który wodą pokrapiał, a solą osmaczał, widzicie, że z głodu nie mrę...

Bobrek stęknął.

— Co za czasy! mój ojcie! co za czasy!

— A wy zkąd i dokąd?—odparł nie wtorując na rzekaniu zakonnik.—Jeżeli się nie mylę, także sukienkę duchowną nosicie.

— Klerykiem jestem—odezwał się Bobrek.—Jeżdżę po świecie, piórem na chleb zarabiając, ale terazby je chyba na żelazo trzeba przemienić. Zbiera się na wściekłą wojnę!

— Wola Boża!—rzekł mnich spokojnie.—Bez Jego woli nic się nie dzieje, a wiercie mi, Bóg wie, co czyni. Widno, że różgi było potrzeba... co było ką-

kołu, to burza wypłeni, a czyste ziarno zostanie na chwałę Pańską.

— Przy złych i niewinnym się dostanie! — westchnął klecba.

— A któż z nas niewinny? — odparł zakonnik chłodno.

— Królestwo temu, niegdy wielkiemu i potężnemu, za Kaźmirza jeszcze spokojnemu, tyle lat szczęścia używającemu, ostatnia się pono zguba gotuje, mówił dalej Bobrek, który zwyczaj miał w ten sposób każdego, kogo spotkał, na słówko jakie wyciągnąć.

— Nie trwożcie się zbyt — odparł mnich. — Ukarze Bóg, ale się i ulituje a pobłogosławi. Ojcem jest. Nabroili ludziska, gdy się im dobrze działo, coś dziwnego, że teraz pokutować muszą? Bóg miłosierny!

— Bezkrólewie! — ciągnął Bobrek, który węzelek z sobą przyniesiony rozplątywał, zapas w nim mając od głodu i myśląc, czy swoją wędliną, ojca chlebem się suchym posilającego ma częstować czy nie...

Ów pół-krwi człowiek miał w sobie i oszczędność z ojca niemiecką, i z matki trochę polskiej gościnności...

Począł odrzynać nożem mięso i podał je na nim staruszkowi.

— Dziękuję wam — odparł mnich nie przyjmując — jem dziś z suchotami...

— W taki głód i chłód?

— Łatwiej pościć — rzekł wesoło stary. — Pożywajcie zdrowi. A wy dokąd to dążycie?

— Ja... do Płocka — rzekł, mało co się zawahawszy Bobrek, który tym razem nie czuł żadnej potrzeby udawania, choć, wedle zwyczaju; już miał na języku coś innego, bo ostrożność nigdy nie wadziła...

W Płocku, czasem kanclerz księcia Semka zażywa mnie do przepisywania. Teraz tam podobno się coś

dla Mazowieckiego księcia zapowiada, będą może listy do pisania...

— A cóż się to zapowiada?—zapytał mnich obojętnie.

— Słyszę gadanie po drodze, że go na króla chcą wziąć!—odparł Bobrek.—Piastów to krew stara, lgną do niego ludzie...

Zakonnik słuchał milczący.

— Tajemnicą to jeszcze Bożą—odezwał się—komu ten tron przeznaczony. Obcy pan dosyć długo się na nim trzymał, byliśmy u niego jak dzieci u macochy, teraz spodziewać się, że nam to opatrzność nagrodzi...

— Zygmunta Luksemburczyka, niewiedzieć dlaczego ludzie zniechęcili i odepchnęli—mówił Bobrek—wyjechał z próżnemi rękami, choć go arcybiskup zalecał.

Młode, śliczne, gładkie panie!! Ludziom nigdy nie dogodzić... aby wichrzyli!..

Spostrzegł się teraz Bobrek, że mnich mu na jego politykowanie, bardzo niechętnie i półgębkiem odpowiadał.

Chleba dojadłszy, zaczął coś szeptać i przeżegnał się. Była to modlitewka, po której dopiero znowu wypogodzoną twarz zwrócił ku klesze!

— Widzę, żeście bardzo świadomi spraw świata tego—odezwał się. — Mnie one mało obchodzą. My, zakonnicy, zgadzamy się ze wszystkim z wolą Bożą, a co zsyła Opatrzność, błogosławimy.

— Hiobowe to dziś błogosławieństwo—rzekł Bobrek.—Już niechajby kto chciał panować, byle spokój był, a gościńce się trupami nie uścielały!

Mnich patrzył nań ciekawie, ale bez wzruszenia.

— Musieliście ucierpieć dużo—rzekł—że wszystko tak czarno widzicie. Żał mi was. Ja, po tej burzy jasnego się słońca spodziewam. Prorokiem nie jestem... ale w duszy mi coś mówi, że lepsze się czasy obiecują. Znijdzie gwiazda nad tą ziemią, oschną łązy

i będzie radość wielka nie w Izraelu... ale w tej biednej Polsce naszej.

— Wyście rodem tutejsi?—zawołał Bobrek.

— Tak ci jest, dzieckiem tej ziemi jestem, kmiecy synem, a dziś tylko dzieckiem Franciszka świętego, patryarchy naszego, mówił swobodnie i wesoło staruszek.—Mógłbym i ja płakać i smucić się, bo dosyć złego oczy moje widziały, ale mam wielką ufność w Panu!

Mówił to z takim spokojem blogim, staruszek, że chłodny a do wrażeń nieskłonny, po swojemu jednak pobożny i zabobonny Bobrek, poczuł dlań wielkie poszanowanie. Siły ducha potężnej potrzeba było, aby tak myśleć i mówić.

Bobrek widział w starcu świątobliwego męża i jakąś nadziemską potęgą obdarzoną istotę.

— Dałby Bóg, aby się wasze słowa ziściły! szepnął cicho.

— Ziszcza się one, dziecko moje—odparł powstając z kłódki na której siedział mnich i strzepując z sukni chleba pruszynki, a kubek chowając do kieszeni.

— Niech was Bóg dalej szczęśliwie prowadzi — dodał zwracając się do klechy.—Mnie dalej iść czas, bom pieszy, a Bóg wie, czy na nocleg dociągnę pomiędzy ludzi.

Mimowolnie powstawszy Bobrek schylił się i mnicha w rękę pocałował, sam pozostając w pustej karczemce, dopóki by koń nie wypoczął.

Starzec zniknął już, za drzwi się wysunawszy, a klecha jeszcze patrzył za nim, podziwiając to wesele i spokój ducha ubożuchnego czleka, który taką wiarą był przejęty, że mu ona przyszłość rozświecała.

Mało go obchodził ten kraj, którego się nie czuł dziećciem, więcej serca miał dla teutońskich swych panów, ale tam i tu, siebie głównie miał na wzglę-

dzie. Kilka już lat chodził zaprzężony w jarzmo ciężkie, a nie miał jeszcze zapewnionego jutra.

Załamiał się tak trochę za długo, aż wreszcie z myśli się otrząsnawszy, do konia poszedł i w dalszą się puścił drogę. Od czasu jak tego mnicha widział, mniej z siebie był rad. Zazdrościł mu tej szczęśliwości o suchym chleba kawałku. Jemu żądze niepomierne wypoczynku nie dawały.

Pod noc, wprosił się do proboszcza, z którym do późna razem lamentowali, gdyż biednemu księżyźnie oddziały Nałęczów siano, obroki i spiżarnie wyprzątneły.

Pomimo to ksiądz gotów był cierpieć i więcej i dłużej, byle się raz króla swojego własnego doczekać, a Niemców pozbyć z domu.

Ta powszechna dla nich nienawiść, którą na każdym kroku spotykał Bobrek, jątrzyła go. Więcej Niemcem się czuł być niż Polakiem, a wychowany między krzyżaki, im i ich sprzymierzeńcom życzył panowania.

Ale księdzu potakiwał!

Ciągnął bardzo powoli. Konisko źle karmione, nierzadko go do Płocka doniosło. Musiał niekiedy i pieszo iść, aby mu ulżyć, a popasać często.

Wjechawszy na mazury bystrem okiem dostrzegł zaraz jakieś przygotowania i ruchy.

Uderzyła go różnica kraju, jakim był, gdy się tu ostatnią razą znajdował, a teraz, konie spędzano, ludzi wyganiano co drobniejszych do Płocka, a choć o celu tych przygotowań nikt mu powiedzieć nie umiał, jawne one były.

Ku każdej obronie ich nie potrzebowano, bo nikt na Mazowsze napadać teraz nie myślał, choć Litwa była z niem w wojnie.

W Płocku na pierwszy rzut oka już się niewątpliwem dlań stało, że się do czegoś sposobiono i zbrojono.

Nim do Pelcza zajechał, w ulicy miejskiej dwa poczty spotkał ciągnące do miasta, konno jadącego i rozkazy rozsyłającego wojewodę Abrama Sochę, dalej znów na koniu z pacholkami gospodarzącego Sławca, chorążego mazowieckiego.

Wszystko to niepokój jakiś zdradzało.

Niemiec kotlarz zafrasowany, powitał go w progu razem z piękną Anchen, która ledwie mu się uśmiechnęła i na dany przez ojca znak, uciec musiała.

— W porę bardzo przybywacie—zawołał Pelcz.— Musicie wy o czymś więcej niż my wiedzieć, a nauczycie mnie, na co się to tu zabiera.

My nic nie rozumiemy, a krętanina wielka, rusza się wszystko co żyje i młode paniątko nasze, po długim spoczynku, jakby je ukropem oblał, skacze.

— A ja o niczem nie wiem. tak jak i wy — odparł Bobrek—to pewno, że Semka do Polski ciągnąć myślą na króla. Sprawa to Bartosza z Odolanowa i innych Nałęczów.

Pelcz krzywił się.

— Pewnie, że nie o co innego idzie—rzekł—ale z kim, jak będzie on poczynal? Sam jeden? Wiemy, że w skarbcu było sucho, a bez pieniędzy wojny niema.

Weszli tak rozmawiając do izby, w której Anchen nie było. Pelcz był tem podrażniony, iż tajemnica jakaś czynności księcia otaczała.

Przyjeżdżali ludzie nieznajomi, wysyłano zaufanych, gotowano się jak do wojny, a księżę mówić o niej zabraniał, i głosił, że się zbroi dla tego tylko, iż wszyscy dokoła za broń chwyтали, więc bezpieczeństwo tego wymagało.

— Jest na zamku księżę?—zapytał Bobrek.

Pelcz rączyska grube rozpostarł i głowę podniósł z wyrazem rozpaczliwym.

— Patrzcież ino—krzyknął—kiedy pod zamkiem siedząc, nawet o tem z pewnością wiedzieć nie można, czy on jest na zamku i kiedy go niema? Są

dnie, że nikogo tam nie dopuszczają, po nocy kupy zbrojne jedne wyciągają, drugie się gromadzą.

Bobrkowi tajemniczość ta wydawała się nieprawdopodobną, przypisywał głupocie Pelcza, nieświadomość jego.

— Niechno ja tam pójde tropić—rzekł z zarozumiałością wytrawnego szpiega—nie może być, abym nie wywachał, co to jest.

Niemiec zamilkł. Pora dnia tego nie była właściwą do odwiedzania zamku, a Bobrek też spoczynku potrzebował bardzo, odłożył więc to do jutra.

Rano w swej kleszej sukience, pokorny, maleńki, zaszedł naprzd do kościoła na zamku. Kanclerz właśnie mszę świętą kończył przy bocznym ołtarzu, odchodząc od niego poznał widać klechę, bo natychmiast chłopak do mszy służący przybiegł do niego, żądając, aby po mszy Bobrek przyszedł do stancyi kanclerza.

Na rękę to właśnie było klesze, który nieomieszkał krótko zbywszy pacierze i ucałowawszy relikwie, pośpieszyć na wezwanie.

Zastał księdza z kubkiem ciepłej polewki chodzącego żywo po izbie. Zobaczywszy go kanclerz zbliżył się, dał mu rękę do pocałowania i zapytał.

— Zkądże?

— Z Poznania znowu uchodzić musiałem, bo się tam na bardzo srogą wojnę zanosi, mój ojciec, nie było co robić dla mnie. *Silent musae!* Co żywe, wszystkich biorą na żołnierzy, a jam do tego nie-sposobny.

Ksiądz patrzył nań bystro.

— Zdaje mi się, żeś ty mi mówił, iż po niemiec ku szwargoczesz — rzekł — pismo ich czytać umiesz, a i sam pisać potrafisz? Możeż to być?

— Tak jest — odparł Bobrek.—Z biedy człowiek się wszystkiego uczy.

Kanclerz pomyślał chwilę.

— Ha! no! — odparł — kto to wie? pod te czasy, mógłbyś się może nam przydać. Poczekać tylko trzeba.

Jest komórka tu przy moich, chcesz-li, znieś tam rzeczy, książę może jakiej potrzebować usługi.

Bobrek się odrobinę zawahał z przyjęciem tej łaski, ale w końcu pokłonił się do kolan.

— Głodu u mnie nie doznacie—dodał kanclerz.

Wtem, oknem wyrzawszy, kubek swój dopił spieszenie i wybiegł na podwórze. Bobrek nie znajdował tego występkiem, że ciekawość zaspokajając, wysunął się za nim do sieni, niby dalszych czekając rozkazów.

Kanclerz już zapomniawszy o nim szedł ku dworcowi książęcemu.

Tu właśnie w gościnę ktoś zajeżdżał z poczem liczny. Zsiadał z konia, a dwór jego i ludzie a wozy wciągali przez wrota, cały niemal zapelniając dziedziniec.

Mąż musiał być znaczny, gdyż i urzędników z sobą prowadził i dowódcę straży, a wszystko to podziwiane dostatnio, czysto, zamożnie, chociaż po staremu i niewykwintnie.

Bystre oko Bobrka dostrzegło po pewnych znamionach, iż gość to nie z Polski był, ani od Niemców, ani też z Litwy, z którą Semko był na stopie wojennej.

Domyślił się trafnie Janusza księcia na Czersku i Warszawie, starszego brata książęcego. Chociaż ten się bardzo rzadko z domu ruszał, ale nie mógł to kto inny być, prócz niego.

Wśród ówczesnych panów i pańskich dworów, Janusz starszy, jak go zwano, odznaczał się usposobieniem i obyczajami odmiennymi i sobie właściwymi.

O kilkadziesiąt lat starszy od brata, który się przy nim dzieciakiem wydawał, na pozór zimny, poważny, pokój miłujący, w domu rządny, chociaż oso-

biście mężnym był, wojny unikał jak ojciec, a zdobyczy nie był lakomy.

Swojego czasu człowiek to był wyjątkowy, nie miał bowiem ani chciwości innych panów, ani ich gorączki bojowej, ani ambicyi takiej, dla którejby spokój swój i kraju ważył, granice jego pragnąc rozpostrzeć.

Szedł widocznie w ślady Ziémowita starego, który dla utrzymania się przy Mazowszu, wiele ofiar nawet z miłości własnej czynić musiał.

Nie miał jego popędliwości i srogości, powolniejszym był, ale się też nikomu wodzić nie dawał i wolę miał silną.

Janusz z praw wieku i starszeństwa uważał, się za opiekuna dużo młodszego brata, a że ich interesa wspólne łączyły, z oka go nie spuszczał. Młodszego, żywszego, mniej daleko widzącego i przewidującego Semka, którego wiek jeszcze nie ostndził, opieka ta trochę niecierpliwiła.

Wiadomem to powszechnie, jak braci młodszej przedłużona ta piecza starszych, bywa niecznośną. Semko nie śmiał się buntować jawnie przeciwko bratu, bo za życia ojca, zarówno go jak rodzica nawykł był szanować, wymykał się jednak o ile mógł z pod jego władzy.

Teraz, gdy go Bartosz z Odolanowa z iunemi pany wielkopolskiemi zaczęli nakłaniać, aby korony polskiej nie odrzucał i sposobił się do zdobycia jej, Semko niepewien, wahający się, brata wszakże się nie radził, i milczeniem przyzwalając, choć kroku stanowczego nie uczynił, zbroił się bez wiedzy jego.

O przybyciu tem Janusza nie był wcale uprzedzonym Samko, chwyciło go ono niespodzianie. Czerski książę spadł jak z obłoków. Gdy pacholę wbiegło, znać o nim dając Semkowi, pobladł młody pan, zagryzł wargi, zakłopotał się mocno.

Jawnem dlań było, że starszy brat dowiedzieć się już musiał o zamiarach i knowaniach Wielkopolan,

i przybywał go liczby słuchać, a powołać do tłumaczenia, najpewniej zaś powstrzymać od zuchwałych zachcianek.

Walka z Januszem, opór przeciwko niemu, ciężkimi były dla Semka. Lecz nie mógł już ani ująć, ani się schronić. i musiał gościa wesolą twarzą witać, choć mu było markotno...

Otworzył żywo drzwi sypialni, w której siedział i z udanym pośpiechem a serdecznością wybiegł z otwartymi rękami naprzeciw Janusza.

Ten stał w kożuchu wygodnym, butach ciepłych i kołpaku, tak jak był z konia zsiadł, oglądając się po znanej izbie, która od czasów Ziemowita mało co się odmieniła. Patrzył na nią z rozrzwaniem jakimś, stare mu czasy przypominała.

Mąż był jeszcze w siłę wieku, ale twarzy już niemłodej, poranej, rysów niepięknych, spokojnego, niemal surowego, zastygłego wyrazu. Rycerskiego w nim było tyle tylko, ile w książęciu onego wieku być musiało. Na twarzy wypogodzonej małował się ten widok człowieka, gdy on już złudzeń się pozbył, życie bierze jak cno przychodzi, a spokój nadewszystko ceni.

Ani pragnień, ani też polotu nie widać było w nim ku wyższemu czemuś, był ze swego rad...

Na widok młodego wyroska, niemal mu Janusz z ojcowską jakąś serdecznością otworzył ramiona i do serca go przycisnął.

— Prawda, żem ja ci gościem niespodziewanym?— rzekł, rozpinając kożuch i pas, a rozgaszczając się jak w domu. — Wie-z, że ja nie rad wędruję, a go-tówem w moim dworze warszawskim lata siedzieć, patrząc jak Wisła mi płynie... i nie potrzebując więcej, ale mi się za tobą stęskniło.

No—i niepokój mnie ogarnął o ciebie...

— A to dlaczego?— odezwał się Semko, zmieszany nieco.

Janusz się obejrzał, przy drzwiach stało kilka

osób z ich dworu—skinał, że o tem później mówić będą, a radował się Płockowi, kędy biegał dziecięcim.

Pierwszą zawsze rzeczą było u nas, gdy swój, czy obcy próg domu przestąpił, natychmiast myśleć dlań o pokarmie i napoju. W dawniejszych wiekach obyczaj ten był ściślej jeszcze zachowywany; pan domu nie potrzebował nawet wydawać rozkazów. Załedwie w wielkiej izbie zasiedli, gdy już obrusy na stół niesiono, czeladź się krzątać pilno zaczęła. Semko powitalny kubek nalewał...

Tymczasem co było starych sług Ziemowitowskich, do pańskiego rodu przywiązanych, zatem i do głowy jego, cisnęło się wnet witać księcia Janusza...

Ta serdeczna skwapliwość budziła może pewną zazdrość w Semku, ale nie śmiał jej dać poznać po sobie.

Przybyli zaraz z pokłonem i wojewoda i chorąży marszałek i kanclerz...

Janusz z pańska, z powagą książęcą, ale z pewną dobroduszością, jakby do rodziny należących witał, ciesząc się nimi, śmiejąc do nich, wypytując ich o nieobecnych, dawne wspominając czasy.

Wszyscy teraz zrzeczność mieli porównywać dwu braci, tak wiekiem różnych od siebie i charakterami.

Powaga januszowa gasiła zupełnie Semka, który czuł, że przy bracie mała i podrzędnym się stawał...

Bolało go to. Uspokojenie serdeczne zresztą, ostrygło, bo miłość własna była podrażnioną. Janusz nie widział, lub nie chciał dostrzedz chmurki na jego czole, wesółym był, ale z powagi swej nie nie tracąc.

Dopóki dwór przy sobie mieli i świadków, o żadne sprawy ważniejsze nie zagadnął Janusz, nie spytał nawet o to, co go uderzać musiało, ruch niezwykły i przygotowania jakie tu znalazł.

Dopiero gdy obrusy zdjęto, Janusz szepnął bratu, aby gdzie na osobność poszli. Zasiedli więc w sypialni u jednego stoła, a Semko czując, że chwila

się zbliża, gdy przyjść musi do stanowczej z bratem rozmowy, czerwieniał zawczasu z niecierpliwości.

Był najpewniejszym, iż brat przybył z tem, by mu mieszanie się w sprawy polskie odradzać, lecz myślał-że się on w nie wtrącać?

Janusz palcami przebierał po stole i dumal, nim się odezwał.

— Słuchajno Semku. Mówią mi, że cię plosi ludzie na niebezpieczną grę namawiają. Prawda to, czy nie? Widząc, że ty się z tem do mnie nie zgłaszasz, musiałem przybyć, aby się pewnego czegoś dowiedzieć... Lękam się—tyś młody!

— Jaką grę?—rzekł Semko.

— A no... Gra to gorsza niż w kości—mówił Janusz wzdykając. — Bodaj czy cię nie kuszą polską koroną, dla której gotówes swoje księstwo, jeśli nie stracić, to dać spustoszyć?

Semko wstał z siedzenia...

— Krokum żadnego o to nie czynił i nie myślę czynić—rzekł—widzisz, siedzę spokojnie doma. Czy oni o mnie myślą, niewiem spełna—a gdyby pomyśleli, mamże odpychać?

Janusz słuchał, palcami wciąż przebierając po stole...

— Płochy to lud a namiętny, co cię tą koroną bałamucić chce—mówił powoli. — Chcą tobą drugich nastraszyć, aby wyjednać czego im potrzeba...

Korona ta bardzo wysoko i daleko!..

Z Luksemburczykiem sprawa nieskończona, nie da się on ani z Węgier, ani z Polski tak łatwo wygnać. Pan możny i plecn szerokich, po za nim Niemców i Czechów siła, i panowie Krzyżacy...

Gdyby królowa Elżbieta drugą królownę dała do Polski, i tej nikt nie dostanie, bo ją tak samo jak Maryą dzieckiem poślubiono pod zaręką wielką Wilhelmowi Rakuzkiemu i chowali ją przecie we Wiedniu dla niego, a jego dla niej w Budzie.

— Mówią przecie, że śluby te nie warte nic — odparł Semko.

Janusz patrzył w ziemię, milczący.

— Musieli cię już za serce pochwycić, królownej ci się i tronu zachciał! Lecz, wierz mi starszemu, niebezpieczna to zabawa...

Litwę już mamy na nas rozjątrzoną, a z Jagiellem i bracią jego niema co żartować, Krzyżaków sobie na kark ściągniesz, a bodaj i na mnie w dodatku... Część Polaków mieć będziesz przeciwko sobie. Siła złego, tylu na jednego... i to jeszcze książątko Mazowieckie!!

Semko wyraziście spojrzał na brata, i nie sprzecząc się o innych—dodał tylko.

— Z panami teutońskiego zakonu, nie mam waśni żadnej, owszem dobrzy mi są, a podarkami obśylają.

— Tem ci gorzej!—wtrącił Janusz. — Nieprzyjaciółmi ich mieć to kaźń Boża, a przyjaciółmi... nie-szczęście wielkie. Kleszcze to są, które gdy do ciała przylgną, z ciałem je chyba wyrwiesz. Wrogów swych zabijają w jawnej walce, a druhów pocałunkami trują... Przyjaźni ich się strzeż!

— Jedno przecież wybierać potrzeba! — odparł Semko.

— To już ledwiebym ich nie wołał wrogami znać, byle zawieszenie broni trwało — śmiejąc się rzekł Janusz.

A chwilę pomilezawszy, mówił dalej...

— Pomnij na ojcowskie słowa, Semku i patrz na mnie. Pokój mam ze wszystkimi, nieczyjego nie chcę, ale i swojego nie dam. Wiedzą o tem.

Dają mi więc w spokoju gospodarzyć, budować i ludzi na puste ziemie ściągać. Z pomocą Bożą, jest co czynić w lasach naszych i piaskach, póki się nie zaludni i nie zabuduje. Miasta trzeba zakładać, wsie osadzać, grunta wydzierać, gościńce trzebić... chło-

pów od głodu i moru zabezpieczyć. Tak ojciec nasz czynił, tak wielkiej onej pamięci król Kaźmierz, którego nam wszystkim naśladować.

Semko słuchał, ale roztargniony i nie okazując wielkiego temi prawdan*i* przyjęcia, tak, że Janusz dorozumiawszy się może, iż próżno go nawraca, odechnął żalściwie i sparł się na rękę zamilkłszy...

Młodszy siedział milczący czas jakiś także.

— Ja do rozkazania ci nie mam nic—dodał starszy, nie doczekawszy się odpowiedzi—ale sercem braterskiem radzę i życzę, odżeń precz tych, co dla własnych korzyści na niebezpieczeństwa cię ciągną...

Semko się namyślił nad odpowiedzią i odezwał wreszcie wesoło na pozór.

— Miły bracie, tak mnie potępiacie i sądzicie, jakbym ja począł co już, i zerwał się do czego? Nic ci niema! nie czynię nic, nie żądam ani się napieram, wojować ani myślę! Patrzę i słucham, alem palca nie umoczył...

— Daj-że Boże, aby i nadal tak pozostało, a Indzie cię nie oplatali w takie sieci, z których dobyć się trudno całym!

— Nie dam się przecie ująć łatwo!—zawołał Semko—a choć młody jestem i krew mam gorętszą, pomnę i ja na ojca przestrogi...

— Czyń-że tak i nadal, a nie skrywaj nic przedemną!—rzekł Janusz.

— Ukrywać nie mam co!—zawołał Semko — nie przedsiębiore nie!

— Wielu z Piastów naszych dzielnie pozbyło, chcąc nadto panowania—dodał Janusz.

Semko głową zaprzeczył.

— A Łoktek?—zapytał.

— Takich się nie wielu rodzi — odezwał się Janusz—aby takim jak on być, szczególnego błogosławieństwa Bożego potrzeba...

Przestał mówić i obaj czas jakiś milczeli...

— Poczekawszy—rzekł Janusz — chociaż młodym

jeszcze jesteś, o gnieździeby ci pomyśleć trzeba, żony szukać... to cię do domu przywiąże...

— Zawczasie bodaj—odpowiedział Semko śmiejąc się.—Nie mam do tego zbyt wielkiej ochoty...

— Przyjdzie ona—wtrącił Janusz—byle cię tacy rycerze jak ten Bartosz z Koźmina na niepotrzebne barce nie wyciągnęli. Zapragnie się sławy rycerskiej, potem tej korony i tronu i Krakowa, a do tych nas nie dopuszczają!! Wielkopolanie sami o tem nie stanowią, krakowscy zaś panowie mądrzejsi są i zawsze nad nimi górę biorą, a my dla nich... za mali!!

Spojrzał na Semka, którego twarz zdradzała; lecz młodszy nie rzekł słowa, zacisnął usta i postanowiwszy zaprzeć się wszelkiej pożądlivości, zbywał nauki milczeniem.

Tak pomiędzy braćmi nierównego wieku, charakteru i doświadczenia rozpoczęła się rozmowa, która z małemi przestankami przez cały ten dzień trwała do późna.

Janusz podejrzywał Semka uparcie, iż mu się szczere z myśli swych zwierzyć nie chce; próbował, lecz nic dobyć z niego nie mógł, oprócz powtórnych zapewnień, iż zbroi się tylko dla własnego bezpieczeństwa.

Potrzeba było wreszcie świadectwa starszyny, których w pomoc wezwał młody książę. Abram Socha i kanclerz, przyszli uspokajać Janusza, iż książę w istocie uzbraja się dla zabezpieczenia granic własnego kraju, ale wojować nie myśli i występować przeciw nikomu.

Ale i to nie przekonało npartego Janusza, który miał jakieś przeczucie, że Semko wciągnięty być może w sprawy wielkopolskie, powtarzał więc przestrogi.

Abram Socha, który był także zdania, że o koronę dobijać się nie należało, ale dał się skłonić do tego, aby czuwać nad całością granic, bronił Semkowych uzbrajań i w zapale odezwał się z tem, że na-

leżałoby podwoić je, gdyby tylko skarb na to starczył.

— Na moją pomoc wcale nie rachujcie — odparł stary — u mnie grosz nie leży, a gdybym i miał, na tobym go wam nie dał, bo to znaczy pożyczyć na wic, gdy się kto chce powiesić!

Będzie u was żołnierz stał wrzekomo ku obronie, tem łatwiej was pociągną do tego co do was nie należy.

Rozeszli się dnia tego chłodno, a na Semku dotąd wahającym się, brat swoim wystąpieniem to uczynił wrażenie, iż go ośmielił do zuchwałego kroku.

Skłonnijszym się czuł do niego niż przedtem.

Nazajutrz dziwnem zrządzeniem losu nadbiegł Bartosz z Odolanowa, i, nim się z Semkiem mógł zobaczyć, Janusz go do swej izby powołał.

— Panie starosto — rzekł do niego na wstępie — mam do was srogi żal. Brata mi bałamucicie! pokój mnie i jemu zakłóćacie dla waszej sprawy, która nam jest obcą!

— Jakto, obcą? — zawołał Bartosz, który sądził, że otwarcie z nim mówić powinien. — Wam! Piastom! miałyby sprawa korony polskiej być obcą? i gdy kraj was wzywa na ratunek, wybyście mogli dla świętego pokoju zapomnieć o obowiązku?

— Nie czuję obowiązku, a pokoju nie mam na zbyciu — odparł Janusz. — Co do mnie, żadna siła w świecie nie wywiedzie mnie na płocze harce, ale Semka młodego skusić możecie i zgubicie go!

— Książę Semko nie potrzebuje występować i nie chce, dopóki się położenie nie wyjaśni — zawołał Bartosz — lecz gdy go powołamy, odmawiać nie może.

Cała Wielkopolska jest za nim, Krakowianów zmusimy, wszyscy za Piastem będą!

Tu począł Bartosz wymownie i gorąco malować, co się w Wielkopolsce działo, ale Janusza tem rozgrzać nie potrafił. Słuchał go obojętnie i namarzczony.

Na ten początek rozmowy wpadł Semko i przerwał ją. Odtąd stary już się do niczego nie mieszając, w ciągu dnia przysłuchiwał się tylko, a wieczorem oznajmił, że do Czerska zaraz powracać musi.

Gdy żegnać się przyszło, odciągnął brata na stronę.
— Odrzucacie dobre rady moje — rzekł chmurno — nie przyznajecie mi się nawet do tego, co myślicie, a ja w duszy waszej czytam... Róbże sobie, coś postanowił, ale mnie nie mieszaj, do mnie się nie odwołuj.

Na pomoc moją nie rachować nie możesz, nie dam ani denara, ani człowieka, a jeśli cię z Płocka wygnają, tylko tyle, że przytułek znajdziesz u mnie.

Semko niewyraźnie coś mruczając, uściskał go. Smutnie się rozstali. Stał potem we drzwiach, za odjeżdżającym patrząc długo, nieco ostatniemi słowy jego, przy pożegnaniu zmieszany, lecz Bartosz, który pozostał tu, odciągnął go, nie dając się smutnym myśłom poddawać.

Nie żądał on, aby Semko występował zawczasu czynnie, ale nalegał, aby z siłą wielką był w gotowości, bo dnia ani godziny, gdy potrzeba będzie wyjść, oznaczyć nie było podobna.

Semko, jeszcze radami brata ostudzony, odparł mu, że czyni co może, ale skarb jest ogołocouy.

Domyślał się tego może Bartosz, choć nie przypuszczał, ażeby całkiem zapasu brakło. Książę z niechęcią mówił o tem, bo mu wstyd było przyznać, się iż po młodemu szafując nieopatrznie, do dna wyczerpał, co w nim było.

Radzono długo, z kąd wziąć pieniędzy, a Bartosz z Odolanowa poszedł wieczorem do kanclerza, chcąc go skłonić, aby, korzystając z przyjaznego usposobienia Zakonu dla Semka, u niego starać się o pożyczkę. Kanclerz, nie chciał tego brać na siebie. Mówili długo i głośno.

Obok w komórcie siedział z uchem do drzwi przyklepionem Bobrek. Lice mu się śmiało słuchając.

Gdy Bartosz potem odszedł, a klecha się wsunął do izby, od niechcenia potrącił o to, jak dziś wszyscy, nawet książęta możni grosza byli żądni, a nigdzie go tyle nie było co u panów niemieckiego zakonu. Oni przecie cesarzom i królom pożyczali, a skarby ich nieprzebrałe były.

— Dla nas to zapieczętowane źródło—rzekł kanclerz.—Nam, gdybyśmy potrzebowali nie dadzą.

Bobrek minę uczynił pokorniejszą jeszcze niż kiedy.

— Mały czasem robak przydać się może — szepnął cicho z uśmiechem cbytrym.—Czemże ja jestem, jeżeli nie lichem stworzeniem, na które i spojrzeć nie warto, ale ja u panów niemieckich mam krewnych moich, którzy tam niemało mogą, choć i oni niewiele znaczą.

Gdybyście mi dozwolili popróbować.

Kanclerz niezmiernie zdziwiony, dopiero teraz począł się z wielką uwagą temu lichemn robaczkowi przyglądać. Niedowierzał uszom własnym.

— Gdybyście mi kazali jechać—rzekł.

— Bez wiedzy pana, ja tego uczynić nie mogę—odparł kanclerz, ze zdumienia jeszcze nie przyszedłszy do siebie.

Był on tego przekonania, że klecha głupawy a zarozumiały, nadto krewnym swym i sobie pochlebiał. Namysliwszy się jednak siedł z tem do Semka, przynosząc śmieszność, nie do wiary nowinę.

Semko obojętnie ją przyjął, klechy widzieć nie chciał, kanclerza odprawił z niczem, ale wnet z podwórza nazad go do siebie powołał.

— Kat go wie zresztą!—rzekł.—Wyślijcie na zwiaady od siebie, niech jedzie. Nie robi nic, zastukamy gdzieindziej.

„Gdzieindziej“ było zagadką dla kanclerza, ale się o rozwiązanie jej nie pytał.

Powrócił z tem do izby, w której Bobrka, jak zawsze, znalazł na pobożnej modlitwie.

Klecha nie był tak dalece nabożnym, ale wiedział dobrze, iż okazując się nim, zyskuje nawet u tych, co jak on rzadko się modlili. Kanclerz zbudował się tą świątobliwością, lepszego nabierając wyobrażenia o niebardzo mu miłym człowieku.

— Słuchajcie — rzekł mu od niechcienia wieczorem—jeżeli wam się zda, że możecie coś zrobić dla księcia u panów krzyżackich, aby mn pożyczyli grzywien nieco, choć ja wątpię o tem, próbujcie, jedźcie.

Bobrek sklonił się nisko, przelękając ślinę.

— Poprobuję—rzekł—a mam w Bogu nadzieję, że się może co zrobi. Niech miłość wasza, pozwoli mi zaraz iść, abym sobie wozu lub sani poszukał.

To mówiąc w rękę go pocałował, pokłonił się do stóp i zniknął.

VII.

W radnej izbie na Malborskim zamkn, zgromadziła się rada Zakonn.

Wielki mistrz Czolner, marszałek Wallenrod, kilku komturów i wyższych urzędników, powołanych przed chwilą, składali ją.

Ktoby u tych ludzi sznkał dawnej reguły surowej, jakiej niegdyś zakon szpitalny podlegał. ledwieby dziś znalazł ślady i zatarte formy, mało szanowane dla oka, lekceważone w istocie.

Przestarzała reguła już jakby nie obowiązywała

nikogo. Czas, okoliczności, wojny, które więcej rozpręgały karność niż utrzymywały, nienastanny napływ rycerstwa z Zachodniej Europy, zbytkami, dworszczyzną, pieśniami wypieszczonego, chciwego sławy, wrażeń, wygód wymyślnych, panów krzyżackiego zakonu przekształciły na rodzaj potężnego stowarzyszenia, mającego na celn zdobywanie ziemi, zbogacanie się, używanie wspaniałe destatków.

Interes własny wszystkich współuczestników tego związku, łączył ich jedynie i do czuwania nad dobrem zakonu pobudzał.

Sprawa wiary i krzyża, niegdy zapisana na chorągwi, obowiązki ich szpitalne, jakich dziś ledwie pamięć pozostała, snrowe praktyki religijne, znikły zupełnie z oczów nawet najgorliwszym.

Głównem zadaniem było Zakon niemiecki uczynić panem krajów zawojowanych, które oddawały się w opiekę cesarstwu, gdy papieżowi się opierać potrzebowały, a uciekały do Stolicy apostolskiej, gdy cesarz upominał się o prawa swoje.

Ta spółka rabusiów rycerskich rosła słabością sąsiadów, ich rozdwojeniem, a w ostatku więcej potęgą złota niż oręża, w wieku tym, który był tak grosza żądny, a tak go wydobywać nie umiał, chronić, wypożyczać i pomnażać jak zakon rycerski, który był najzręczniejszym z lichwiarzy.

Znać już było wszędzie i na wszystkiem tę finansową potęgę zakonu, tak ogromną i straszną jak niegdyś templaryszów, i w podobny sposób zebraną. Przepych nie krył się z sobą ani wstydał, życie było najwykwintniejszym i zbytkowniejszem może, niż na wielu monarszych dworach Europy.

Znać było czasn wypraw, na szatach, orężach, koniach, wozach, namiotach, że białoplaszczowi panowie należeli krwią do najarystokratyczniejszych rodzin, do książęcych domów, i że wdzierając to snkie, nie wyrzekali się zbytków i pieszczot, do jakich wprzód byli nawykli.

Rycerstwo wygasło na zachodzie, przeradzało się i niewieściano, tu zlewały się jego cząstki i był swój przeciągały. Urok miał zakon dla wielu awanturników, jako pogromca niewiernych, ale większy jeszcze, jako stowarzyszenie mężczyzn wyzwolonych z więzów rodziny, z obowiązków dla niej, i żyjących pod wyjątkowym prawem, które zwalniało od moralnych przepisów, pospolitych ludzi wiążących, płacąc tem za ofiarę życia, w boju zagrożonego.

Na wszystkich tych panach, którzy zapełniali izbę radną, wielkim ogniem olbrzymiego komina ogrzaną i oświeconą, widać było pychę siły, jaką na nich zlewał zakon.

Może najskromniej ze wszystkich stawiał się sam mistrz wielki, człowiek twarzy pospolitej może, nie uderzającej na pierwszy rzut oka, ponurej, ale poważnej i myślącej. Rysy jej były grube, niezbyt formne, szlachetniejszej krwi nie zdradzające, chociaż rozum bystry i energia były z oczów. Nizkie czoło, nawyknięcie do myślenia pogarbiło fałdami, które już z niego nie schodziły.

Nie był mistrz ani wymownym, ani w słowa obfitym, ale wiedziano, że niewielu słów jego słuchać należało, bo były treści pełne, a dojrzałe.

Zwykle ponurego usposobienia, mistrz wielki, który się nie ukrywał z tem, co czuł i jak był usposobionym, gardził wszelkiem udawaniem, dnia tego twarz miał pogodniejszą.

Okolo ust igrał mu jakby cień uśmiechu. Nie śmiał on się nigdy, a ten odblask jakiegoś wesela wewnętrznego, już miał wielkie znaczenie.

Obok niego wyniosła, rycerska, piękna, ale jakimś zuchwalstwem rozpasanem nacechowana postać marszałka Konrada Wallenroda, obracającego się z wielką swobodą, oczyma biegającymi żywo i natrętnie po przytomnych, stanowiła wybitną sprzeczność.

Czolner cały był w sobie, marszałek choć nie mówił, dawał się poznać obejściem swem i ruchami.

Więcej niemal zważano nań i okazywano mu uszanowania niż Czolnerowi, z którym on chciał stać na równi.

Wszyscy inni też dumni i pewni siebie, przy Wallenrodzie nieśmiało się prawie wydawali. Ani na wielkiego mistrza, ani na wysokich urzędników nie zwracał on uwagi, zdawał się tu dla siebie być pierwszym i jedynym.

Nie przywiał też zapewne do tego zgromadzenia, na które przybyć raczył, wielkiego znaczenia. Okazywał, że stawiał się z obowiązku, dosyć lekceważąc sobie radę, że się tem nudził, i że zagadkowo rozjaśnione oblicze mistrza go drażniło.

Oprócz Czolnera, który był miernego wzrostu, reszta zgromadzonych składała się z ludzi dorodnych, stworzonych do tych wielkich ciężkich zbroi, które nas dziś zdumiewają, a jednak Wallenrod górował nad niemi, i wśród tych twarzy męzkich, pięknych rysów, dumne jego oblicze najpięknijszem było. Czarne oko miało królewskie wejrzenie, małe usta, widocznie z pod ciemnej brody i wąsów, wyraz, jakby do rozkazywania stworzone były.

Wallenrod nie mówiąc do nikogo, nie pozdrawiając wszedł do radnej izby, zagrzeał się u ognia, a potem siadł naprzeciw niego na ławie, długie swe nogi wyciągając bez względu, iż niemi drogę innym zamykał.

Czolner zdawał się czekać na kogoś, który nie przychodził, spojrzał po przytomnych leniwie, zadumał się, nasłuchiwał, czy kroki jakie nie dojdą go zdala i po chwili zwrócił do starego podskarbiego zakonu, który stał mrużąc oczyma, bo niedowidział.

— Was mi dziś było najpilniej potrzeba—odezwał się do niego—bo sprawa, którą przełożę, niezawodnie zgodnemi głosami będzie rozwiązana, idzie o to tylko, abyś ty, bracie, nam jej nie popsuł.

Milczeli wszyscy słuchając.

— Wiecie, co się w Polsce dzieje — mówił dalej

Czolner.—Zaprawdę, gdybyśmy sami tam się rozporządzali, nie składałoby się lepiej.

Uśmiechnął się pogardliwie.

— Następstwa są nieobrachowane — dodał — ale nieład i bezrząd na długo zapewniony. Za tem idzie bezsiłność, czegoż żądać więcej?

— Luksemburczyka ta hałastra słyszę wygnała — przerwał Wallenrod — ale powróci z odwetem.

— Życzymy mu tego — mówił Czolner — bo wolelibyśmy go tam nad innych. Jednak, z królową Elżbietą, panią umysłu niestalego, dziwaczną, za nic ręczyć nie można.

Chodzą różne wieści, wołałaby podobno dla córki francuza lub włocha.

A tymczasem mamy bezkrólewie.

Wielkopolanie zarzynają się i niszczą, naszego sąsiada Semka Mazowieckiego gwałtem na tron ciągną!

Dwóch czy trzech ze słuchającej starszyny ruszyło ramionami.

— To jeszcze dzieciak, młokos — rzekł jeden.

— Najłatwiej też go wciągną — odparł Czolner. — Bartosz z Odolanowa, rycerski pan dziewczosłębem, ten gdy go wziął w ręce swe, nie popnści.

— Żołnierz dobry — odezwał się komtur z Bałgi — człęk nie do pogardzenia.

— Warchoł, zuchwały nad miarę, a krew w nim gra — rzekł Czolner — która człowieka niesie dalej, niż chce. Koniec końcem, księciu Semkowi korony się chce, a pieniędzy niema.

— Tak — wtrącił podskarbi, rękę kładnąc za pas — pewnie po nie do nas przysyła. Szkoda tylko, że myśmy na innych dłużnikach sparzeni i na gołe słowo, a choćby i pięcią pieczęciami opatrzoney pargamin, ze dwoma orły i dwoma puchaczami, zakon nie da nic.

Przeciwko temu wyrokowi, zmarszczony pośpiesz-

nem jego wyrzeczeniem, zaprotestował wzrokiem Czolner, podskarbi zamilkł, a on mówił dalej.

— W skarbie zbytnich kilka tysięcy grzywien się znajdzie.

Podskarbi potwierdził głową.

— Jestem więc za tem, ażebyśmy je pożyczili Semkowi, ale pogranicznej ziemi kawał zastawem nam musi dać, i będziemy trzymali ją, aż wykupi.

Nikt się nie myślał sprzeciwić temu, Wallenrod w ziemię patrzył obojętnie.

— Wybierzcie—rzekł Szpitalnik—co dla nas najdogodniejsze, co najprędzej wrota nam dalsze otworzyć może, bo Mazowsze wielceby się przydało... Ziemia nie żyzna, ale Wisłę w rękę dzierżyć—ważna rzecz.

— Byłem pewny, że się na to zgodzicie ze mną—odparł Czolner wysłuchawszy cierpliwie.—O ziemię zastawną z samym Semkiem, układać się potrzeba... Na teraz jest tu tylko poseł od niego, którego chcecie-li posłuchać, wezwać każę. Jest to pół-brat zakonny i dobry nasz sługa.

To mówiąc, gdy się nikt nie przeciwił, Czolner podszedł do stojących za drzewami dwóch swoich kompanów, i jednego z nich posłał po Bobrka, który na dole czekał.

Rada tymczasem szydersko o sprawach polskich i o Semku rozprawiała, o rozruchach wielkopolskich, o korzyściach, jakie już z nich Brandeburczycy odnieśli, zamki nad granicą opanowawszy. Wiedzieli też o sprzedaży przez Węgrów niepocziwych, zamków ruskich Litwie, i oburzeni nią byli, nie że dla Polski były stracone, ale że nienawistna im zyskała je Litwa.

Wśród żywych rozpraw o tym przedmiocie, co Polskę teraz czekało, i jak zakon względem niej się miał stawić, wsunął się pokornie kłaniając Bobrek. Wszystkich oczy na niego się zwróciły.

Tu on był znowu innym, śmielszym, nie tak skurczonym, a sama suknia czyniła go do niepoznania

różnym od biednego klechy w Plocku... Miał teraz na sobie szarą odzież zakonu z półkrzyżem, jako braciszek i sługa jego.

Suknia ta dowodziła, że poprzysiągł wierność i należał do tej wielkiej rodziny, której starszyczna tu obradowała.

Nie idąc dalej, stał u progu i czekał, ażby go badać poczęto.

— Kto cię wysłał?—spytał Czołner.

— Ks. Piotrek, kanclerz książęcy—rzekł Bobrek.

— Kłechał — mruknął z pogardą, znany ze swej niechęci ku duchownictwu, marszałek Wallenrod.

— Cóż? potrzeba im pieniędzy na wyprawę do Wielkopolski?—pytał Czołner.

— Tak się domyślać można—odezwał się ośmielając Bobrek. Byłem tam właśnie, gdy książę Janusz Czerski przybył, a ten podobno odradzał mieszanie się do spraw polskich, ale Bartosz z Odolanowa musiał przemódz.

— Janusz — przerwał Szpitalnik pokręcając głową — ten baczny jest i ostrożny, jego nie wciągnie nikt. Spokój mu miły. Siedzi jak lis w jamie.

— I Semka pouo nie od razu namówili Wielkopoleanie — mówił Bobrek—ale mu na pewno obiecują koronę. Przygotowania się czynią, a no bez grosza nie ma nic.

Niezważając na przytomność Bobrka, Czołner wtrącił żywo.

— Naszym interesem jest, by się tam wicherzyło... niech się biją, to ich osłabia... niech się waśnią, a do nas odwołują o pomoc, tem ci lepiej. Za to Panu Bogu dziękować.

— O! w Wielkiej Polsce ogień straszliwy — począł Bobrek.—Widziałem na moje oczy kraj na polu spalony, ludność się po lasach rozbiegała, jedna polowa z drugą w śmiertelnej walce.

Czołner jednem uchem tylko słuchając tej powieści, przerwał żywo.

— Gdyby nawet Wielkopoleanie Semka zgodnemi głosy na króla obrali, niewiele to waży, bo krakowscy panowie na przekór im innego sobie znajdują i do tronu prowadzą.

— Jeżeli nie chcieli Luksemburczyka z Maryą — przerwał Szpitalnik — będą musieli wziąć Jadwigę z Rakuzkim Wilhelmem.

— Kto wie! z kim — bąknął inny — to pewna, że bezkrólewie potrwa, a dla nas to z dobrem jest. Gdyby się nawet Loisorowe królestwo na pół rozpadło, Wielkopolska oderwała, dla nas w przyszłości korzyść z tego oczywista.

Uśmiechali się dumnie wszyscy, pewni swego, Czolner dumiał...

— Ponieważ ci pilno wracać — odezwał się do Bobrka, stojącego jeszcze w progu — a przybyłeś z poselstwem ustnem, odnieś że im słowną odpowiedź, że zakon dobremu sąsiadowi nie odmawia pożyczki, ale zastawy musi żądać i wziąć je, bo to prawem i regułą jego, od którego odstąpić nie może.

Bobrek patrzący bystro w oczy mówiącemu, dał znak, że dobrze go rozumie. Czolner bliżej przystąpił do klechy, poszeptał mu coś cicho, i odprawił, choć ciekawy pół-brat byłby chętnie wśród towarzystwa dostojników pozostał.

Rada natychmiast, śpiesznie się rozchodzić zaczęła.

Bobrek, który konia na zamku miał, niezwlekając, siadł nań i ruszył nazad drogą do Torunia. Jechał rad bardzo, bo mu się łatwiej powiodło niż sądził, a nadzieję miał, że się ta podróż dobrze opłaci, a że do Malbarga z Plocka jadąc śpiesznie, nie miał czasu w Toruniu się zatrzymywać i do matki zajechać, tym razem zboczyć myślał do niej, nie z miłości, jak się przekonamy, lecz by jej nie dał zapomnieć o sobie.

Matka Bobrka była polką, za młodu nieopatrznie zaślubioną Niemcowi, z którym życie stało się dla

niej męczarnią. Stary Biber płatnerz, był na usługach zakonu, liczył się do pół-braci, pracował ciągle około zbroi na zamku; syn więc po nim pozostały, gdy podrósł, gwałtem go wzięli zakonnicy na wychowanie, czemu się matka nadaremnie opierała. Wiązał ją do Torunia dom i ogrody, które miała, bo inaczej byłaby z nim uciekła.

Nieszczęśliwa z mężem Agata, zaślubiwszy go płochę za młodną, znienawidziła go naprzód, a potem Niemców wszystkich i zakon, który z syna jej zrobił potworę, pół-klechę, pół-świeckiego sługę wszystkich swych nieprawości. Zawczasu poznali w nim krzyżacy jednego z tych, którego mogli wygodnem uczynić narzędziem; wprawili go do szpiegostwa, donoszenia i zarobkowania zdradą.

Matka nie mogąc im go wydrzeć, bezsilna, patrząc na zgubę dziecka, nienawiść największą powzięła do całego zakonu. Oplakała zatraconego, którego naprawić ani nań już wpłynąć nie umiała.

Bobrek zasmakowawszy w życiu, które prowadził na wiecznej włóczędze, do domu matki rzadko się ściągnąć się dawał.

Nie chciała mu pomagać matka, głodem go wiać myśląc, ale Bobrek wołał trochę biedy przecierpieć, a zostać swobodnym, zdawało mu się, że się w ten sposób czegoś w zakonie dosłuży, a po matce zawsze weźmie, co po niej pozostanie.

Rzadko teraz nawet zaglądał do niej, bo tu tylko wymówki, łajania i pogróżki cierpieć musiał.

Agata płatnerzowa wdowa, niegdyś urodziwa i słynna z piękności niewiasta, miała we krwi coś polskich kobiet, które z mężami na równi stać były nawykły.

Niemiec za życia napróżno, wszelkimi sposobami chciał z niej uczynić niewolnicę. Biedna sierota nie dała mu się. Groziła, że dziecię na ręce wzięwszy, jego i dom porzuci.

Płatnerz kochał się w niej i musiał uleść. Po

śmierci jego została z synaczkiem sama właścicielką pięknego murowanego domu na podzamczu, kilku ogrodów i pastwisk nad rzeką, i skrzyni, w której o wielu tysiącach grzywien rozpowiadano. Nie była starą jeszcze gdy ją mąż odumarł, piękną i w sile wieku. Pierwszy, co się o nią starał, obyczajem rzemieślniczym, był starszy czeladnik mężowski, płatnerz także, który miejsce nieboszczyka przy warsztatach zajął.

Agata o zamążpójściu za drugiego Niemca aui słuchać nie chciała. Polak się jej później trafił, ale i temu odmówiła, pozostała więc wdową.

Na większe utrapienie odebrano jej dziecko pod pozorem wychowania, trzymano między zakonnikami, i zawczasu zepsuto. Gdy w pół-brackiej sukience wrócił jej Bobrek, poznać go za własne dziecko nie mogła.

Obcowanie ze starszyzną i służbą zakonną, na wszelką rozpustę wylaną, nietylko go zniszczyło zawcześniej, ale uczyniło wrogiem tego rodu, do którego matka należała. Położenie biednej Agaty było straszliwie bolesne, bo kochała dziecko swe, a ono obrzydliwość w niej wzbudzało, i zmagalo się na to, aby się jej przeciwiać i jątrzyć. Przyszło w końcu do takich zajęć, między nią a synem, że musiała drzwi mu zamknąć, a on do nich nie śmiał i nie chciał już zastukać.

Za pośrednictwem jednak starszyny zamkowej ubłagano matkę, że przebaczyła synowi, domu nie wzbraniała mu, ale on sam mieszkać tu nie chciał, i puścił się na ten chleb, na jakim go widzieliśmy.

Agata pozostawszy sama jedna, wzięła z miasta polską sierotę, dziewczę, które wychowywała i żyła dalej pracą się zamęczając, aby swych smutków zapomnieć. Znano ją jako jedną z najbogatszych mieszczanek Torunia, ale Niemcy wiedzieli, że im nie była życzliwa, i obchodzili dom jej, dając spokój dla pamięci męża, który u nich miał wielkie zasługi.

Jaśko Bobrek (Biber) w Toruniu jeszcze miał na sobie szarą odzież braciszków zakonu, którą tu dopiero na podróż do Płocka miał zmienić. W niej też na dziedziniec domu matki zajechał. Stara Agata wedle swojego zwyczaju, gdy w ogrodzie nie do czynienia nie było, siedziała u kołowrotka w oknie i przędła. Posłyszawszy tentent konia, wyjrzała w dziedziniec i łatwo poznała syna.

Ręce jej opadły, pomarszczona twarz zarumieniła się, drgnęła i zatknąwszy wrzeciono, wstała od przędzenia.

Na ławce u ognia siedziała wychowanica sierotka, blade, mizerne stworzenie z białymi jak łen włosami. Izba duża, w której się znajdowały, dowodziła zamożności mieszczańskiej. Na półkach pełno było naczyńia różnego, w czystości utrzymywanego. Para obrazów złocistych świeciła na ścianach. Ławy wszystkie pozaściełane były kobierczykami, a stół zawieszony obrusem.

Okna szklanne, rzecz naówczas zbyt kosztowna i droga, z małemi błonami w ołów oprawnemi, podłoga w części grubem suknem wysłana, nadawały mieszkaniu powierzchowność schludną i miłą. Ogromny komin miał nawet garncarskie, foremne ozdoby z cegły, jakich tu naówczas używano, kamienie zastępujące niemi.

Gdy w progu ukazał się blady i pomimo śmiałości swej strwożony Jaśko, matka stała już w pośrodku izby, czekając niespokojnie na przyjście jego. Utkwiła w nim wzrok przenikliwy i widać było, że poruszona, gotową mu była macierzyńskie otworzyć ramiona.

Lecz Bobrek przez fałszywą dumę nie chciał się okazać ani pokornym ani skruszonym, z uśmiechem fałszywym i jakby drwiącym przystąpił lekkim pokłonem tylko matkę pozdrawiając. Agacie oczy ogniem błysnęły, ale pozostała chłodną. Niewiasta była za-

hartowana, przy której buderlawy syn wydawał się nędznie i bezsilnie.

— Nie chciałem pominąć Torunia—odezwał się—nie pozdrowiwszy pani matki.

— Bóg zapłać, żeś sobie choć przypomniał, że żyję—odrzekła surowym głosem Agata—a zkadże to i dokąd?

— Jak zawsze włóczy się człek po świecie — począł Bobrek postępując kilka kroków i z jakąś zazdrością szyderską spoglądając na biedną sierotkę, która na widok jego powstawszy od kądziółki, w kąć się tuliła.

— Cóż cię to tak pędzą.

— Co? panom moim służyć muszę — rzekł Bobrek.

Agata zwolna zawróciła ku swemu kołowrotkowi, którego jednak nie tknęła. Pokazała mu miejsce na ławie. Spojrzała na syna, którego bladość i zmizerowanie ją uderzyły.

— Nie znać na tobie, aby ci się u tych panów dobrze działo—rzekła.

— Nie skarżę się—odparł Bobrek z pewną dumą. W domu i tak nie było co robić, a pani matka mnie w nim widzieć nie rada.

Agata podniosła rękę do góry.

— Dość!! — rzekła — dość! Po toś tu przyjechał, aby się waśnił z rodzoną? To nie było jechać po co.

Jaśko zapatrzył się w ogień.

— Gdybyś chciał żyć po bożemu, takim jakim ja cię widziećbym rada, dom by ci był otwarty — dodała.

— Albo to moja wina—odezwał się Bobrek—że pani matka Niemców nie lubi, ja zaś z ojca Niemcem jestem i im służę; polskiego zaś rodu i plemienia nie cierpię.

— Milcz że! wiesz, że to krew moja i ty ją masz w sobie.

Bobrek zadrgał.

— Gdybym wiedział, kędy ona płynie we mnie, wyprulbym żyły i wytoczył ją.

Agata rzuciła się tak gwałtownie z miejsca, iż kołowrotek przechylił się i miał paść, gdy go silną ręką pochwyciła i postawiła na podłodze z taką mocą, iż kawałki drzewa z niego odpadły.

— Z temżeś to przybył! aby mi powiedzieć, że się dzieckiem moim zwać nie chcesz? — krzyknęła, wskazując na drzwi—no, to nie masz tu co popasać długo, jużś swoje spełnił.

Bobrek zrazu chciał wstać z ławy, ale się wstrzymał, zmusił do ostygnięcia, pobladł i począł z obojętnem szyderstwem.

— Albom to ja winien, że synem jestem mojego ojca? W pani matce inna krew mówi, inna we mnie, na to niema rady.

— Tak! Na grzech w życiu popełniony niema rady, pokutować zań potrzeba—zawołała ze łzami i lkaniem w głosie Agata, ręce załamując—pokarał Bóg, wola Jego.

Zwróciła się, jakby pociechy szukając, ku obrazowi Chrystusa, wiszącemu na ścianie, a widok cierniemi ukoronowanego, uspokoił ją nieco. Nie spojrzała już potem na syna i poszła do drugiego okna. Jaśko na ławie siedział zły, oczyma tymczasem przeszywając wystraszoną, w kącie stojącą sierotkę.

Wśród milczenia słyhać tylko było ogień trzaskający na kominie. Bobrek naumyślnie stroił twarz w śmiechy. Po wybuchu tym rozmowa między matką a synem stawała się trudną.

Czas jakiś milczał Bobrek, stara się zwolna uspokajała. Bezmyślnie jakoś skinęła na dziewczę.

Nawet temu niewdzięcznemu i zepsutemu dziećci, nie godziło się dać odejść z domu bez jakiegoś posiłku. Wyciągnęła rękę z kluczami nakazując winą utoczyć i zagrzać.

Jaśko to zobaczył i zrozumiał. Poszedł z ławy

do ognia, aby trochę rozmarznąć. Agata wracała do kołowrotka, usiłując się okazać obojętną, choć grube dwie łzy wśród zmarszczonych jej policzków polyskiwały.

Sierotka, jakby pragnąc panią swą co najrychlej od gościa tego uwolnić, zakrzętnęła się żywo z polewką winną, którą przyrządzać, osładzać i korzeniami zaprawiać umiała.

Oczyściła kubek, nalala i przyniosła drżąca Bobrkowi, który naumyślnie, widząc jej obawę, szyderskiem, rozpustnem wejrzeniem jej dokuczał.

Począł pić Jaśko, wzięwszy nareszcie kubek.

— Dobre wino u pani matki — rzekł. — Chwała Bogu na niczem nie zbywa. Człowiek nie zawsze takich delicyj dostaje po drodze. Trafi się cienkusz, podpiwek, a pod czas i kwas tylko. To też wino potem lepiej smakuje.

— Jedziesz dokąd, dalej?—zapytała matka, zmuszając się do obojętności.

— O! o! i bardzo pilno, bardzo pilno! bom posłany—odparł Bobrek—od samego pana Mistrza! Tylko com z Płocka i znowu napowrót tam. W Polsce się zarzynają aż miło, nasza rzecz im dopomagać do tego.

Uśmiech Bobrka przeszył biedną matkę, drgnęła, ale wstrzymała się od okazania gniewu. Nie odpowiedziała nic, tylko kołowrotek pod nogą jej zawarczał nagle. Jaśko mógł być rad, bo czuł, że dokuczał biednej kobiecie.

— Niema się co nad polakami rozczulać, kiedy rozumu nie mają—począł z wyrazem pogardy.—Dla nas z tem lepiej. Luksemburczyka, pana jakich na świecie mało, gładkiego młodzieńca nie chcieli na króla, wolą bezkrólewie. Co komu do smaku. Nasi panowie na tem kawał ziemi zarobią.

Stara ze spuszczoną nad kądzielą głową, nic nie odpowiedziała, połykała łzy w milczeniu. Bobrek popijał wino. Wyciągnął próżny kubek ku dziewczę-

ciu, aby mu drugi nałało. Spojrzał na matkę, zamilkł.

Znowu czas jakiś trwało milczenie. Agata oczy miała wlepione w kądziel, ale za łzami nic nie widziała.

Milczenie to starej jakieś wrażenie uczyniło na Bobrku. Sposepniał nieco i wypróżniwszy drugi kubek, postawił go na ławie.

— Czas mi będzie w drogę—odezwał się.—Jam tu do pani matki nie bez interesu przyjechał. Ot, gdybym konia mógł porzucić, a było go komu dopilnować, niechby został. Dalej wolę najać furę, bom się bardzo stłukł na siodle.

Podniosła oczy Agata

— Oddaj konia parobkowi—rzekła sucho—on ci go dojrzy, niech sobie stoi.

I nie mówiła więcej, zaczynając prząść znowu. Bobrek stał przed nią.

— Nie trzeba się na mnie sierzdieć, że to mówię co myślę—rzekł chłodno.—Gdybym kłamał a zalecał się, miałbym na sumieniu.

I dodał śmiejąc się, po niemiecku. — Czyste piwo szynkuje.

Usłyszawszy dźwięk tej mowy w ustach syna, Agata zadrżała.

— Czyń z czem ci lepiej—rzekła—a Bóg między nami sędzią niech będzie. Nie byłeś dla mnie dzieckiem, nie mam też dla ciebie serca matki. Niemców przenosisz nademnie, żyjże sobie z niemi.

— Bom sam nie kto tylko niemiec! — z przyciskiem zawołał Bobrek—a temu ja nie winien, że mnie pan Bóg nim stworzył.

Zatrzymał się nieco, jakby oczekując odpowiedzi i dodał:

— Zatem nie mam już tu co robić, tylko żegnać...

— Z Bogiem! — nie wstając od kołowrotka, odparła stara, nie spojrzawszy na syna—z Bogiem!

Bobrek nie zbliżał się już do niej, skłonił głowę, szyderskim uśmiechem pożegnał dziewczę, wykrzywi-

wszy się do niej cudacznie, czapkę na uszy wdział i z trzaskiem wyszedł z izby.

Dopiero gdy go nie stało, zerwała się od kołowrotka Agata i z płaczem głośnym pobiegła do komory, a za nią rozplakane też pobiegło dziewczę.

Bobrek tymczasem gospodarował w macierzyńskim domu. Parobka zawołał, konia mu pilno zalecał pod groźbą, nakazując karmić dobrze a doglądać. Sam potem z miną butną puścił się na miasteczko, gdzie konie już na niego czekały w gospodzie.

W Płocku wyglądano trochę jego powrotu, choć ksiądz kanclerz mizernemu posłowi niewiele ufał, przychodziło mu nawet na myśl, że całkiem może nie powrócić, jeżeli mu się nie powiedzie.

Upłynął czas przewidywany na podróż tam i z powrotem, i już o innych środkach dostania pieniędzy radzić zaczęto, gdy rankiem się zjawił Bobrek w swej wyszarzanej kleszej sukience, z pokorą, jaką razem z nią przywdziewał.

Bystro spojrzął mu w oczy kanclerz.

— Z czemże powracasz?

— Al! nie małam się napocił i nakłopotał—rzekł Bobrek — bo do tych, co u góry stoją i wszystkim rządzą, nie łatwo się docisnąć, przecież z pomocą Bożą, acz z trudem wielkim do uszu wielkiego mistrza doprowadziłem to, że książę by mógł pieniędzy potrzebować, gdyby był pewien, że mu ich nie odmówią. Ale tam też w skarbie pustki, tylko, że miasta mają handlowne i ludzi wiele zamożnych, u których łatwo dostać mogą. Kazali mi mówić, że gdyby książę sam do nich przybył w gościnę, mówiliby z nim o tem chętnie, a czyniliby co można, aby mu wygodzić.

I to też wiem pewnie, z ludzi znacznych, że pieniędzy nie dadzą, chyba w zastaw na ziemię.

Kanclerzowi ta nowina, acz nie zupełnie pomyślna, pożądanszą zawsze była od odmowy, jakiej się lękał.

Zostawiwszy więc klechę w swej izbie, sam zaraz pośpieszył z tem do księcia.

Długo siedział Bobrek przy wygásającym ognisku, nim się go z powrotem doczekał, mimowoli porównując ubogie mieszkanie kanclerza, z wygodnymi izbami panów krzyżackich i ochędóznym a dostatnym dworem swej matki.

Ale cóżby on tam w tem domostwie skazany na siedzenie bezczynne poczynał?

Powrócił gospodarz nieco długą rozmową rozgrzany.

— A cóż? pojedzie książę? — spytał wstając posłaniec.

Kanclerz nad odpowiedzią pomyślał.

— Książę zdawna miał zamiar jako dobry sąsiad, mistrzowi za podarek sokołów i psów podziękować. Jest i innych spraw sąsiedzkich o granice kilka do rozstrząsania. Zatem nie dla pieniędzy koniecznie, lecz dla przyjaźni, książę się do mistrza wybierze.

— Gdyby można wiedzieć kiedy? — przerwał klecha żywo. — Polecono mi, abym, jeśli można, o dniu uprzedził. Wielki mistrz chce godnie księcia ugościć, a nie zawsze go zastać w Malborgu. Albo by może księciu do Torunia dogodniejby było! ale tu... więcej oczów patrzy... i... — przerwał sobie. — Słujcież mnie, proszę, a sprawię wedle rozkazania.

Kanclerz zdziwiony słuchał, niepozorną tę istotę widząc zmieniającą się dziwnie w ważnego posła i pożądanego pośrednika.

Wrócił raz jeszcze do księcia i znowu Bobrek długo na powrót jego oczekiwać musiał.

Wszystko wreszcie postanowionem zostało. Semko trzeciego dnia miał bez dworu, z maleńkim pocztem, jako człek nieznany spotkać się z mistrzem. Kanclerz miał mu towarzyszyć, gdyż przy naradach mógł być potrzebnym.

Bobrek otrzymał obietnicę pięknego podarku, bo taki był obyczaj wieku, iż go dać musiano za każdą

posługę. Nikt darmo nie nie robił. Obdarzano świadków i pisarzy, tych, co pieczęcie przykładali, i tych co do zawarcia umów byli pomocą.

Odpowiedź zaledwie otrzymawszy, Bobrek chwili nie zmarnował. Potrzebował wypoczynku, ale wygodniejszy znaleźć się spodziewał u Pelcza, a może piękną Anchen, starannie przed nim ukrywaną, zobaczyć.

Częste przesuwania się Bobrka, starego kotlarza nie mało zaciekawiały, lecz Bobrek milczeć w potrzebie umiał, i gdy do umów a układów przychodzić miało, o których zawczasu głosić niebezpiecznem było, nie myślał się spowiadać otylemu przyjacielowi z czem tu przyjeżdżał.

Udał więc daleko mocniej znużonego niż był w istocie, kazał sobie zaraz ślać, zjadł, napił się i nie mając nadziei, aby mu się Anchen ukazała, bo ojciec mówił, że była niebardzo zdrowa, położył się zaraz rozkazując obudzić nadedniem i konie gotować.

Panowie Teutońskiego zakonu mieli tu wszędzie swe sługi potajemne, swych ludzi. W każdej miejscie bliżej granic, przekupionych i gotowych na rozkazy. Nie miał więc trudności Bobrek w znalezieniu człowieka, któryby go szybko dostawił do Torunia. Tu, nie wstępując już do matki, przesiadł się tylko na świeże do Małbarga konie, wdziawszy swój płaszcz szary z pół-krzyżem.

Prędzej niż się go spodziewano, stawiał się u drzwi mistrza.

Lecz okazało się, że na niedogodną jakąś trafił godzinę.

W podwórzach stały odziały zbrojne, jakby litewskie, i dwór jakiś obcy, liczny, książęcy, którego przyjęciem tak wszyscy zajęci byli, że na przybyłego braciszka nikt ani spojrzeć nie chciał.

Na zamku krzyżackim, a jeszcze na małborskim, który był jakby stolicą, orszak ten wrogo wyglądający, ludzie ci w wysokich kołpakach z uszami długo

na ramiona spadającemi, z pałkami za pasem obok mieczów, z tarczami dziwnych kształtów na pół europejskimi, w pół litewskimi, z końmi małemi i zwin-nemi, z oszczepami jakich już na zachodzie oddawna używać zaprzestano; wpośród nich starszyzna brodata w szkarłatnych szubach, w pasach sadzonych, w hełmach kształtów niezwykłych, a przestarzałych, wszystko to wydawało się jakby najazdem nieprzy-jacielskim.

Przecież przyjmowano ich tu gościnnie, pojono i karmiono, a oswojony z zamkowemi obyczajami Bobrek dostrzegł, że dla tego pana, który przybywał z orszakiem litwinów czy żmudzi, ucztę wyprawiano wspaniałą.

Kręciła się około kuchen służba, wynosząc z nich pozłacane misy, srebrne dzbany i wszystek sprzęt bogaty, który tylko dla najdostojniejszych gości do-bywać było we zwyczaju.

Nalegającemu na to, ażeby o nim wielkiemu mi-strzowi znać dano, odparł jeden z jego kompanów niecierpliwie, iż Czolner wielkiego księcia litewskiego Witolda przyjmował.

Witold był naówczas zarazem gościem, niewolni-kiem i sprzymierzeńcem zakonu. Po śmierci ojca Kiejstuta schronił się był do Krzyżaków i przyby-wał właśnie naradzać się o nowy najazd na Jagiełło-wą Litwę.

Szło o to wielce Krzyżakom, aby książęcia sobie zupełnie zjednali. W rękach ich był on najdziel-niejszem narzędziem do zagrożenia, a może do zdo-bycia Litwy.

Wysadzano się więc na uczczenie go, na zjedna-nie, związanie ścisłym węzłem męznego i energiczne-go syna Kiejstutowego, przeciw Jagielle miotającego pioruny, bo mu przypisywał śmierć ojcowską.

Ogień tej zemsty radzi podsycali Krzyżacy, a choć pozornie pośredniczyli w staraniach o odzyskanie dla Witolda ojcowskiej dzielnicy, nie bardzo sobie życzyli

pojednać stryjecznych braci. Od dwóch już dni Witold gościł na zamku malborskim, a z każdym dniem wspanialej go Czolner przyjmował.

Na to przyjęcie właśnie trafił powracający Bobrek i nierychło się doczekał widzenia z Czolnerem. Wyszedł on narazie do niego.

Bobrek w kilku słowach poselstwo swe sprawił.

Na twarzy mistrza odmalowało się żywe podrażnienie. Widać było, że wiadomość przychodziła nie w porę. Nie mógł on Witolda tu porzucić, ani się go pozbyć tak śpiesznie. Litewski książę oczekiwał na wiadomości ze Żmudzi.

Czolner go opuścić nie chciał, ani zdawać na nikogo.

W czasie zaś pobytu Witolda, razem z nim Semka przyjmować było dlań również niedogodnem.

Zjazd w Toruniu stał się niemożliwym, niemogąc inaczej, potrzeba było Semka do Malborge prosić, bo stracić łatwego nabytku kawałka ziemi Czolner nie chciał, ani sprawy tej odkładać.

Bobrek zapewniał, iż Semkowi pilną była pożyczka, pilne w tej właśnie chwili pieniąż, więc korzyść należało z tego, że ich potrzebowano.

Radzili długo na uboczu wielki mistrz z marszałkiem. Nie zdawało się niebezpiecznem spotkanie się tu dwu książąt, połączonych z sobą, bo Janusz Mazowiecki miał za żonę siostrę Witoldową, a Witold wszakże był już jak sądzili całkiem zakonowi oddanym.

Mogło to być dla Semka niezbyt przyjemnem, ale umowa z mistrzem, za którą szło oddanie w zastaw kawałka ziemi Wizkiej, na który już Krzyżacy oczy zwrócili, w tajemnicy się utrzymać nie mogła.

Dlaczegoż Witold nie miałby być świadkiem? Zbliżenie się ich do siebie zakonowi w przyszłości mogło więcej obiecywać korzyści, niż czemkolwiek zagrażać.

Mistrz nie mogąc jechać do Torunia, dwóch braci

z poważniejszych wybrawszy, natychmiast wysłał z pocztem knechtów pięknym na gościa spotkanie.

Z należną czcią i zwykłą gościnnością krzyżacką, mieli go oni zabrać w Toruniu i ułatwić podróż do Malborka.

Gościnność, o której wspomnieliśmy, pańska, rozrzutna, wspaniała, nie płynęła z serca wcale, była po prostu rachubą, okazem bogactw i możności zakonu, jego potęgi. Sadzono się na nią równie względem gości z zachodu, jak dla innych dostojnych panów, będących z Krzyżakami w stosunkach. Olśniewali nią, upokarzali, dowodzili skarbów niewyczerpanych, rozumiejąc dobrze, jaką siłę daje bogactwo.

Z taką wystawnością przyjmowano tu Witolda, tak dawniej ugaszczano Kaźmirza polskiego i wielu innych. Wydatki były ogromne, lecz opłacały się sławą i rozgłosem, jakie zakon zdobywał. Tak możnemu stowarzyszeniu rycerskiemu lada lichiej ofiary też uczynić nie było można; gdy się chciało wywdzieńczyć, musiano sypać złotem i szafować ziemią.

Uczty częstokroć przez długi przeciąg czasu przed wyprawami, w ciągu ich, po szczęśliwym powrocie przedłużały się, przenosząc z obozami z jednego miejsca na drugie.

Bobrek pozostał w Malborku, oczekując tu na Semka przybycie. Posłannictwo jego było skończone; o danem mu przez Domarata wcale nie myślał. Napomknął on o nim panom swoim, ale ci wprost mięszać się do spraw wielkopolskich nie chcieli, obiecując tylko, iż Brandeburczykom i Sasom oznajmia, ażeby z okoliczności pomyślnych korzystali.

Czuł się więc jakby od zobowiązania względem Domarata wolnym.

W czasie pobytu Semka i kanclerza nie chciał się pokazywać klecha, ażeby nie obudzić jakich podejrzeń i nie zamknąć sobie w przyszłości drogi na Mazowsze.

Jako braciszek przybrany zakonu, jawnie występować nie chciał, a jako biedny klecha nie śmiał się pokazać, aby go to na śmiech gawiedzi nie narażiło.

Wszelkie duchowieństwo tak świeckie jak zakonne, i wszystko co doń należało, nie miało łaski u rycerzy miecza.

Z klechami obchodzono się z pogardą, lekceważeniem, dumą ich upokarzającą. Nigdzie kapłani ostrzejszego i bezmyślniejszego nie doznawali w obejściu się uścisku, jak pod panowaniem zakonu. Ówczesny marszałek Konrad Wallenrod słynął z tej nienawiści dla duchowieństwa, które srodze prześladował.

Łatwo to wytłumaczyć, zważywszy, że stan duchowny był potęgą, która na ziemi do Krzyżaków należącej mogła ich znacznie osłabić, a w przyszłości stać się dla zakonu niebezpieczną, czyniąc od niego niezależną.

Pilnowano też, ażeby proboszczowie przy kościołach, kapelani przy wojsku, klasztory po miastach w srogiej karności i podległości trzymane były.

Takiego klechy jakim w Płocku Bobrek bywał, w Malborguby nie ścierpiano na zamku bezkarnie. Musiał więc klecha na czas pobytu Semka zniknąć, skryć się, odkładając upomnienie się o nagrodę wysłużoną do innego miejsca i czasu.

VIII.

Czynnym był zakon w tym czasie, sam jeden stosunkowo do krajów sąsiednich, używając największego bezpieczeństwa i spokoju, gdy naokoło niego wszędzie wrzały walki pomiędzy narodami, a bardziej między chciwemi władzy książęty.

Z jedną tylko Litwą, która dlań była polem zdobyczy, wycieczek, łowów na ludzi, Krzyżacy toczyli wojnę, ale i z tej strony słyhać już było o jakich śrokowanych tajemnych i zawieszeniu broni.

Mieli narzędzie potężne w rękę, Witolda, a ten starczył sam za największe wojsko. Cenili też wysoko tę zdobycz i nie myśleli jej z rąk puścić.

Mówiono już o tem głucho, że go nawet ochrzcili, do czego, jak się zdaje, ani on, ani oni wielkiej nie przywiązywali wagi, bo obrzęd ten odbył się w cizy, w zakęcie, bez żadnej uroczystości i wystawy.

Nie ludzili się tem nawróceniem, wiedzieli, że syn Kiejstuta przeszedł do nich i ich wiary, aby walczyć z Jagiełłą, chwycił się zakonu jako siły, a nie z miłości ku niemu. Wiedzieli o tem dobrze, a szło im o to, aby go sobie pozyskać. Badali więc słabości człowieka, rachując na nie tylko.

Tymczasem w ciągu swojego pobytu na ziemiach zakonu, człowiek ten zagadkowy, niezrozumiały, niepochwycony—ująć się im całkowicie tak jak pragnęli nie dawał.

Nie mówił z niemi tylko o swoich wyprawach na Litwę, o wycieczkach do Żmudzi, którą chciał pozyskać sobie, o wyzwoleniu rodziny, o dokuczeniu Jagielle, zdobywaniu Wilna, lub Krewa, jak najmniej o stosunku do Zakonu.

Myśli jego latały gdzieś daleko, wszystko co ota-

czało, zdawało się dla niego obojętnem. Niecierpliwy, roztargniony, zadumany, niezdawał się cenić tej wystawy i przepychu, z jakim go przyjmowano. Nie przywiązywał wagi do oznak uszanowania, chodził wśród nich jak niewolnik na uwięzi, któremu pilno było potargać kępujące go kajdany.

Naprzemianny mieniali się około niego, sam mistrz, głęboki a spokojny znawca ludzi; popędliwy, dumny, i źle ukrywający swą wzgardę dla barbarzyńcy Wal-lenrod, i inni dostojnicy zakonu. Przed żadnym z nich nie otworzył swej duszy, żadnemu w głęb' jej zajęcie nie dawał.

Starano mu się przypodobać, dogadzać zachciankom, ale pochwycić go nikt nie mógł na słabości żadnej, któraby nad nim zapanować dozwalała. Nie przywiązywał najmniejszej wagi do wygod życia, do stołu i napoju, któremi się rozkoszowali starzy rycerze. Nie zabawiał się ich pieśniami, ani blaznowaniem, nawet ofiary pieniężne, jeśli mu nie służyły do zaciągów na wojnę, były dlań obojętne.

Zmuszał się czasem wśród Niemców do jakiegś wesoleści nieszczerej, powierzchownej, ale twarz zadumana, zdradzała w nim myśli skryte.

Miłośnik łowów zapalony, jak wszyscy litewscy i w ogóle wszyscy ówczesni książęta i panowie, dawał się wyciągać na nie, zajmował nimi gorąco przez chwilę, ścigał oczyma doskonale sokoły, któremi go obdarzano, ale nazajutrz o nich tak dobrze zapominał, jakby nie miał ich nigdy.

Wśród łowów pędził za zwierzem zajadle namiętnie, ale gorączka ta ustawała, gdy się skończyły i książę znowu czoło namarszczone, chmurne uchylał pod brzemieniem myśli.

Czelner po dłuższem z nim obcowaniu przyszedł do tego przekonania, iż tylko nienasyconą jego karmiąc ambicję, wskazując mu zdobycze wielkie, potęgę, mógłby go sobie pozyskać.

Powtarzał mu więc i zaręczał, że jest w interesie

zakonu wszelkich dołożyć usiłności, aby Jagiellę i licznych braci jego usunąć z Litwy, a jemu nad nią całą oddać panowanie.

Lecz zapewnienie to wielkiego mistrza przyjmował Witold obojętnie, jak iune obietnice, przeczuwając może, iż w ten sposób dojść do władzy nie będzie mógł.

Starsi zakonnicy nie byli temu gościowi zbyt radzi, czuli w nim obcego, nieprzyjaciela, którego przyswoić sobie i zupełnie rozbroić nie było podobna. Inni, mniej głęboko widzący, byli tego zdania, że zwolna a łagodnie postępując, dziką tę naturę okiełznać potrafią.

W Małborgu prześcigano się, wysadzano na przyjmowanie księcia Witolda; pochlebcy zawczasu tytułowali go królem Litewskim.

Dnia tego gdy Semko miał z Torunia nadjechać dla układów, chociaż się one na osobności odbywać miały, uznał mistrz słusznem nie tać bytności Mazura przed Witoldem.

Stał on na zamku, niepodal od Czolnera, u którego w godzinach pewnych się schodzili. Mistrz postrzegł to, co przypisywał naturze, załedwie z barbarzyństwa wychodzącego człowieka, że Witold w murach i zamknięciu siedzieć nie lubił, męczył się.

Ciepła izba, komin, miękkie siedzenie, przykrzyły mu się. Potrzeba było dlań wymyślać coraz nowe łowy lub jakieś konne wycieczki.

On i jego żmudzini woleli wśród podwórców koczować na mrozie i zawiei śnieżnej, niż zaryglować się w wygodnych komnatach.

Wchodząc do izby, którą syn Kiejstuta wielkimi krokami przebiegał, z podniesioną głową i rozrzuceniami na ramionach włosami, Czolner postrzegł ten wyraz niecierpliwego znużenia, który Witolda nie opuszczał prawie.

Rzucał się jak zwierzę w klatkę.

— Jeżeli książę zechceś dziś kazać sobie komu

towarzyszyć w lasy, na łowy, psy są gotowe, konie na posługi i moja czeladź myśliwska — odezwał się Czolner — ale ja, z wielkim żalem moim nie będę mógł księciu towarzyszyć, mam pilną sprawę.

Witold stanął, patrząc mu w oczy.

— Książę Mazowicki Semko, będzie tu dziś — mówił dalej Mistrz — ale o nim nikt wiedzieć niema. Zdaje się, że żąda od zakonu pożyczki, której my zapewne mu nie odmówimy.

— Semko? ma tu być?? — marszcząc się odparł głosem stłumionym Witold. — Wiecie to zapewne, że brat jego jest szwagrem moim, poślubił Dawnutę siostrę moją, ale ja z obu niemi teraz źle jestem. Janusz dobry tylko sobie.

Dziś jednak, gdy Semko się zadarł z Jagiellą tak jak i ja, a tamten się na niego odgraża i w wojnie są z sobą, lub będą, Semko mi przestaje być wrogiem... Zresztą dzieciak to jest? Ale, cóż ten Semko?

— Ciągną go Wielkopoleanie na tron polski — mówił Czolner — któż wie? okoliczności dziś dla niego przyjazne.

Witold stojąc słuchał i wpadł nagle w tak głęboką zadumę, że mistrz zdziwiony nią, mówić przestał.

Milczeli chwilę, Witold się potem jak ze snu przebudził.

— Radbym — rzekł nagle — radbym przez tego Semka, o siostrze mojej mieć jakąś wiadomość. Biednej Dawnuce niebardzo tam dobrze być musi.

Jeżeli wy nie przeciwko temu nie macie, a Semko też się zgodzi na to, mógłbym widzieć się z nim. Będzie czy nie będzie królem polskim, zawsze Mazur Litwę obchodzi.

Żądanie to nie wydało się dziwnem Czolnerowi, nie sądził, ażeby zetknięcie się dwóch książąt, niebezpiecznem dla zakonu być miało.

— Uczyniłoby to księciu przyjemność? — zapytał mistrz.

— Zaprawdę! tak jest! — rzekł Witold ożywiając się — wierzajcie mi, kocham siostrę i los mnie jej obchodzi. Z Mazowieckimi jesteśmy dawno w powinowactwie, a Semka nieznam prawie. Dziś to już dojrzały młodzieniec być musi. Wie pewnie coś o Januszu, powie mi o Dawnucie.

To mówiąc zadumał się Witold, z ukosa spojrzął na Czolnera, i jakby się uląkł być posądzonym, gdyby nazbyt nalegał, zamilkł chwilę znowu.

— Ale bądźcie szczerzy — dodał obojętniejąc — jeżeli to Semkowi nie na rękę, albo wam, a on tu krótkim gościem i wiele jest do mówienia, nie nalegam... Usunę się.

— Co do mnie — rzekł śpiesznie wielki mistrz z uśmiechem uprzejmym—widzicie miłość wasza, żem pierwszy o tem uprzedził. Przeciwno rozmowie nie mam nic, za Semka, który chce by o nim nie wiedziano ręczyć nie mogę.

Witold ramionami poruszył.

— Jeżeli Semko nie zechce, napraszać mu się nie myślę—zawolał dumnie.

— Na łowy pojeździsz książę?—pytał Czolner.

— Chętnie! chętnie! — pośpieszył z odpowiedzią Witold.—Bycie w pole a na wiatr, tom rad, bo w murach siedzieć męką dla mnie.

I o Semku już mowy nie było.

Zaledwie się wielki mistrz oddalił, gdy stary zakonny rycerz, słynący z tego, że miał prawdziwą do łowów namiętność, Kurt von Rosen, wszedł do komnaty książęcej.

Był to posiwiasty w bojach i na myśliwskich wyprawach, jeden z tych ludzi, których namiętność w rodzaj monomanii przechodzi. Lubił ci on i wojnę, ale ta mu najmilszą była, gdy do łowów jak największe podobieństwo miała.

Człowiek ten gdy nie polował, przygotowywał się

się do łowów, śpiąc marzył o nich, a onieczem innem do rzeczy mówić nie umiał, krom o myślistwie. Sławnym też był w zakonie z tych opowiadań tak często nieprawdopodobnych, że przy stole wszyscy towarzysze jego głośnie mi wybuchali śmiechami, gdy się za daleko zapędził... Naówczas Kurt wpadał w gniewy, zaklinał się, przysięgał, a na potwierdzenie jednej baśni drugą wymyślał.

Ale w samej istocie był to wielki łowiec przed panem, którego w zakonie szydersko bratem Nemrodem przezywano; człowiek takiego oka i uszu, takiej w polu umiejętności, iż sam widok lasu, ziemi, samo powonienie powietrza, dozwalało mu wyrokować na pewno, jak się którego dnia powodzić miało.

Stary, pokaleczony, pokiereszowany, okryty bliznami von Rosen, był siły wielkiej i niemniejszej zręczności. Z łuku i kuszy strzelał o zakłady, oszczepem ciskał do celu nie chybiając nigdy, a konia dośladłszy, najdziksze mu panował.

Lecz czasu łowów już doń ani mówić, ani go wstrzymać, ani pokierować nim nikt nie mógł. Wpadał w rodzaj zapamiętałej wściekłości, która go ślepym i głuchym czyniła.

Jak inni krzyżacy zasłużeni zakonowi, mógł on być przy swem męstwie i doświadczeniu dojść już do wyższych urzędów w zakonie, do jakiej komandoryi lub dowództwa, ale się od wszystkiego wypraszał, o bogactwa żadne i wygody nie dbał, byle namiętności swej mógł dogodzić.

Śmiejąc się mówiono o nim, że gdyby zwierza zabrakło, na szczury w lochach pod zamkiem gotówby polować.

Kurt von Rosen był też w Malborgu zwierzchnim wszelkich łowów nadzorcą i dowódcą. On je dla obcych gości urządzał, prowadził, pod jego rozkazami byli sokolnicy, psiarze i stajnie łowieckie.

Skłoniwszy się księciu, stary Kurt spytał go, czy w istocie chciał się dnia tego wybierać na łowy.

— Śniegu dużo napadało—rzekł—kopno dla zwierza, ale dla psów i koni nie lepiej. Śnieg sący z wiatrem pozawiewał tropy. Zły dzień miły książę.

Witold słuchał obojętnie.

— Macie czym zwierza szczuć?—zapytał.

Kurt się obraził tem powątpiewaniem.

— Zaprawdę—odparł z dumą—żadnego rodzaju psów u nas nie brakuje. Mamy i do ścigania najlepsze.

— Zatem — rzekł książę po krótkim namyśle — łowy nie łowy, zrobimy sobie ze psy wycieczkę, aby się w murach nie wędzić. Zdarzy się co szczuć, probujemy.

Człowiek w polu i na koniu dopiero się czuje wolnym, a w domu, choćby i pałacu, więźniem.

Stary Rosen rozśmiał się bezzębnymi szczękami.

— Za dwa pacierze — rzekł zwracając się ku drzwiom—wszystko będzie w pogotowiu. Gdy książę znijsz raczysz, znajdziesz mnie ze psy w podwórzu.

Witold wielkich przygotowań nie potrzebował: na kaftan szubę wdziąć, kołpak na głowę, przypasać miecz i mieczyk, róg zarzucić na ramię. Oszepey wiozła czelaź i podawała, gdy było potrzeba.

Gdy zszedł książę, w podwórzu nań nie tylko Rosen czekał, ale i pacholę z kubkami i winem strzeżniem.

Książę ledwie w nie usta umoczył, gdy Kurt nawykły do napoju, wychylił becherków parę i orzeźwiony niemi dosiadł krępego konika, do którego był nawykły.

Z zamku i miasta wyjechawszy w pole, przekonali się dopiero, iż stary łowiec miał słusność, bo dnia tego, dla zasp śniegu suchego psy i ludzie niewiele dokazać mogli. Wiatr smagał ostry, kiedy niekiedy jeszcze unosząc, z zasp gromadzonych nocą chmury śniegu miłego i zamiatając niemi w powietrzu.

Pomimo to Witold wolniej oddychał, a twarz mu się zaraz wypogodziła.

On, łowczy Rosen, czy przypadek tak zrządził, iż się skierowali naprzód drogą w stronę ku Toruniowi?? któż to wie.

Rosenowi dnia tego kierunek był obojętny, bo się wcale zwierza nie spodziewał, a łichy zając lub łada-jaki lis wypłoszony przypadkiem, u niego w rachunek nie wchodził.

Wilcy, był to ich czas, gromadami się włóczyli, lecz opodał od wielkich osad. Jechali też myśliwi rozglądając się napróżno, a psy puszczone wolno, nie miały ochoty tropić, bo węchu nie czuły w sobie... Wiatr im przynosił jak piasek suche szczątki nocnej burzy.

Już się za miasto dobry kawał odbili, gdy na gościńcu w dali, na białem tle śniegów ukazała się zdążająca ku miastu, spora jezdnych gromadka.

Zobaczywszy ją Witold zaciął usta i żywiej konia naprzeciw popędził.

Kurt też dojrzał jedźców. W pośród nich para płaszczów białych znamionowała, że to byli swoi, i nie prosta czeladź a knechty, ale rycerstwo.

Każdego dnia tyle komturów i braci przyjeżdżało do Małborka po rozkazy lub z doniesieniami, iż w tem nie nie upatrzone nadzwyczajnego.

Witold może dorozumiewał się Semka i odgadł go. On to był w istocie, w towarzystwie tych, co naprzeciw niego do Torunia zostali wysłani.

Nie spodziewał się spotkania tego Rosen, bo może nawet o mazowieckim księciu nie wiedział, nie mówił więc nic. Tak, dwa przeciwko sobie idące orszaki zbliżyły się. Bystre oko Witolda już wśród Krzyżaków i dworu dostrzegło i poznało Semka, który, choćby się był chciał skryć za drugimi, nie mógł.

Witold zatrzymał nagle konia.

— Semko!—zawolał.—Cóż to? nie poznajesz ty mnie, czy znać nie chcesz?

Krzyżacy prowadzący księcia mazowieckiego, zatrzymali się poglądając po sobie i radząc co czynić mieli. Semko rad nie rad wystąpił nieco naprzód i pozdrowił Witolda.

— Toś mi już urósł do zbroi!—odezwał się książę. — Rad cię widzę. Nie będę się dziwował, że ty tu jesteś, bo jeszcze dziwniejsza rzecz, że mnie widzicie w Malborgu!! Zdrów Janusz i siostra moja?

Nim Semko miał czas odpowiedzieć, Witold konia swojego zawrócił i odezwał się do Rosena.

— Łowów pono dziś niema się co spodziewać. Mielście słuszność! Wracajmy razem.

Ustąpili nieco Krzyżacy. Kanclerz, który jechał przy księciu dotąd, cofnął się także i dwaj książęta pozostali obok siebie na przedzie. Semko zmieszany, ledwie się na słów parę mógł zebrać.

Ciężko rozpoczynała się rozmowa, gdyż mazowieckie książę niebardzo jej rade było. Witold zagaił ją gwałtownem na Jagiełłę wyrzekaniem.

— Za to się nam wywdzięczył—wołał—że myśmy go w ręku mając, życie wziąć mogąc za zdradę, puścili wiarołomcę wolno. Ojciec mój życiem miękkie swe serce przypłacił, ja zostałem na pomszczenie go, i poprzysiągłem, że zemstę mieć będę.

Widzicie, zszedłem na tularza, co się po cudzych zamkach chronić musi i łaski prosić u obcych.

Witold mówił to tak głośno, jak gdyby chciał ażeby rycerstwo krzyżackie jadące za nim, wysłuchało żalów tych i pogrózek. Zdawało się, że więcej to wywołuje dla nich, niż dla Semka.

Szepty byłyby może w podejrzliwych obudziły ciekawość i nieufność, wykrzykiwanie to było obojętnem. Nie słuchali go nawet.

Rosen tymczasem połączywszy się ze swojemi znajomymi, począł ich już powieściami myśliwskimi za-

bawiać. A że się naśmiewać z niego byli nawykli, słuchali drażniąc się ze starym.

I stało się, co przewidzieć było można, że Witold ciągnąc z sobą Semka, dobrze się z nim naprzód odśadził, a choć się nie oglądał za siebie, czuł i wiedział, że Krzyżacy w tyle pozostali.

Wiatr odnosił głos, tak że jadący w pewnym oddaleniu, nie łatwo go pochwycić mogli.

Korzystając z tego, gdy już niebardzo daleko byli od miasta, Witold odezwał się zniżonym głosem.

— Patrz, Semko, abyś się ze mną wiódł i mówił na osobności. Jest tego potrzeba wielka. Tu tylko ci to powiedzieć mogę, że dla mojego i twojego dobra starać się o to powinienes, ale podejrzenia nie obudzając!

Ponieważ tentent koni krzyżackich znowu bliżej się dał słyszeć, brzęk łańcuszków i oręza ich; Witold natychmiast głośno począł dopytywać o Janusza i siostrę Dawnutę.

Wyśmiewał miłość pokoju jego i wieśniacze życie.

Semko na wezwanie, które nysłyszał i zrozumiał, odpowiedział kilku słowy niewyraźnemi, a Witold zaraz, dla niepoznaki, towarzysza swojego Kurta przywołał i o łowy jakieś rozpytywać począł.

Zajechali tak aż pod zamek, do którego gdy już wciągać mieli, Witold się zatrzymał i poprosił, ażeby go Kurt do płatnerza prowadził, gdyż umówić się potrzebował o naprawę swoich zbroi.

Semko więc osobno, z orszakim swym na zamek wjechał, a że z góry widziano już przybywających, znalazł gotowych na powitanie.

Prowadzono go do mistrza, który na progu swoich izb oczekiwał.

Powitanie wielce uprzejme było, na które wszystkim tem, co go tu spotykało, trochę zmieszany, młody książę odpowiedział, mierząc słowa z wyraźną obawą. Zastępował go i wyreczał jak mógł, przytomny kanclerz.

Nim o sprawach jakich zagajono rozmowę, na-przód gości do zastawionego już stołu poprowadził mistrz, starając się tem weselszym okazać, im Semko był trwożliwszym.

Nawet po nowym zamku Płockim, który Kaźmirz zmurował swym obyczajem, wykwiłtnie dosyć i ozdobnie, po dostatkach, do których Semko był nawykły, Malborg ogromem swym, wspaniałością, wewnętrznym przepychem przygniatał mazowieckiego księcia.

Królewskiemu też zamkowi na Wawelu trudno się było mierzyć z tym stołecznym grodem potężnego zakonu. Mistrz, mimo wielkiej uprzejmości swej, monarchiczną niemal nadawał sobie powagę.

Liczna służba w kosztownych szatach, w łańcuchach, naczynia wytworne, pozłociste, przepych we wszystkim, umyślnie uwydatniony, musiał na księciu upokarzające, przykre czynić wrażenie. Miał on tutaj, wydawał się słabym i nienawiść dla niemców budziła się mimowolnie.

Nierychło po zdjęciu obrusów, po wypiciu ostatnich kubków, od których wymawiał się książę, przystąpili do rozmowy o sprawie, jaka go tu sprowadzała.

Kanclerz zabrał głos z rozkazu Semka. Mistrz obrócił się ku niemu. Od pierwszych wyrazów przewidzieć było można, iż Krzyżak z położenia sąsiada, z jego słabości będzie korzystać. Otwarcie wyznał, stanowczo bardzo, iż pieniędzy dać inaczej nie może, tylko w zastaw na ziemię.

Semko niewielą słowy do rozpraw się wtrącał, do których wkrótce wezwany, przyłączył się prokurator i podskarbi zakonu. Czolner zostawując im roztrząsanie warunków, odciągnął księcia na stronę, zabawiając lekką pogadanką o sokołach i łowiectwie. Czasu dosyć zeszło, nim kanclerz umówił się o wysokość i warunki pożyczki. Zakon dać chciał jak najmniej, a wziąć jak najwięcej. O każdą piędź ziemi i kopę groszy, potrzeba było upartą sta-

czać walkę, nim do pisania i pieczętowania przyszło.

Semko wszystko zdał na kanclerza. Sam Czolner potem zagail o Witoldzie, wynosząc wielkie jego przymioty rycerskie, mężstwo ducha niezłomnego, a użalając się nad losem niezasłużonym, jaki go spotkał od niepocziwego okrutnego Jagielly.

Mistrz nie wahał się śmierci Kiejstuta kłaść na karb synowca, wiedział nawet najdowodniej i wymieniał oprawców imiona. Oburzało go to morderstwo do niebios o pomstę wołające.

Wróżył też zgubę Jagielle i braci jego, a w zapale zaręczał, że zakon wyniesie na tron Litwy sprzymierzeńca swojego Witolda, w Rzymie mu wyjednawszy koronę.

Semko skorzystał z tego zwrotu rozmowy i opowiedział naiwnie, że na drodze właśnie spotkał się z Witoldem, co go wielce zdumiało. Ponieważ przez Janusza związki krwi i powinowactwo ich łączyło, prosił, aby mu się z nim widzieć było wolno.

Mistrz obiecywał, iż razem wieczerzać będą.

Nalegać więcej nie mógł Semko, zostawując losowi ułatwienie zbliżenia się na osobności, o które i Witold sam starać się był powinien, gdy go potrzebował.

Zeszła potem znaczna część dnia na pisaniu aktu, który Krzyżakom dawał zastawą Wiznę. Każdy punkt musiano roztrząsać bacznie.

Kanclerz ani się spostrzegał, jak mu wyrazy dwuznaczne i wątpliwe narzucano, od których potem bronić się musiał, a gdy naostatek umowa spisana została, wyszedł biedny jak z łaźni, nie pewien jeszcze, czy jakiego podstępного wyrażenia nie prześlepił.

Szło potem to pisanie kancelerskie z rąk do rąk, odczytywano pociechu, pod sąd starszyszy, kreślono i dodawano do niego, aż pod noc dopiero skryptor wziął je do wykaligrafowania na pergaminie. Że zaś

innego zdolnego pisarka pod ręką nie było, powierzono dokument Bobrkowi.

Obawiał się on, aby go pismo nie zdradziło, lecz ufał w to, że kanclerz ręki jego nie pozna.

Dano tymczasem wieczerzę, na którą mistrz z większym jeszcze wystąpił przepychem, braci co przedniejszych wezwawszy do stołu, ażeby gości zabawiali.

Wszedł i zaproszony Witold, dosyć wesołą twarzą witając Semka, którego obok niego posadzono.

Na niczem uczcie nie zbywało, prawdziwie królewskiej, oprócz tego, że przy niej niewiast nie było.

Pod koniec jej znaleźli się nawet lutniści, śpiewacy i trefnisie przy stołach, niemey wszyscy więc dla gości mniej zrozumieli.

Rycerstwo dobrze podochociło sobie, przepijając do książąt, lecz Witold prawie nie pił, a Semko ostrożnym był z obawy, aby mu się głowa nie zawróciła..

Po raz pierwszy tego wieczora Czolner zobaczył litewskiego księcia swobodniejszej myśli, mniej zachmurzonego czoła. Nie umiał odgadnąć przyczyny, choć rad był ją wiedzieć, a skłonny już zdawał się tłumaczyć to sobie tem, że Witold cieszył się wiadomością o siostrze, i rozerwał Semka przybyciem.

Dano im wśród ogólnego gwaru mówić z sobą ile chcieli, lecz ostrożny Kiejstutów syn, nie rzekł słowa, z któremby się ukrywać potrzebował.

Zawiązał z Semkiem rzecz o koniach i orężu bardzo żywą, od stołu wstał nieznacznie i nie zważając na lutnistów, którzy jakąś pieśń miłosną zawodzili, Semka z sobą na przechadzkę wyzwał, po wielkiej sali, której znaczna część była pustą.

Mało już musiał mieć nadziei widzenia się z nim na osobności, a może podejrzeń lękał, i nie czekając już, z twarzą pogodną, nie nie dając znać po sobie, odezwał się.

— Rycerskie słowo mi daj, poprzysiąż, że nie zdradzisz!

Zdziwiony i zatrwożony Semko, nierychło się zebrał na odpowiedź.

— Chętnie przysięgnę, choć przysięgi nie potrzeba na to, że ja przeciw was zdrady knuć nie mogę. Wojować z wami nie uląkłbym się, ale dołów kopać nie umiem.

— Ani też to wiekowi twemu przystało — odparł Witold chodząc ciągle i oczyma wodząc w koło, ażeby się nie dać podsłuchać.

Jagiello ma cię za nieprzyjaciela, dziś, gdy ty myślisz lub dla ciebie myślą o polskiej koronie, lepiej ci go zjednać sobie i żyć z nim w pokoju. Chcesz pozyskać Jagiellę, dam ci łatwy sposób do tego...

— Wy? wy, coście w śmiertelnej walce? — przerwał Semko — nie rozumiem was!

— Rychło zrozumiesz, byleś posłuchał bacznie — odezwał się ciągle oglądając Witold.

Sala brzmiała śpiewami i rozmową, lśniła złociestemi sprzętami, dyszała weselem.

— Myślisz — ciągnął dalej — że ja wśród tego krzyżackiego plugawstwa, wśród tej wrażej drużyny zbójów, na których widok krew kipi we mnie, potrafię wytrzymać długo?... Przygnała mnie tu zemsta, a wygna ztąd nienawiść dla tych ludzi...

Wolę zgodę z Jagiellą, jak drużbę z tymi wrogami naszymi. Skóry litewskiej zwlec z siebie nie mogę, ani krwi litewskiej z żył wytoczyć... Wrogi to są moje, twoje — wszystkich nas... Bogactwa ich to nasz pot i mienie na nas złupione...

Przerwał nieco i po chwili, uspakajając się, mówił dalej.

— Jagiello nie jest winien śmierci ojca mego. Inni tam sprawcy byli, co za Wojdyllę się mścili. Ja wiem o tem... Chcę się z nim jednać, a z tych kajdan wyrwać...

Semko stanął, nie dowierzając zdziwiony.

— Klnę ci się na litewską krew moją, na pamięć świętą mi ojca! — rzekł Witold z siłą wielką. —

Słuchaj mnie do końca... Nikomu tego poselstwa zgody powierzyć nie mogę, aby nie zdradzono. Przyplaciłbym głowę — posyłać nie śmiem... Jedź ty do Jagielly, będziesz mu pożądanym, pokój mu przyniesiesz, nie posadzą cię, bo sam potrzebujesz z nim się pojednać. Niech się przejedna ze mną, spadniemy potem jak piorun na łby tych zbójów.

Oczy mu zapalały.

— Jedź z tem odemnie do Jagielly, powiedz mu, niech mi odda ojcowiznę, pojednamy się — inaczej Litwa pod ich mieczem zginie. Obu nas czeka niewola, poddaństwo, zguba śmierć.

Witold mówił szybko, porywczo i chwycił rękę Semka, którą ścisnął w żelaznej swej dłoni.

— Jedź tajemnym wysłańcem odemnie — dodał — uczyni to dla nas. W Polsce za ciebie inni wojować będą, a tam nikt cię nie zastąpi. Nie zwierzaj tego nikomu, nie posyłaj za siebie nikogo, sam, sam jedź.

Mów — zgoda-li?... nie??...

Semko pomyślał trochę — nie był pewien, jak postąpić, uszom własnym nie wierzył, a i trwoga jakaś go ogarniała.

— Rozważyliście to wy dobrze? — zapytał po namyśle. — A jeżeli Jagiełło rozjątrzony zgodę odrzuci i sam o tem Krzyżakom doniesie?...

— Nie uczyni tego! — odparł Witold — mam dowody, iż chce pojednania... Zgoda ta jemu równie jak mnie potrzebna... My tylko we dwu możemy zbójcecki zakon pokonać.

Gdy to mówił Witold, słowom jego towarzysząc brzmiała miłosna pieśń niemiecka, której przyklaskiwali siedzący za stołem. Stukano kubkami, brząkano dzbanami w takt muzyce i rozmowa toczyć się mogła bez obawy podsłuchania. Semko trwożliwie rzucił oczyma do koła, a Witold też, pomimo zapалу i rozognienia, bacznie śledził Niemców ruchy.

Dla niepoznaki dwakroć z Semkiem zbliżał się do lutnistów, stał przy nich chwilę, dobył pieniędzy

i rzucił im garść ich na wyciągnięte dłonie. Zdawał się bawić pieśnią i lubować muzyką.

Młody książę potrzebował czasu, aby ochłonać z przerażenia i trwogi, jaką go żądanie Witolda napełniło.

Przychodziło ono nie w porę, właśnie gdy musiał posiłki dla Bartosza wyprawiać, aby Kalisz mógł odebrać, który słabo miał być strzeżony.

Myślał i o tem, że mu z tą podróżą, ciężko się będzie ukryć i zataić ją przed wszystkimi. Z drugiej strony pojednanie się z Jagiellą, który miał srogi żal do obu książąt Mazowieckich, teraz właśnie bardzo dla niego pożądanem było. Witoldowi odmówić posługi nie chciał.

Ale cóż, gdyby zakon, który miał wszędzie ludzi swych i donosicieli, dowiedział się o jego postępkach przeciwko sobie?

W tych myślach zatopiony Semko nie odpowiedział rychło Witoldowi, mruzczał coś niewyraźnie, zwłóczył. Czuł, że raz przyrzekłszy, związanym zostanie. Względem Krzyżaków nie miał książę żadnego skrupułu.

Z ówczesnych dziejów przekonać się łatwo, jak dochowanie komukolwiek wiary przeciw własnemu interesowi było rzadkiem, jak zdrada w chwili, gdy się stawało możliwą, była ponętą. Grzeszono z lekkomyślnością największą, z pewnością rozgrzeszenia, bo nikt nie był bez grzechu.

Jeden strach tylko mógł pohamować Semka, ale własne dobro, będące na pierwszym względzie, popychało do tego kroku. Pod pozorem potrzeby widzenia się z bratem, wycieczki do Czerska i Warszawy, zdawało się Semkowi możliwem dobiedz do Wilna.

Sprawa była największej wagi i w historii mogła mu Jagiellę pozyskać.

Witold mu się dał namyślać. Spojrzeli sobie w oczy.

— Chcesz to uczynić dla mnie? — powtórzył Witold.

— Pragnąłbym, wierzaj mi, ale myślę nad środkami. Tobie i mnie na tajemnicy zależy, nuż się to odkryje? — mówił Semko.

— Nie maszże kilku zaufanych ludzi! albo ci się to po dni kilka na łowach w lasach nie przypadło się zabawić? Trudnoż tak zbiedz do Wilna?

— Jagiełło zawierzy-li słowu? dacie mi co do niego? — zapytał Semko.

Witold pochylił się ku niemu.

— Matka Jagiełły Juljanna — rzekł — dała niegdyś mej matce pierścień. Znają go tam, bo to był stary klejnot po dziadach, oddam ci go na znak, żeś jest posłem moim.

Ale starczy słowo mazowieckiego księcia...

To mówiąc Witold rękę włożył pod suknię, na pierś, gdzie na jedwabnym sznurze klejnot ten nosił, rozerwał taśmę i przechadzając się po sali, pierścień wsunął w rękę Semkowi.

— Powiedz Jagielle — rzekł — niech na Żmudź od siebie wyprawi zaufanego człowieka, najlepiej jednego z braci, Wigunda może, ten mi pierścień odniesie i o warunki się umówi. Ojcowizny żądam tylko, sprzymierzeńcem i hetmanem mu będę, a on wie, że ręka moja na szali zawąży.

Uśmiechnął się książę głowę podnosząc.

— Spraw to poselstwo rychło — dodał — przez litość nademną. Chleb ich mnie truje, woda ich mnie dlawi, mowa dusi, panem siebie długo być nie potrafię, kłamać nie umiem. Gryzę się tem, co mówię im muszę, zabijam tem, co czynię.

Z niemi razem iść na moją Litwę? Semku ratuj! to się równa śmierci.

Gwałtowność, z jaką mówił na ostatku, dech mu zabiła, ustał nagle. W tem Czolner zbliżył się do nich.

— Rozumiecież wy tę pieśń piękną, z nad brzegów Renu tu przyniesioną, dzwieczną i śliczną jakby

ją słowiki nucily? Maż który naród pieśni takie? — zawołał mistrz wpatrując się w zmieszanych nieco książąt.

— Ja słów nie rozumiem wiele — odpowiedział Witold — a śpiew mi za miękko i pieszczono brzmi dla rycerskiego ucha.

— Właśnie dla nas takiego potrzeba — zawołał Czolner — aby znużonym bojową wrzawą smakował. Dowiedziona to rzecz, że ci co w boju najmężniej krew przelewają, najmilej potem słuchają tych pieśni, które umysły łagodzą.

— I u nas — rzekł — dziewczęta po siołach, piękne Dajnos nucą, ale mężom słuchać ich srom, aby serca nie miękły.

Semko pochwalił bardzo lutnistów, porównyując ich do tych, których słyszał we Wrocławiu i Opołu.

Mistrz zdawał się wesołym i rad gościom swoim, Witold więcej był ożywiouym niż zwykle. Na Semku tylko zaledwie dokończona z nim rozmowa, powierzony pierścień, poselstwo, na które tak niespodzianie i nagle ważyć się musiał, zrobiły wrażenie przykre, które na młodem licu malowało się zbyt dobitnie, aby niepostrzeżonem przejść mogło.

Szcęściem dla niego, tłumaczyło się to łatwo zawartą umową, na pozór dogodną, w istocie niepomysłną i upokarzającą.

Miał wprowadzić zastrzeżone prawo wykupu Wizny, ale ziemie, które się raz jakimkolwiek sposobem w ręce Krzyżaków dostały, nigdy prawie nie powracały do pierwszych swych panów.

Zakon miał zawsze tysiące wykrętnych środków do zatrzymania ich.

Smutek i pomieszanie na twarzy młodego księcia mazowieckiego, dla mistrza miały znaczenie złego targu, z którego on natomiast rad był bardzo.

Witold, umyślnie może, tego wieczora udawał swobodę i spokój o przyszłość.

Czolner pozostał przy nich obu dłużej nieco, tak że zdawać się mogło, iż chciał ich zbadać, ale obejście się było uprzejme i nie nie objawiało podejrzenia z jego strony.

Ponieważ odczytanie i przypieczętowanie dokumentu potrzebowało czasu, a zwykło się było odbywać z pewną uroczystością, przy świadkach, musiano je do następnego rana odłożyć.

Semko na zamku nocował. Dano mu wraz z kanclerzem izby, oddalone od tych, które Witold zajmował, tak, że widzenie się potajemne na osobności, dnia tego do skutku przyjść nie mogło.

Z rozkazu mistrza, wielki szpitalnik zakonu sam gości odprowadził do komnat im przeznaczonych, u których znaleźli łóża usłane, ognie rozpalone, a w głowach wedle zwyczaju, przygotowany napój do poduszki, (Schlaftrunk), bez którego nikt spać nie szedł.

Wszystko co do użycia księciu przeznaczonem było, tak wspaniale dobrano, tak pańsko, iż w tem więcej widać było chęć popisu, niż staranie o jego wygodę.

Semko sam na sam, pozostawszy z kanclerzem, musiał naprzód wysłuchać jego tłumaczeń i narzekania, gdyż biedny ksiądz oburzony był sposobem, jakim się obeszli z nim przy traktowaniu sprawy Krzyżacy i lży miał na oczach prawie.

Książę zaś dość obojętnie słuchał tego, bo umowa o pieniądze, mniej go w tej chwili obchodziła, niż postannictwo, którego podjąć się musiał.

Widział on zupełne niepodobieństwo spełnienia Witoldowego zlecenia i puszczenia się w podróż bez pomocy czyjejs, a nie wiedział komu się zwierzyć i wezwie do tej trudnej sprawy. Przebiegał myślą wszystkich swoich urzędników, dwór, sługi, nie mogąc pośród nich znaleźć komuby się całkiem zaufać godziło, rachując na dochowanie tajemnicy.

Nie nawykł był też sam do ukrywania czegokol-

wiek w sobie, a zwierzenie się Witolda ciążyło mu jak nieznośne brzemie.

Kancelarz odmówiwszy wieczorną modlitwę, którą za nim roztargniony Semko powtórzył, a przypisując smutek pański upokarzającemu aktowi, który naza-jutrz miał być zapieczętowany, począł się tłumaczyć, uniewinniać i wzywać pomocy Boga do uwolnienia ze szpon drapieżnego sąsiada.

Noc przeszła w śnie przerywanym i niespokojnym, książę zerwał się rano w nadziei, że może jeszcze z Witoldem na osobności będzie się mógł zobaczyć.

Przy czytaniu i pieczętowaniu nie było litewskiego księcia, który pokazał się dopiero u rannego stołu, a tu tak się składało dziwnie, że ani na chwilę nie dano się im zbliżyć do siebie.

Jednego lub drugiego, a szczególnie litewskiego księcia, ciągle ktoś pilnował i znajdował się u jego boku. Zręcznie mieniali się, ale go nie odstępowali krzyżacy.

Witold nie zdawał się zważać na to, i był dnia tego pogodniejszym jeszcze niż wczoraj, gdy Semko onieśmielony, przygnębiony, niespokojnie rzucający oczyma, niczem się rozerwać nie dawał.

Ze zbliżającą się chwilą odjazdu, która nagliła, nadskakiwania około Mazowieckiego księcia podwoiły się, jakby koniecznie usiłowano go rozweselić.

Sam Czołner wziął Semka z sali do izby osobnej, pod pozorem, iż żądał, aby przy wypłacie pieniędzy kancelarzowi, był przytomnym. Witold pozostał z wielkim marszałkiem i starym Rosenem.

Pieniądze liczone i ważono, gdy Czołner w kącie izby począł z księciem rozmowę, nadając jej cechę poufale i życzliwą.

— Pragnęlibyśmy bardzo — rzekł — aby się księciu powiodło starannie o koronę, a mamy nadzieję, w takim razie, że będziemy dobrimi sąsiadami i przyjaciółmi. Spory nasze wszelkie o granice i posiadłości zakończym zgodnie i z korzyścią dla stron obu.

Weź książę za przykład we wszystkim dostojnego wuja swojego księcia Władysława Ruskiego (Opolskiego), pana, który rozumem, obyczajami, zacnością swą, pierwszym dziś jest między polskimi książętami. Rycerz to, który godzien, aby się zwać niemieckim i stanąć obok najznakomitszych. My go szanujemy i kochamy.

Tu Czolner zamilkszy na chwilę, mówił po małym namyśle.

— Nie ujmuję bynajmniej księciu Witoldowi, mężstwu jego i szlachetnym duszy przymiotom, ale charakter ma niespokojny, niestety! Dziś widzicie go z zakonem naszym w najlepszej przyjaźni, my jednak mało nań rachujemy. Musimy pilno nań patrzeć, bo nigdy pewni być nie możemy, że lada jaka przejeżdżania się nadzieja, nie oderwie go od nas, a nie zapędzi na Litwę.

Mówiąc to Czolner tak bystro patrzył w oczy Semkowi, iż ten zmieszany, mimowolnie na twarz mu wytryskujące poczuwszy rumieńce, musiał odpowiedzieć żywo.

— Nie sądzicie go tak surowo. Z tego co mi mówił, widzę, że wdzięczen jest zakonowi.

— O tem ja na dziś, nie wątpię — odparł Czolner — tylko za jutro nie ręczę. Książę namiętnym jest, uczuciu nad sobą panować daje. Jeżeli wytrwa z nami w przymierzu, myśmy pewni, że mu tron Litwy zdobędziemy. Jagiełło niema jego bystrości umysłu, i nie jest stworzonym, do utrzymania się w tych ciężkich czasach.

Sam on to czuje, gdy śle do nas posły, żąda zgody i do ofiar jest gotów.

Semko nie wiele już mówić chciał o sprawach obcych, obawiając się zdradzić bezwiednie, bo czuł jak wielką nad nim przebiegły i zimny Czolner miał wyższość.

Naostatek wszystko ukończonem zostało, dało znak

gotowości do drogi, przyniesiono strzemienne. Witold wtargnął do izby, aby Semka pożegnać.

Otoczeni mnogimi świadkami, mogli się tylko porozumieć oczyma, a książę litewski nie odprowadzał go nawet dalej progu, i do swoich komnat powrócił.

Z dodanemi rycerzami krzyżackimi i knechtami, puścił się książę nazad drogą do Torunia.

IX.

Gdy się to na zamku Malborskim działo, a wyjazd Mazowieckiego księcia się przeciągał, Bobrek, który część wieczora i nocy strawił na kaligrafowaniu aktu zastawy, o brzasku rannym został wezwany do Czolnera.

Mistrz mało co snu potrzebował, i już był po modlitwie rannej w przybocznej swej kapliczce, po posiłku, gdy mu Bartka przyprowadzono.

Kazał kompanom swym ustąpić.

— Znasz ty dobrze Semka mazowieckiego? — zapytał go.

— O ile człowieka można poznać przez ludzi — odpowiedział klecha — i o ile kto może pochwalić się znajomością młodzika, który nie dojrzał jeszcze, a dopiero sposobi się do tego czem być ma.

Odpowiedź ogłędna, chociaż niestanowcza, podobala się mistrzowi, głową poruszył, potwierdzając to, że młodego znać trudniej jest niż tego, co już sobie tory i koleje życia wytrzebił.

— Chytry on jest? skryty? przebiegły? — zapytał Czolner wlepiając w niego oczy.

— Wątpię, ażeby zdolnym był do przebiegłości wielkiej — rzekł Bobrek. — To tylko wiem, że srogim i okrutnym być może jak ojciec, i jak on popędliwym.

— Więc, zbyt chytrym jako popędliwy być nie może—przerwał Czolner zadumany—a jednak...

Tu zatrzymał się i podumał.

— Należałoby go śledzić i nie spuszczać z oka—mówił dalej. — Ten zdrażliwy i niepocziwy poganin Witold, nie bez myśli wczoraj wybrał się tak, ze psy, aby z nim spotkać się na drodze. Mówili z sobą długo, a nikt ich podsłuchać nie mógł. Wczoraj czasu uczyty, Witold odciągnął go od stołu i żywo coś z sobą rozprawiali. Któż wie? Zdrada jaka niepocziwa gotować się może.

— Przebaczyć miłość wasza — odezwał się pokornie kłaniając Bobrek. — Semko teraz nieporwie się do niczego, bo o własnym losie myśleć musi. I na to, co dla siebie czynić ma, sił nie starczy.

— Takby się zdawało — przerwał Czolner— a jednak wczorajsze ich kumanie się zbytczne, jest mi podejrzanem. Człowiek ten, to wąż, co się może z rąk naszych wyśliznąć i pierś co go ogrzała, pokasać.

Wielki mistrz stał zadumany.

— Pojedziesz za Semkiem do Płocka—rzekł—potrzeba śledzić każdy krok jego. Janusz ma za sobą siostrę Witoldową, mogą jej użyć do porozumienia się z Jagiellą. Staraj się przy dworze mazowieckim pozostać, ofiaruj kanclerzowi usługi darmo, zakon ci wynagrodzi.

Przez Pelcza i pocztę rybaczą co tydzień mi donosić trzeba, co się tam będzie działo i gdzie się książę obraca.

— Bartosz z jego ludźmi miał na Kalisz iść niezwłocznie — rzekł Bobrek.

— Z oka ich nie spuszczać — powtórzył w. mistrz z naciskiem. — Zapisuj, kto do niego przyjeżdżać będzie, kogo i dokąd będą wysyłali.

Mówiąc to, mistrz już przygotowaną na stole kaletkę z pieniędzmi podał stojącemu w progu Bobrkowi, który rękę jego ucałował z wdzięcznością.

— Książę za kilka godzin wyjeżdża ztąd do Torunia — zakończył mistrz — staraj się go wyprzedzić.

Już odprawivszy go, Czolner jakby coś sobie przypomniał, zawołał.

— Kanclerz książęcy, wiesz jaki jest? pobożny? chciwy? próżny? czem go sobie ująć można?

Bobrek namyślał się krótko.

— Chciwym nie jest — rzekł — próżności też w nim nie widać zbytnej, ale w księgach się miłuje i pobożny bardzo...

— No, ksiąg mu nie damy! — rozśmiał się Czolner — za kosztowny to dar, ale relikwie przyjmie pewnie z wdzięcznością.

— Droższe to niż księgi! — wykrzyknął wzdychając Bobrek, który jak wszyscy niezmierną do relikwii przywiązywał cenę.

Uśmieszek niedostrzeżony przesunął się po białych ustach Czolnera.

— Idź — dodał — nie ociągaj z podróżą. Niech Bóg prowadzi.

Dał mu jeszcze rękę do pocałowania i Bobrek śpiesznie się wysunął. Rad był z siebie i powierzono mu posłannictwa, które się dobrze z charakterem jego i naturą zgadzało.

Podśłuchać, podpatrzeć, odgadnąć, wykryć coś zatajonego, sprawiało mu taką przyjemność jak jamnikom dokopać się w jamie lisa lub borsuka.

Dniało zaledwie, gdy niepostrzeżony klecha, wiodąc za uzdę konia wysunął się z zamku na miasteczko, a ztamtąd pnął do Torunia.

Gdy Semko, milezący i chmurny przez drogę, wró-

cił do Płocka, a kanclerz z radością znalazł się znowu w swojej izbie, z księgami, do których nawykł, w zacisznym kątku, najmielszym dla niego, zdziwił się nieco widząc tu znowu zjawiającego się pokornego klechę, który natrętnie się do pracy zalecał.

Zbiedzonego chudzinę Bobrek doskonale udawać umiał.

— Miłość wasza — rzekł chwytając łapczywie i całując ręce kanclerza — przebaczysz mi biedakowi, że podziąć się gdzie nie mając, nigdzie nie znajdując roboty, znowum się tu przybłąkał, przez miłosierdzie prosząc o jakikolwiek kątek... Gotówem darmo pisać.

I ciągnął dalej, nie dając księdzu odpowiedzieć.

— Nie może to być, aby tu w klasztorze, albo gdzie u mnichów w pobliżu nie było biblij, albo mszału, agendy lub ewangelii. Ja to wszystko potrafię, pomóżeli Bóg, bez omyłki przepisać, zarubrykować czysto, nawet litery wielkie przemaalować i wyzłocić.

Niech tylko miłość wasza da pergamin, minję i inkausty, za kawaleczek chleba pracować będę.

Wielka to była pokusa dla kanclerza, ale na zamku klechy pomieścić nie chciał, a w klasztorze niełatwo było. Bobrek jakby to zgadł, zaofiarował się w mieście gdzie sobie komórkę znaleźć. Uśmiechnęło się to księdzu, który strawę, co było potrzeba do pisania, a w dodatku grosz niewielki dać był gotów.

Nie znając dobrze skryptora, drogiego pergaminu ważyć nie chciał, ale papier dać był gotów.

Ułożono więc tego dnia, że część dekretaliów miał Bobrek przepisywać i do czasu przy dworze wisieć.

Oprócz tego ofiarował się Bobrek modlitewki na pergaminie dla dusz pobożnych do noszenia na piersiach, bardzo skutecznie, ekzorcyzmy, błogosławieństwa i inne drobnostki, ewangelie cztery do zakopy-

wania w miejscach, które od gradu i klęsk zachować chciano, prędko i czysto sporządzać kanclerzowi.

Zaręczał, że nawet różne inkausty robić potrafi, nie tylko czarny, *rubrum*, ale zielony i niebieski.

Kanclerz z tego łatwego nabytku amanuensa był rad, a przypisywał go temu wypadkowi, że w Wielkiej Polsce wojna rozpędzała spokojnych ludzi, a w Krakowie z niemiec dosyć kaligrafów napływało.

Bobrek komorę sobie zamówił u Peleza, który znając powołanie i temperament swojego lokatora, choć szanował wielce niebezpiecznego człowieka, dla siebie i dla córki zarówno, obawiał się go. Odmówić mu było niepodobna, rozkazy szły z góry, skarga Bobrka byłaby wielce szkodliwa, który jako pół-brat zakonu, pieniężny zasilek pobierał...

Semko takim powrócił do Płocka, że Błachowa i Ulinka, wybiegłszy witać go, przestraszone zostały.

Stara pośadziła go, że chorym był, lepiej odgadujące dziewczę zrozumiało zaraz, że choroba leżała na duszy.

Nie badała go przy matce, bo wiedziała, że przy niej nie wydobędzie z niego... Sam na sam spodziewała się dowiedzieć o tajemnicy.

Wiedziały obie niewiasty, że pieniądze pożądane kanclerz przywiózł z sobą i oddał je podskarbiemu. Umowa więc stanęła. Czasowe poświęcenie Wizny nie tłumaczyło tego smutku, rozdrażnienia i niecierpliwości, jakie Semko okazywał.

Ulinka, znająca go najlepiej, czytała w nim jak w własnej duszy, czuła, że się coś stać musiało, z czem on taił się lub wstydał wyznać.

Późnym wieczorem, gdy Semko miał już kłaść się na spoczynek, uchyliła się zasłona. Ulinka matce wniknąć nie dopuściła, sama przyszła do niego. Jeżeli miał się zwierzyć z czem, przed nią tylko samą mógł to uczynić. Znalazła go w krześle nad stołem, łokciami spartego na nim, z głową w dłoniach. Pod-

niósł ją gdy weszła, a ona zbliżywszy się powoli, uderzyła go po ramieniu i pogłaskała po głowie.

Biała jej dłoń przesunęła się z upodobaniem po bujnych zwojach ciemnych kędziorów młodzieńca, który ku niej się obrócił.

— Co tobie? — zaczęła Ulinka — no, mów. Cięży ci coś? Człowiek póki nosi w sobie słowo tajnie, ono go dusi. Wiesz, że Ulina ciebie nie zdradzi, a choć rozumu nie ma, czasem odgadnie sama nie wie jak, co tobie potrzeba.

— No, mów — powtarzała ciągle, głaszcząc mu włosy. — Umyślnie matce tu iść nie dałam, bo ona zaraz stracha się, płacze i narzeka. Mnie wszystko zwierzyć można, padnie jak kamień w studnię.

Semko namyślał się. Wstyd mu było do rady wziąć babę, zwierzyć się dziewczynie. Ale tak był nawykł, nie przed nią nie tać, tyle razy śmiało i roztropne dziewczę, pomogło mu małym a jędrnym słowem, że wstał nareście, niespokojnem tylko okiem patrząc ku drzwiom, gotów do wyznań.

Ulina uderzyła go jeszcze po ramieniu, uśmiechając mu się.

— Nie bój się — rzekła — matka nie przyjdzie, a podsłuchiwać ona się nie waży. Wie, że tobie na duszy ciężko, a nie ulży aż się zwierzysz Ulinie.

— Mów, sokoło mój, coś ty za kamień przywiózł od tych zbujów niemieckich?

Semko się obejrzał dokoła i ręce załamał.

— Oj! kamień! — zawołał — prawda, że kamień mam na piersi, ale nie oni mi go narzucili.

Zniżył głos. Ulina zbliżyła się, oczy w niego wlepiając, które się rosnać ciekawością i niepokojem zdawały.

— Spotkałem tam u nich litewskiego księcia Witolda — rzekł cicho.

Dziewczę głową skinęło.

— Wiem, wiem — rzekło — mówili, że mu ojca zabito i poszedł do Niemców przeciw swoim.

— Tak — potwierdził Semko — poszedł ci do nich, ale z niemi wytrwać nie może. Tęskno mu do swoich, zaklął mnie na wszystko, abym na Litwę jechał do Jagielly, zgodę mu z nim zrobić.

Dziewczyna słuchając brwi marszczyła i zawołała.

— Ty! na Litwę! ależ oni tobie teraz wrogami! Sam mówiłeś, zęby ostrzą tylko, aby wpaść do nas i pustoszyć.

— Nie będą mi wrogami gdy ich pogodzę — odparł Semko. — Jagiello potrzebuje zgody, aby z Niemcami wojował. Wdzięczny mi będzie. Dałem słowo, jechać muszę!

Ulina się za głowę pochwyciła i bystro spojrzała na stojącego Semka.

— Co nam babom takie sprawy sądzić? — odezwiała się. — Ja nie wiem nic, ale strach mam wielki. Jechałeś do Niemców, drużyć się z niemi, pieniędzy u nich pożyczać, a w ich domu, pod ich bokiem namawiałeś się na nich! — Skrzywiła się pogardliwie i namarszczyła.

— Nie powinienesz być robić tego! nie! — rzekła krótko.

— Nie mogłem inaczej! — zawołał Semko. — Napadł mnie Litwin, temu człowiekowi nikt się nie oprze. Już o tem mówić niema co. Stało się.

Dałem słowo, pojedę na Litwę, pojedę, a jechać tak muszę, aby żywa dusza nie wiedziała gdzie ja był. Kogo wziąć? komu się tu zwierzyć? kto poprowadzi? a tu każdy dzień pilny. Bartosz nadciągnie...

Semko mówiąc chwycił się za głowę, i chodził żywo po izbie. Słów jego urywanych słuchało dziewcę coraz smutniej, zadumane.

— Oj! ty! ty! — poczęło zwolna, wodząc zanim oczyma, — Niemily ci był spokój w domu?

— Prawda, ja sama głupio mówiłam, abyś się starał i dobijał o koronę, a teraz, strach mnie objął.

— Korona! korona! daj Boże, aby ona nie taka

była, jaką Chrystus Pan ma w kościele na krzyżu, z pod której mu krew płynie...

Ulina westchnęła, lecz miarkując, że już postanowionego odwrócić nie potrafi, zamyśliła się nad tem, co doradzać, aby jego i siebie uspokoić. Zwolna zbliżyła się do Semka.

— Masz ty rozum swój — rzekła — ale i babski zda się. Na dworze u ciebie przecie, "koni niejeden, ale kilku jest Litwinów niewolników, którzy ci dawno służą wiernie...

-- Kaukis! — podchwycił żywo Semko — Kaukis z nich najlepszy...

— Kaukis i drugi jaki się znajdzie — mówiła Ulina. — Pojedziesz do Czerska, jego i kilku pewnych ludzi, co gęby umieją trzymać zamknięte, weźniesz z sobą. W drodze każesz im się do Wilna prowadzić, a milczec będą musieli, gdy im szubienicą pogroźisz...

Semko zamilkł, rada była dobra, ale tego dla niego nie dość jeszcze było. Nie mógł się puścić bez poważniejszego jakiegoś towarzystwa i pośrednika, któryby znał Wilno, dwór Jagielly i otaczających go ludzi.

O Jagielle różne wieści chodziły. Jedni go głosili okrutnym, drudzy podejrziwym i chytrym, wszyscy dosyć nieprzystępnym dla obcych.

Nawykłym był Semko, jak inni książęta, w sprawach ważniejszych nie czynić nic bez porady i pomocy duchownych. Semko chciał też mieć z sobą kogoś z nich i namyślał się, czyby nie należało zwierzyć się z tem kanclerzowi.

Ulina widząc go tak zadumanym, zamilkła, ale wzrokiem śledziła każde poruszenie twarzy, która nie ukrywać nie umiała.

— Kaukis — przebaknął Semko po długim przestanku — za przewodnika dobry, ale tego za mało. Kogoś jeszcze muszę mieć...

— Szukajże sobie sam — rzekła z westchnieniem

Ulina — bo ja wszystkich się boję. Zapaliła się potem w ogień długo, ręce założyła na piersi, przechyliła głowę i szeptała:

— O! z wami! z wami tak jak z sokołami! Wy, sokoly! nosi człowiek na rękach, karci, hoduje, chucha, pieści, a puści raz w pole, poleciał i nie wróci może do ręki...

W oczach się jej łzy zakręciły.

— Taki zawsze koniec i z niemi i z wami!

Semkowi, spojrzawszy na nią, żal się jej zrobiło. Przystąpił, objął ją za szyję i w czoło pocałował, a Ulina milcząc zarzuciła mu ręce na ramiona.

W chwili tej błędnego zapomnienia się, Blahowa, która w ciągu rozmowy trzymała się zdaleka, milczeniem zaniepokojona, uchyliła zasłonę, zasępiła się zobaczywszy ich i weszła pokaszłując.

Nie spłoszyło to bynajmniej Semka ani Uliny. Zwolna podniosła głowę ku matce, jakby z wyrzutem za przerwana chwilę szczęścia, a książkę raz jeszcze pocałowawszy ją w czoło, odstąpił.

Blahowa nie powiedziała nic, zbliżyła się do ognia, wzięła połano zgaruła węgle, przyłożyła drzewa i wstając odezwała się.

— A no, niedługo koguty zapieją! — Dziewczę zbliżyło się do ucha Semkowi i szepnęła mu. — Radź się kanclerza. W studnię łatwo wpaść, ale z niej wyleść?

To mówiąc, i niespojrzawszy już nawet na matkę, ręką odrzuciła długie kosy i wyszła z izby.

Blahowa jak gdyby przybyła tylko dla zrobienia porządku w sypialni, poprawiła skórzaną poduszkę, uderzyła ręką o posłanie, spojrzała w stojący u łóżka dzbanek i kubek, na ogień, na zadumanego Semka i w milczeniu za córką pociągnęła.

Nazajutrz rano po mszy, wezwał do siebie książkę kanclerza, ale nim mówić z nim począł, niespokojny, zażądał uroczystego zobowiązania się do milczenia.

— Wasza miłość wiesz — odpowiedział zdziwiony

kanclerz — że kapłan do niego powołaniem swem jest obowiązany. Znał on Semka od dzieciństwa, że nie umiał i nie mógł tajemnicy w sobie dochować, ani się z nią obejść, będąc popędlivym.

— Mój ojcie — odezwał się książę, siadając — nagań mnie, jeśli zasłużył, ale mnie nie odwodź od tego, co postanowione.

Mówiłem z ks. Witoldem na osobności, zażądał odemnie, abym jechał do Jagielly i wyjednał mu z nim zgodę, chce porzucić Krzyżaków.

Kanclerz ręce załamał.

— Wy? jechać do Jagielly? do Wilna? — zawołał, — ale się to nie skryje, cały świat o tem wie — dzieć będzie, Krzyżacy najpierwsi, bo oni słyszą jak trawa rośnie. A! i mścić się będą!

— Mówiłem już wam, ojcie — gwałtownie wybuchnął Semko — uczynić to muszę. Postaram się aby o tem nikt nie wiedział, ale przed wami tać nie chciałem. Wyjadę wrzekomo do Czerska, z drogi do Wilna nawrócę.

Kanclerz stał oniemiały z rękami złożonemi jeszcze, Semko wzrokiem się dopominał odpowiedzi.

— A więc, jest to już postanowione? — spytał.

— Słowo dałem, i korzyść dla siebie w tem widzę — odparł książę. Jagiello gniewny jest, odgryza się, wrogiem mnie zowie. Ja pokoju potrzebuję i dla siebie go wyjednam również. Radź mi kogo w podróż mam wziąć z sobą.

— Sambym gotów, bo się przy opiece Bożej nie lękam nikogo i niczego — rzekł ksiądz spokojnie — ani męczeństwa od niewiernych dla chwały Bożej; ale ja Litwy nie znam i wam nie przydam się na nic.

Zadumał się skłopotany kanclerz.

— Są w Wilnie Franciszkanie — rzekł — choć się tam kryć muszą. Oni z Hawnulem starostą, który u Jagielly prawą jest ręką i doradcą, w ścisłych stosunkach, to ich dobroczyńca. Od naszych braci św. Franciszka listy z któregośkolwiek konwentu mieć

potrzeba. O to łatwo, to najlepsze. Innego nie nie widzę.

— Zamiast listów, czemu by jeden z nich nie dał się namówić, aby mi towarzyszył?—odparł Semko.— Byłoby to najdogodniejsze, ale czas krótki, śpieszyć muszę...

Kancelarz spytał smutny raz jeszcze.

— Nieuchronne to więc?

Semko z oburzeniem i niecierpliwością, dał poznać ruchem popędliwym, że mówić nawet o tem nie godzi się.

— Dwa dni, co-najmniej książę poczekać musisz— żądał kancelarz, jadę natychmiast, listy lub zakonnika przywiozę.

To mówiąc ze smutną twarzą opuścił komorę książęcą. W izbie swej, do której wszedł chmurny, z głową spuszczoną, z modlitwą na ustach, bo w podobnych razach zawsze się do niej uciekał, zastał pilno kaligrafującego Bobrka, który trzema inkaustami listery przyozdabiał.

Ten, chociaż mocno zajęty rubrykowaniem, wyciąganiem delikatnych linii, punktowaniem i ornamentacją, miał na oku ruch każdy. Spostrzegł już, że kancelarza powoływano do księcia, i z jaką od niego twarzą powrócił — ale niczemby to było, gdyby zaraz sani i koni nie zażądał bardzo skapliwie, nie opowiadając się ani dokąd jedzie, ani kiedy powróci. Bobrek we własnym interesie kaligraficznym, chciał być o tem poinformowanym, ale zagadnięty kancelarz odpowiedział mu dwuznacznie, że zapewne rychło powróci. Zostawił mu papier, inkaust, chłopca do usług no — i dworską strawę swoją.

Klecha sądził, że w dziedzińcu około ludzi i koni, dowie się czego i przypadkiem zmyślił pilną potrzebę, stanął za węglem, słuchał, ale z niczem powrócił. Ufał w to tylko, że za powrotem książdz się z czemś przecieć wygada.

Najwięcej go niepokoił pośpiech wielki, i tajemni-

ca wyboru w drogę, do której na dworze nie byli przywykli, bo tu się wszystko jawnie czyniło, i trąbiło na cztery wiatry.

W czasie podróży do Malbarga, nie było w Płocku młodego Henryka. Wyprawiono go na łowy do dóbi jego, a za oczyma w lasach zawsze długo przebywać lubił—i nie powrócił, aż teraz, gdy już Semko był w domu.

Na probostwie zaraz służba mu doniosła, że brat jego z kanclerzem podróż jakąś odbył, i że z niej przywieziono pieniądze.

Dla Henryka, który nigdy ich nie miał a zawsze pożądał, była to wiadomość przyjemna; spodziewał się coś dostać od brata. Tajemnica wycieczki do Malbarga nie była tak ściśle zachowywana, aby się nie domyślano jej celu. Mówić tylko zbyt otwarcie nieśmiano.

Tegoż dnia zaledwie wypocząwszy, Henryk z hałasem i zamaszystością wpadł do brata.

— Ja na łowy po mięso jeździłem—zawołał wchodząc — a wy, miłośnicy bracie, pono polowaliście na pieniądze i ubili sporo grzywien. Zaprawdę i mnieby się one zdały!

Semko spojrzał nań kwaśno.

— Tymczasem się obejdiesz, bo ja dla ciebie ich nie mam.

— No, więc pewno na wojnę! — począł Henryk rozsiadając się z przybraną powagą i rozpierając się szeroko. — No, a kiedyż na wojnę?

— Ja o żadnej wojnie nie myślę — ostro odrzucił Semko. — Co ci w głowie? Jaka wojna? Za parę dni do Czerska muszę, do brata...

— Al... to i ja z wami!! — zakrzyknął Henryk. — Dawnuta ma na dworze ładne litwinki, a te się mojejsz księżej sukni nie boją i nią nie brzydzą.

— Daj mi pokój, jedź do nich sam, kiedy ci smakują, ja podróż inaczej niż ty odbywam, pojedę bez ciebie.

— Jakto? jakto?—obrażony przerwał Henryk. — Cóż to, ja tego co ty nie wytrzymam? Sił nie mam, czy się pieszczę? Pokażę, że więcej potrafię, niż ty.

— Ja w podróży towarzyszków nie lubię — zamruczał Semko — to moja natura.

Henryk coś zaśpiewał pod nosem.

— Nie po bratersku się ze mną wasza miłość obchodzi — rzekł kwaśno. Ale w tejże chwili twarz zasępiona się rozjaśniła. Spostrzegł na stole złocistą czarękę, którą mistrz zmusił księcia wziąć do nżycia w podróży. Piękna była jak cacko — chłopak pochwycił ją i bawił się a oglądał jak dziecko.

— O! ho! a toż zkąd? — zawołał — nigdy jej tu, ani w skarbcu nie widziałem. Słowo daje, zdałaby mi się do kościoła albo i do własnej kieszeni, powinienś mi ją dać, gościńca!

Spojrzał na Semka, który zbyć się go chcąc ramionami ruszył i rzekł sucho.

— Weź ją sobie.

Henryk się ucieszył mocno, nie puścił już jej z rąk, przypatrywał się wypukłej robocie, rysowaniu, cieszyły go piękne dwie głowy zwierząt z obu stron poprzączepiane.

Wiek młody odezwał się w chłopcu, który starszego udawał niż był. Chował ją za suknię, przyglądając się, czy bardzo będzie widoczną, wyjmował, stawał przed sobą, patrzył zdaleka, przyzierał się zbliżając, ważył na ręku, usiłując odgadnąć, czy była po-złocista czy złota.

Aż na dnie jej zobaczył w końcu krzyż zakonu i cesarskiego orła. Zdradzało to pochodzenie kubka, Henryk uśmiechnął się, ale nie chwając swem odkryciem.

Przybycie tego brata, napastliwe jego narzucanie się za towarzysza podróży, ciekawość — niewygodnemi były dla Semka, który się przed nim ukrywać potrzebował. Postanowił więc tak urządzić, aby go znowu myśliwcy dworscy na dłuższy czas zabrali z sobą.

Parę dni upłynęło na oczekiwaniu powrotu kanclerza, który znikł tak, że nawet Bobrek dowiedzieć

się nie mógł o celu jego podróży. Nadaremnie wysiłał się z badaniem ludzi i wyciąganiem wniosków—nie dochodził do niczego...

Trzeciego dnia z południa, gdy po obiedzie postnym siedział znów przepisując i illuminując litery bo to było mu miłszem, niż odczytywanie tekstu, który niezawsze dlań był zrozumiałym, zatoczyły się szerokie sanie przed izbę kancelarską i z nich wysiadło dwie osoby, które do izby weszły. Jedną z nich był sam gospodarz, drugą mnich w sukni zakonu św. Franciszka, w którym Bobrek poznał, na pierwszy rzut oka, owego na gościńcu w gospodzie pustej; spotkałego, co tak wesoło suchym chlebem z solą i wodą się posilał.

Wesoły i teraz staruszek wlepiwszy w niego oczy, zdawał się także go przypominać.

Ale po co i z kąd tu przywieziono zakonnika było dla Bobrka drażniącą zagadką. Spodziewał się ją rozwiązać, rozgadując się z braciszkiem, którego kanclerz, idąc do księcia, sam na sam z nim zostawił.

Korzystając z tego Bobrek poszedł się przygrzewającemu u ognia przypomnieć staruszkowi, z tem większą pokorą i serdecznością, im bardziej szło mu o to, aby go zjednał sobie.

Mnich zaraz go przypomniął, pozdrowił wesoło, zapytując, coby tu robił, na co Bobrek odpowiedział z wielkim zapalem malując szczęście swoje, iż mu Pan Bóg pobłogosławił i dał go w ręce tak mądrego, miłosiernego, świętego człowieka, jakim kanclerz był.

Wychwalał go w nadziei, że to dojść może do uszu jego. Potem zręcznie zagadnął staruszka, co on tu porabiał i jak się też w Płocku znalazł.

— A cóż? — rzekł z prosta zakonnik — kanclerz w drodze mnie spotkawszy, podwiózł mnie tu przez miłosierdzie, abym trochę starym kościom wypoczął.

Niespełna wierzył temu Bobrek, ale mu badać więcej nie wypadało, zamilkł, obiecując sobie śledzić najmniejszy ruch podejrzany na książęcym dworze.

Pomocniczy środek niespodziewany nastręczył się do tego, gdy książkę Henryk, który w miejscu z trudnością mógł usiedzieć, a ciągle zabawki i rozragnienia szukał, tegoż dnia wpadł do kanclerza zastał klechę przy robocie, i z kilku odpowiedzi podobał go sobie. Zabrał potem do swego mieszkania, pod pozorem łatania jakiegoś rękopismu i zatrzymał na gawędkę.

Henrykowi niewiele szło o tę pobożną książkę poszarpaną, ale z oczów wyczytał Bobrkowi, że mógł mu błaznować i zabawiać go.

Ubogi klecha na trefnisia wcale się dobrze, gdy chciał kwalifikował.

Wziąwszy go na probostwo, które podobniejsze było do żołnierskiego dworca, niż do mieszkania duchownego Henryk na próbę puścił się z nim w swawolną rozmowę. Bobrek choć się lękał i w początku półgębkiem odpowiadał tylko, ośmieliwszy się dotrzymał mu placu. Henrykowi towarzystwo jego podobalo się bardzo, kazał mu przychodzić do siebie.

Klecha obrachował, że z gadatliwego a nieopatrznego chłopaka, łatwo będzie mógł dobyć wiele wiadomostek, o któreby inaczej trudno było. Pochlebiał więc gładko książątku.

Tegoż wieczora wiedział od niego Bobrek, że się brat kędyś sam do Czerska wybiera, czy do Warszawy.

Podróż nagła kanclerza, jego powrót z zakonnikiem, zamierzona wycieczka do brata Janusza dawały do myślenia klesze, widział w tem jakieś podejrzané konszachty.

Gdyby się Semko z Bartoszem z Odolanowa wybrał do Wielkopolski, nie dziwiłby był się temu, ale teraz, gdy mu pilno należało stać na stanowisku — jechać gdzieś w stronę przeciwną?? — Bobrek nie rozumiał tego.

Wieczorem przypadłszy do Pelcza, mocno się nad tem zadumał i wygadał przed niemcem, że na zamku

coś się knuje, czego dojść nie mógł. We dwu z ko-
tlarzem próżno sobie głowy łamali.

Nazajutrz wcześniej niż zwykle był już u kan-
clerza i nie zastał go — odprowadził mszę świętą.

Chłopak posługujący, z którym się już poprzy-
jaźnił, oznajmił mu śmiejąc się, że książę o brzasku
wyruszył z małym poczem niewiadomo dokąd, a wczoraj-
szy zakonnik do orszaku się przyłączył.

Nie dał po sobie poznać Bobrek, jak go ta wia-
domość obeszła, lecz przybity był i zły, iż naopróżno
śledził, a o celu tej tajemniczej wyprawy nie wie-
dział nic.

Mnich z Wielkopolski mógł najłatwiej służyć za
przewodnika do niej, ale Bartosz z Odolanowa i ksią-
żęcy kopijnicy jeszcze lepszemi w tamtą stronę byli
towarzyszami. Semko ich nie wziął z sobą.

Obowiązany donosić wielkiemu mistrzowi co tu
widział i słyszał, upokorzonym był bezsilnością swoją.
Zasiadł do pisania zły bardzo, i rękopism pewnie na
tem uciepieć musiał. Cała nadzieja była teraz w księ-
ciu Henryku ale i ta zawiodła, bo około południa,
gdy już i kanclerz był w domu, przytłucując się pi-
saniu, wpadł z balasem młody książę.

— Co to znaczy książę kanclerzu? — wołał od
progu. — Semko się jak złodziej wykradł z zamku.
Dokąd?... po co?... Wczoraj plótł przedemną czemu
nie wierzę, że miał jechać do Czerska?... Dziś go już
nie ma! I starego zakonnika wziął, chyba aby mu
po drodze pomagał odmawiać pacierze! Jaki pobo-
żny się zrobił!

Kanclerz dał mu spokojnie wykrzyczeć się i wy-
burzyć, a potem odpowiedział z flegmą wielką.

— Przecież księciu Semkowi wolno jechać kędy
mu się żywnie podoba? Przedemną ani przed nikim
tłumaczyć się nie potrzebuje. Pojechał widzieć się
z bratem, czy na łowy coś to tak dziwnego?...

— Nieprawda! nieprawda! — zaburczał Henryk. —
Na łowy brać z sobą starego zakonnika, coście go

wy umyślnie wczoraj tak pilno przywieźli?... Z bratem widzieć się nie potrzebował, bo Janusz tu niedawno był.

Pojechał gdzieś na jakieś inne łowy, ale ja będę o tem wiedział, choć przedemną taicie! — zakończył śmiejąc się młody książę.

Kancelarz z powagą odszedł nie mówiąc nic.

Henryka bolało to najmocniej, że się z nim, jak z dzieckiem obchodzono, a z niczem zwierzać nie chciano. Pobiegł na zwiady, a gdy Bobrek po skończonej robocie stawiał się na probostwie, znalazł go wesołym i uśmiechniętym.

— Semko musi coś dla swej przyszłej korony knuć — zaczął paplać przed kłeczą. — Dokąd pojechał nikt nie wie, ale że nie do Czerska toć to!... to pewna... Puścił się w tamtą stronę, aby ludzi bałamucić!...

Służby z sobą wziął niewiele i dobrał takich, z którymi jak z niemowcami rozgadać się trudno! Same niewolniki litewskie.. Przecie ja tajemnicy tej z pod ziemi dobędę.

Dla Bobrka sama ta wiadomość, że Semko wziął litwinów, była niespodzianym promykiem, rozjaśniającym nagromadzone mroki. Lecz zmilczał ostrożnie.

Z rozmowy z zakonnikiem na gościńcu zapamiętał wzmiankę, jaką brat Antoniusz uczynił o bytności swej wśród niewiernych na Litwie. Wszystko to razem użyte budziło domysł, że Semko mógł się na Litwę wybrać, ale co by tam miał poczynać?! Bobrek nie domyślał się. Tegoż wieczora listem wielki mistrz o tajemniczej podróży był zawiadomiony.

X.

Jak po dziś dzień tak i w owych czasach, zima na północy, mimo srogości klimatu, była porą najdogodniejszą do wypraw i podróży.

W ciągu tych miesięcy, gdy rzeki stawały, błota marzły, ziemia tężała, a najniebezpieczniejsze miejsca stawały się przez to niemal bezbronnemi, krzyżackie kupy wpadały najczęściej na litewskie sioła i osady.

Litwini tak samo zimą odwdzięczali się, najeżdżając posiadłości zakonu.

Dla niewielu wędrowców, przesuwających się przez te kraje, zawsze z obawą wielką, bo od rozbojów po gościńcach żadne listy książęce obronić ich nie mogły, zima miała swe dogodności, ale i niebezpieczeństwa.

Śnieg zdradzał ich, gdyż na nim dla wprawnego oka wypisywało się jasno, jak słowo na pergaminie, wszystko, co stanowiło podróżyzną siłę, obyczaj, drogi, kierunek a nawet ich pochodzenie. Śledząc te piętna człowiek, który to pismo odczytywać umiał, wiedział ile i jakich koni szło w orszaku, wozów lub sań, i jacy w nich jechali ludzie... Odległości między noclegami a popasami, obozowiska opowiadały im, czy ciągniono śpiesznie, czy powoli, ładownie czy lekko. Z ognisk mogli obrachować ludzi, ze żłobów i wbitych do nich kolów, lik koni. Niedostrzeżone dla mniej wprawnych oczu znaki drobne, dozwalały ściśle naprzód obrachować i przewidzieć, kogo miano napaść i jak silną mogła być obrona.

Zacierać za sobą ślady te niepodobna było. Podróżny więc zimą wystawionym był na większe niebezpieczeństwo.

Z wyjątkiem kilku prostszych gościńców handlo-

wych, dróg latem prawie nie było, tem mniej zimą, gdy je zamarzłe grzędzawiska i wody skracały. Zmuszeni podróżować puszczali się albo na oślep w pewnym kierunku, który gwiazdy i kora drzew oznaaczała, lub biorąc po drodze przewód z ludzi znających kraje, które przebywać mieli, szli za nimi. Na dostanie po drodze pożywienia dla ludzi i koni niewiele rachować było można, musiano z sobą wieźć zapasy, oszczędzać je, a bardzo często noclegi i popasy pod gołym niebem odbywano. Klecono szalasy, jeżeli namiotków nie było, szukano zaciszego kąta, przypierało do wodopoju, wypasu lub stogów.

Niebardzo naówczas szanowano tu cudzą własność i konie żywiły się sianem cudzem, gdy innego nie było. Przypadł-li właściciel, opłacano mu się lub do bójki przychodziło, jeżeli orszak podróżny miał siłę po sobie. Tak samo i przewód brano nieraz groźbami, a zmuszony prowadzić przy pierwszej zrzeczności uchodził i często zostawiał podróżujących na łasce własnego ich rozumu.

Lecz i bez znajomości kraju kto podróżował wiele, umiał sobie dać rady w całkiem obcej okolicy. Za przewodników służyły wodociecze, ślady ludzi, i jego pracy, rodzaje drzew, pozostałości uprawy ziemi.

Z temi trudnościami podróżowania wszyscy byli oswojeni, z góry do nich przygotowani, a zasposobieni we wszystko, co w złym razie mogło ratować.

Kankis (brodaty karzeł) niewolnik litwin i młodszy od niego, także jeniec wojenny Wiżunas, należeli do szczupłego orszaku Semka, który tak rano z Płocka wybiegł, iż nikt prawie nie dostrzegł, w jakim się puścił kierunku.

Gdyby kto nawet był podpatrzył, iż w stronę ku Czerskowi znikł w lasach, niechy to nikogo nie nauczyło.

Litwini obaj wcale nie wiedzieli do czego będą użyci. Dziwił wszystkich skład książęcego orszaku. Wybrani byli ludzie najśmielsi, najmężniejsi, ale do

łowów niebardzo zdadni. Psów nie kazał Semko brać. Broń i ubiór nie zdradzały książęcego orszaku. Dziwnym też wśród dworu wydawał się stary zakonnik, który wdział na się zwykłą opończę i odznaczał się tylko tem, że broni nie miał żadnej, bo nie chciał jej przypasać, choć książę go o to prosił; tłumaczył się tem, że noszenie jej było mu wzbronione, tak samo jak pieniędzy.

Wjechawszy do lasu, książę wskazał sam w jakim kierunku ciągnąć mieli, a do popasu słowa prawie nie wyrzekł do nikogo.

Stary zakonnik jechał u jego boku, odmawiając pacierze pocichu.

Na nocleg przybyli do wsi książęcej, gdzie wedle obyczaju dawnego, natychmiast im wszystkiego co dla ludzi i koni było potrzebnem, dostarczyć musiano. Równie jak w Polsce, na Mazowszu stare to prawo, choć ograniczone i znoszone, trwało uparcie, a panujący wszędzie musiał być podejmowany.

Ludzie książęcy często tego nadużywali, z wiosek na widok ich rozbiegali się popłoszeni mieszkańcy, lecz tym razem mała gromadka, niewiele wymagająca, nie ustraszyła nikogo.

Dla księcia opróżniono chatę, a stary zakonnik znalazł też przy nim posłanie. Na tym noclegu, z wielkim postrachem Kaukisa i Wiżunasa, obu ich do Semka wezwano.

W przeciągu dłuższego swojego pobytu na Mazurach i w Płocku, oba oni zdala tylko widywali starego i młodych książąt, nigdy jeszcze nie mówili z niemi. Kaukis, który tu zestarzał, mało co się mowy nauczywwszy, o ile był pozornie ocieężały i nierozgarnięty, o tyle miał w sobie ntajonej przenikliwości i rozumu. Nie popisывał się z niemi, tak jak niejeden lęka się odkryć z zamożnością, woląc uchodzić za głuptaszka. Wiżunas młodszy już się był na pół w mazura przeistoczył. Chłop silny, zręczny, wesół, żwawy, niebardzo uskarżał się na swoje losy.

Kaukis, noszący to nazwisko dawane na Litwie, dzikim, brodatym karłom leśnym, o których różne krążą podania, krępy, mały, silny był, ale niezgrabny. Mowę jego ten tylko mógł zrozumieć, kto był do niej nawykły. Mruczał więcej niż mówił, a czynił to dlatego może, aby go do gadania, którego nie lubił, nie zmuszano.

Sam z sobą będąc, szemrał coś ciągle, ale dla ludzi niemy być wolał.

Na pozór Wiżunas przechodził go nieskończenie bystrzycą, rzutkością, rozumem, ale w istocie brodaty karzeł, śmiał się z niego i miał go za płochego, rozstrzepanego nieponia. Gardził nim szczególnie dlatego, że się dał przerobić na Mazurę, gdy on, zamknawszy się w sobie, jak był, tak pozostał Litwinem.

Wprawdzie, gdy przed laty w niewolę był wzięty, ochrzczono go i nazywał się chrześcianinem, a gdy kazano, chadzał do kościoła, ale wierzył potajemnie w stare bogi i dopełniał różne zabobonne obrzędy, nie rzucając ich.

Zawołani obaj do księcia, zaledwie do szczy weszli, w której Semko się znajdował, popadali przed nim na twarze, bijąc czołami o podłogę i nierychło się podnieśli, czekali na rozkazy.

Książę zwrócił się naprzód do Kaukisa, bo mu go polecono, ale rozmowa z bełkocącym niewyraźnie tak była trudna, że za tłumacza do niej Wiżunasa wziąć musiał.

Kaukis zapytany, czy do Wilna bezpiecznie doprowadzić potrafi, tak aby wielkie pomijając gościnnie, lasami się na prost przedarli, nie zwracając oczów na siebie; tak się zdumiał i wyłakt, że długo słowa wyrzec nie mógł.

Koniec końców, mimo wielu lat niewoli, on i Wiżunas, byle się do Niemnowi dostali, co nie było trudnem, obiecywali dalej nad Wilnę doprowadzić.

Niespodziana nadzieja zobaczenia kraju własnego,

tak poruszyła Kaukisa, iż drżał cały. Semko obiecywał obu, jeżeli-by bezpiecznie z niemi dojechał do Wilna i nazad do granicy mazowieckiej powrócił, uwolnienie bez okupu.

Wiżunas przyjął to wdzięcznie, ale z daleko mniejszem wzruszeniem niż Kaukis, który ogromne, grube rączyska podniósł do góry i wydał jakiś ryk radosny.

Wszyscy się śmieli z biedaka.

Zapomniał się do tego stopnia z radości wielkiej, iż przysięgać począł na Perkunasa i na inne bóstwa swoje, bodaj życie dać a księcia doprowadzić cało.

Kraj ten, który przebywać mieli, cały niemal aż do Wilna, był jedną niezmierną puszczą. Lasy, bory, zarośla przeważały w nim; zmieniały się rodzaje ich, różniły drzewa, ale wytrzebionej ziemi, stosunkowo mało było. Wszędzie prawie podróżny mógł się przeдрzeć niepostrzeżony, wśród tych gąszczów i niebotycznych drzew olbrzymich, najstarszych tej ziemi mieszkańców.

Moczary i błota, piaszczyste wydmy porośnięte jalowiecami, łąki, tu i owdzie jeziora, przerzynały te bory bez końca. Gdziekolwiek pożar lub burza pokładła je na ziemi, ale tam wnet, z pod trupów na wpół przegniłych, pięły się już nowe wypusty, puszczała gęsta młodzież i strzelała ku niebu.

Zimą, wszystko teraz było okryte jednym białym całunem, który nieraz drogę czynił trudną i niebezpieczną, pod zaspami śniegu niepodobna było rozemnać nawałów leży, oparzelisk i dołów zdradliwych.

Rozbudzony po długiem uśpieniu instynkt pierwotnego człowieka, jakim był Kaukis, wychowany i wykołysany szumem tych lasów, przychodził w pomoc podróżnym.

Wiżunas, który się naśmiewał z niego i w Płocku miał się za daleko rozumniejszego, tu zmałał i musiał przed sobą dać pierwszeństwo Kaukisiowi.

Mały ów człeczek na niewielkim krępym koniku

na którym siedział jakby doń przyrósł, jechał ciągle przodem, wciągał w siebie powietrze nozdrzami, rozglądał się, stawał, i pokazywał wszystkim drogę. Był jej tak pewnym, że z sobą się sprzeczać nie dawał. Wiżunas parę razy przeciwil mu się, lecz odszedł zmyty i upokorzony. Inni też podróżni, księcia nie wyjmując, patrzali nań z podziwieniem, nie mogąc pojąć, jak ów głuptaszek, którego w Płocku potracano, wyszydzano jak bydlę, w lesie najrozumniejszym był ze wszystkich.

Semko tak był przejęty szaloną wyprawą swoją, której czuł niezmierną ważność, że w myślach zatopiony jechał milczący, rzadko bratu Antoniuszowi przerywając jego modlitwy.

Kilkakroć jednak, porywający się prawie z pod nóg zwierz, myśliwca zapalczywego, jakimi wówczas wszyscy byli, skusił do pogoni i rzucenia oszczepu lub strzały.

Sam jednak Semko pomiarkował wprędce, iż dla zabawki marnej, czasu się niegodziło poświęcać, bo ten był drogi. Zakazano wszystkim puszczać się za zwierzem, i sam książę dawał mu uchodzić bezkarnie.

Lasy, które przebywali, tak były zwierzem przepełnione, szczególnie w oddalonych od osad uroczyiskach i ostępach, iż pokilkakroć, w dzień przemykały się przed niemi losie, żubry, kozły, całe stada świń dzikich, a nocami trzeba się było z końmi dobrze od wilków pilnować.

Czeladź książęca ubiła niedźwiedzia i rysiów parę, na noclegi zwierzyny nie brakło. Lecz Semko coraz niecierpliwszy, szczególnie po przebyciu Niemna, nie oglądał się już na zwierza, aby nie miał pokusy.

Kilkodniowy ten pochód, prawie bez widoku wsi i ludzi, które Kaukis omijać się starał, znużył w końcu wszystkich, oprócz cierpliwego ojca Antoniusza.

Ten najwytrzymalszym był na wszystko, od dawna zahartowany głodem i chłodem, znosił oboje tak obo-

jętnie, zawsze jedną twarzą i humorem, że młodszy podziwiał go musieli.

Śmiałością też wielką przechodził swoich towarzyszków, chociaż za jedyny oręż miał paciórki, a na ustach modlitwę.

Semko czuł się już złamanym, gdy na starcu nie widać było najmniejszego znużenia. Kaukis, równie wytrzymały jak on, zrozumiał to, przypatrując się księciu, że jemu choć jedną noc gdzieś pod dachem potrzeba się było przespać, rozgrzać i spocząć.

Z pomocą więc Wiżunasa, zażądał pozwolenia na to, aby mógł gdzie w okolicy poszukać gródka albo wioski, lub jakiej numy leśnej, w którejby ich na noc przyjęto.

Z popasu dnia jednego, Wiżunasowi dawszy skazówki którądy miał dalej prowadzić, pojechał sam przodem i znikł wkrótce w lesie. Semko uląkł się później, że może nie powrócić wcale, a Wiżunas nie dałby rady wśród puszczy. Do wieczora trwała ta próżna obawa, gdy w końcu usłyszano znajome hukanie Kaukisa, a po odpowiedzi na nie, zjawiał się i on sam, pokazując drogę, którą jechać mieli.

Wiżunas chciał go rozpytać, jaki im nocleg obiecywał, ale Kaukis odpowiadać mu nie chciał, bo czasu nie było do stracenia. Mrok zapadał.

Dobrze już zciemniało, gdy podróżni poczuli zapach dymu, zwiastujący ludzkie mieszkania. Nie był to ani gródek żaden, ani dwór zamożniejszego bajorasa, ale proste trzy chaty osadników, u brzegu rzeki.

Pod płaszczem śniegu, gdyby nie dymniki, trudno je było nawet rozeznąć o mroku. Siedziały chaty razem z oborami i szopami, do nich przylegającymi w ziemi, mało co po nad nią wystając.

Przed jedną z nich stał już oczekujący gospodarz, w czapce uszatej i kożuchu, w skórzniach na nogach, z kijem w ręku. Ten, gdy z koni pozsiadali, powi-

tawszy księcia, wprowadził ich do wnętrza jednej z num, wprzód z niej rodzinę wyprawivszy.

Niewytworny obiecywał się nocleg, chociaż nawykł do obozowania pod gołem niebem i ten wydał się pożądanym. Numa dosyć obszerna miała wpośrodku kamieniami obłożone ognisko, ławy nizkie na kamieniach oparte dokola, była zaciszna, a choć ludzie się z niej wycieśli, płotem tylko odgradzona pozostała obora, której dla gości opróżniać nie potrzebowano. Mieli więc w sąsiedztwie krowy i woły, parę młodych koników, które łby ciekawie wystawiały z za płotka i beczącą trzódkę czarnych owiec.

O tej niedogodności potrzeba było zapomnieć i nie zważać na nią. Ksiądz Antoniusz znajdował uśmiechając się, iż to przypominało stajenkę w Betleemie. Dla Semka i dla księdza posłano siana, a Kaukis z drugiej numy, do której skryły się kobiety, i zdala dzwonki fartuszków dziewczęcych, a śmiech ich słychać było, przyniósł na wieczrę mleko, sér, chleb czarny, wędzone mięso i miód w plastrze.

Wszystko to bardzo podróżnym smakowało. Gospodarz, który tylko z Kaukiszem i Wiżunasem mógł się rozmówić, pokłoniwszy się gościom, pomógłszy im postawić konie, skrył się do drugiej chaty.

Tam wrzawliwie a ochoczo przyjmowano u ogniska, około którego cisnęło się wszystko, dwóch Litwinów z obcych krajów, z niewoli powracających jakby cudem.

Kaukis, niemowa w Płocku, tu z radości odzywał głos, mówił wyraźnie, a Wiżunasowi często już potrzebnych słów litewskich brakło. Rozpytywano się ich o te sąsiednie chrześcijańskie kraje Lachów i Rusi, o których chodziły tu równie potworne opowiadania, jak gdzieindziej o Litwie.

Niewiasty przysłaniając się białemi fartuchami, obwijając namitkami, z bojaźnią patrząc na tych Litwinów obcych, przysłuchiwały się z kątów powie-

ściom i wykrzykiwały z podziwu nad tem, co Wiżunas opowiadał.

Cała tam noc spłynęła na gwarze, a Kaukis sobie u dziewcząt wyprosił, aby mu co zaśpiewały. Pamiętał nawet początek jakiejś piosenki, którą usłyszawszy zanuconą, rzewnie zapłakał.

Wiżunas śmiał się, temu dusza się radowała. Miał przed sobą nadzieję powrotu, gdy starszy sierota, mógł tu się przywlec tylko na cmentarze i mogiły.

Nazajutrz rano Semko pierwszy dał znak do dalszego pochodu, a gdy ruszać mieli i gospodarz ich żegnał, podarkiem pieniężnym chciał, zawdzięczyć gościnę, ale go Litwin nie przyjął.

Kaukis miał tu czas rozpytać tak dobrze o dalszą do Wilna drogę lasami, pomijając drogi, iż pozostała część podróży znacznie skróconą i ułatwioną została. Śmielej też, wedle danych wskazówek mógł prowadzić, odżywiony tym noclegiem, który go odmłodził i pokrzepił. Wiżunas już nie śmiał się z niego.

W miarę jak się ku Wilnu zbliżali, niecierpliwość w Semku rosła.

Zdawało mu się to łatwem, co teraz prawie niepodobnem uznawał.

Kto wie jak go miał przyjąć Jagiełło, a nawet, czy często na Ruś lub przeciw Krzyżaków wychodzącego, zastać mieli w domu.

Ważył Semko wiele i trapił się myślami. Ostatniego dnia, gdy Kaukis zapowiedział, że już byli blisko stolicy, zatrzymano się w lesie, ażeby w dzień białe nie wjeżdżać do miasta.

Brat Antoniusz, który czas jakiś, spędził tu w klasztorze swojego zakonu, uspokajał tem, że się on właśnie znajdował w stronie od Trok, to jest z kąd przybywali, i że aby się dostać do niego, przedmieść nie było potrzeba przebywać.

Dzień był jeszcze wielki, gdy na wzgórzu nad rzeką rozłożono się dla wypoczynku. Semko rad był, że się już zbliżał do celu. Rozpalono małe ognisko

ludzie się końmi zajęli, gdy w niewielkiej odległości dał się słyszeć róg myśliwski.

Zerwali się wszyscy przestraszeni, gdyż bardzo być mogło, iż w łowach rozmiłowany Jagiełło sam w pobliżu miasta połował. Spotkanie z nim nieprzygotowane, Semkowi na rękę nie było; natychmiast więc dał znać ażeby ogień zgaszono i konie dawano, chcąc się skryć w głąb lasu.

Pośpiesznie biegła czeladź kielznać i juki klasć pozdejmowane na grzbiety koni, gdy trąbka po raz drugi bliżej jeszcze się słyszeć dała.

Jeden spokojnie się modlący brat Antoniusz, najmniejszej nie okazał obawy. Semko zbiegł sam po konia, inni głowy potraciwszy płatali się śpiesząc i przeszkadzając jedni drugim, gdy z gąszczy na małym koniu wystąpił lat średnich, poważny mężczyzna, i stanął, równie osłupiały widokiem niespodzianych jakichś obcych ludzi, jak oni przerażeni byli ukazaniem się jego.

Chwilę panowało milczenie, miano czas na wzajem się sobie przypatrzyć. Mężczyzna, który wyjechał z lasu, wcale nie miał dzikiej ani też zbyt pańskiej powierzchowności. Wyglądał bardziej na zamężnego knpca lub mieszczanina, a w stroju jedna tylko czapka Litwina przypominała.

Kożuch pokryty suknem jasnym, na nogach buty niemieckiego kroju, z nosami, trąbka przez plecy, mały miecz u boku, żadnego zresztą oręża nie miał przy sobie, trudno było odgadnąć kim mógł być.

Kaukis i Wiżnnas, na pierwsze spojrzenie poznali że Litwinem nie był. Semko się domyślał w nim Niemca, a brat Antoniusz wlepiwszy oczy zdawał się widokiem jego przyjemnie zdumiony.

Twarz zwolna ku gromadce podróżnych zbliżającego się mężczyzny, wiekiem już nieco pomarszczona, ale czerstwa i świeża, nderzała wyrazem przebiegłości i roztumu. Nic w niej namiętnego, dumnego nie było, choć na energii i pewności siebie nie bra-

kło. Nie musiał tu być obcym, gdyż obracał się śmiało, i tak jakby miał prawo spytać postrzeżonych, co oni tu robili i z czym przybywali — podjeżdżał ku nim.

Semko stał przy swoim koniu, dając znaki bratu Antoniuszowi, aby on pierwszy rozmówił się z przybywającym. Tymczasem nieznajomy okiem bystrem rozpytywał się w ludziach, ubiorach, nbrojeniu, i na twarzy jego coraz większe malowało się zdumienie.

Antoniusz, nie czekając aby go zagadnął, cichym głosem, ale śmiało, odezwał się z ukłonem, ręką go witając — po łacinie.

— *Laudetur Jesus Christus!*

Nicrychło, obejrzawszy się dokoła, z pewnem wahaniem, siedzący na koniu, odpowiedział:

— *In saecula saeculorum.*

Dodało to odwagi Semkowi, który z za konia wystąpił. Zabierał się pozdrowić też nieznajomego, ale się zawahał nie wiedząc, jakim doń przemówić językiem.

Tymczasem przybyły z wolna zsiadł z konia i postąpił kilka kroków.

— Zkąd jedziecie? spytał po niemiecku.

Język ten Semkowi i bratu Antoniuszowi nie był obcym — ale zdziwił księcia mocno, niepojmującego z kąd Niemiec wziął się tutaj.

Kaukis i Wiżunas z widoczną trwogą, nierozumiejąc co się stało, lękając się kary, schowali się za drzewo.

— Jeżeli się nie mylę, a przypominam dobrze — odezwał się zakonnik, — nie kim innym jesteście tylko starostą Hawnulem?

Na twarzy nieznajomego chwilowe zdziwienie rozplynęło się w uśmiech.

— Tak jest — rzekł — jeśliście może nie poznali, to trafnieście odgadli.

— Mnie pan Bóg dał odgadnąć, a was — odparł

zakonnik — opatrnością swoją zesłał tutaj. Większe nas szczęście spotkać nie mogło.

Nazwany Hawnulem, przystąpił śmieiej, z zajęciem i życzliwością wpatrując się w Semka i mnicha.

Brat Antoniusz, widząc że książę namyśla się jeszcze co począć, pierwszy się odezwał.

— Jadąc tu, mieliśmy miłość waszą na myśli, bylibyśmy się do niej jutro pewnie przez ojca przełożonego zgłosili.

— Należycie do zakonu Św. Franciszka? — zapytał Hawnul.

— Tak, jestem najgodniejszym z dzieci Patriarchy naszego — rzekł Antoniusz.

Wzrok Niemca nie schodził z Semka, który pięknoscią swą, postawą szlachetną i choć skromnem ale kosztownem ubraniem i uzbrojeniem okazywał, że nie był pospolitego stanu człowiekiem.

— Tak, sam Bóg miłosierny was tu zesłał — dodał zakonnik — ale może nas tu i kto inny złapać, kogobyśmy dziś widzieć nie radzi!

Hawnul potrząsnął głową.

— Nie sędzę — rzekł. — Nasz wielki książę tak blisko niasta łowów nie lubi, bo zwierz w lasach tych przepłoszony, a młodszy brat pański musiał się gdzieś zapędzić daleko, gdy na moją trąbkę nie odpowiedział.

Semko, namyśliwszy się, podszedł do Hawnula a choć bardzo uprzejmym być chciał i stanu swojego nie życzył zdradzić, obejście się jego tak jawnie okazywało człowieka do rozkazywania nawykłego, iż Hawnul mimowolnie pierwszy mu się pokłonił. Książętko w nim widać było.

— Dowiedzie się kto jestem — rzekł cicho — gdy tego będzie potrzeba, lecz nie idzie o osobę moją. Ja posłem tu tylko jestem i w ważnej przybywam sprawie. Nikt lepiej pewnie nad starostę Hawnula, który jest powiernikiem i pierwszym Jagielly urzędnikiem,

nie osądzi, czy z tą sprawą mamy jechać do Wilna, lub bodaj na powrót domu.

Hawnulowi pochlebiło to może, iż wpływ jego był znanym — skłonił głową i rzekł.

— Mówcie miłość wasza otwarcie, proszę. Jestem chrześcianinem, choć księżęciu litewskiemu służę, chrześciańskim panom dobrze życzę i o to się staram tylko, abym pana mojego do nich mógł zaliczyć.

Semko przysunął się bliżej i począł cicho.

— Przybywam w poselstwie tajnem od Witolda. Wiecie, że jest w rękach Krzyżaków, ale wytrwać z nimi nie może, ani chce pomagać do przelewania krwi własnych braci. Żąda zgody, sam się o nią Jagielle nastęcza. Z tem przybywam.

Hawnul słuchał z uwagą natężoną, ale trudno było odgadnąć, czy mu ta wiadomość radość sprawiła, czy niepokój. Nie odpowiadał nic długo.

— Gdyby kiedy księżęciu Witoldowi zaufać można — rzekł w końcu — wiadomość tę uważałbym za bardzo pomyślną i szczęśliwą. Wielki książę nasz, którego, Bóg da, wkrótce spodziewam się ujrzeć królem, potrzebuje pokoju. Taki wódz jak Witold, zdałby mu się wielce, ale czyż my jego nienasycone pragnienia potrafimy zaspokoić?

Semko zamruczał niewyraźnie, iż Witold zdawał mu się skruszonym i do wszelkich ofiar gotowym.

— Jagiełło ma żal wielki do niego — dodał Hawnul. — Rozgłoszono, nie bez wiadomości Witoldowej, że pan mój winien jest śmierci Kiejstuta. Uczyniono go w oczach świata mordercą stryja. Po wszystkich ziemiach wieść tę roznesiono.

— Pojednanie się syna z Jagiełłą będzie najlepszym dowodem, że ona jest fałszywą — odparł Semko. — Jeżeli sądzicie, że w sprawie tej uczynić coś można, pomóżcie nam. Ja jestem bratem młodszym Janusza, szwagra Witoldowego, siedzę na Płocku, Semkiem mnie zowią.

Hawnul pokłonił się powtórnie i zamyślił.

— Sprobować potrzeba, ażali się nam nie uda Jagiełłę ułagodzić—rzekł.—Ja będę się starał przygotować go. Nim to nastąpi, książę dziś do zmroku (gdyż nie potrzeba, abyś był widzianym zawczasu) zajedziesz do klasztoru mnichów św. Franciszka. Dam mu znać co czynić przypadnie. O wygodach waszych i ludzi pamiętać będę, a sam was przeprowadzę do moich zakonników. Ciasno tam u nich i gospoda nie taka, jakaby księciu przystała, ale przebadzcie w niej, dopóki rzeczy się nie wyjaśnią.

— Jagiełło—odezwał się Semko—i do mnie żal ma, wrogiem mnie zowie. Nie wiem więc jak przyjmie. Rad podam rękę do zgody.

— O tę łatwiej będzie niż z Witoldem—przerwał Hawnul. — Dwóch panów na Litwie tak wielkiego ducha i siły, jak nasz i Witold, trudno aby z sobą żyli w pokoju.

Mnich stojący niedaleko, spostrzegłszy, iż się rozmowa przerywała na chwilę, zwrócił się do Hawnula.

— Miłościwy panie Wileński—rzekł—my już teraz na łasce waszej jesteśmy. Zatem kiernj i rozkazuj, kiedy wyruszyć ztąd mamy.

Starosta popatrzył na niebo, a potem na znużone konie podróżnych.

— Nie chciałbym—odezwał się—abyście zawczasie wjeżdżając oczy zwrócili na siebie. Gdy konie wytchną, pociągniemy powoli, aby stanąć o mroku.

Rozłożono wojsła na ziemi. Semko dobyć kazał ostatek podróżnych zapasów i zapraszał na nie gościa. Ten jednak zbyt był niespodzianem spotkaniem i wiadomościami poruszony, aby o głodzie i pragnieniu pamiętać. Przyjął kubek i siedział zamyślony.

— Powiedźcie szczerze—zapytał Semko.—Sądziecie, że Jagiełło da się skłonić do pojednania?

— Byćby to mogło—mówił Hawnul—przy Bożej pomocy; ale na to potrzeba szczęśliwej chwili i ba-

cznego z niej korzystania. Mściwym Jagiełło nie jest, lecz życie nauczyło go ostrożności wielkiej. Nie ufa łatwo nikomu, podejrzawać jest skłonny. Ani dziwić się temu, otoczony nieprzyjaciołmi, tyle mając przykładów zdrady, nawet najbliższym z rodziny ufać nie może. Witolda się obawia.

Brat Antoniusz stał przy nich.

— Wasza miłość—wtracił—wiele możesz u niego, przywiedź do zgody. Pokój na Litwie da ci dopiąć tego, czego pragniesz, a ku czemu, jak sądzę, Bóg cię zesłał. Łacniej naówczas przywiedziesz ich do przyjęcia chrztu i wyzwolenia tego kraju z więzów szatana.

Hawnul westchnął.

— Prawdą jest — odparł — że mam dosyć łaski u Jagiełły, że mi ufa i mną się posługuje. Lecz i to pewna, że dosyć byłoby najmniejszego podejrzenia, cienia jednego, abym wiarę wszelką postradał.

Cud to szczególny, że ja, Niemiec rodem, człek mały, którym się tego nigdy nie spodziewałem, potrafiłem pozyskać jego względy. Jak się to stało?.. wytłumaczyć nawet nie potrafię.

Przybyłem po raz pierwszy na Litwę jako kupiec, z towarem niemieckim z Rygi w obawie o mienie i życie, bo w krajach tych nikt, z najlepszymi listami, całkiem bezpiecznym nie jest. W miastach już lud pospolity więcej jest oswojony i ze znamieniem krzyża i z chrześcijanami; po wsiach, po lasach, kędy przeszedł miecz krzyżacki i ich okrucieństwo, dosyć chrześcijańskiego imienia, aby życia pewnym nie być.

Z małą kupią, z żelastwem i mosiędзем, dostałem się do Wilna. Zaprowadzono mnie na zamek do księżnej matki, starej Julianny, którą tu królową zowią. Tam, gdy mój towar rozkładałem, wszedł niespodzianie Jagiełło. Na widok mój, poczuwszy Niemca, obcego człeka, cofnął się zaraz.

Księżna, która już wprzód mówiła ze mną, i wiedziała, że Krzyżaków nie cierpię, a nieprzyjacielem ich jestem, jak oni duchowieństwa naszego są wrogami; poszła syna uspokoić prosząc, aby piękny mój towar szedł zobaczyć.

Dał się skłonić do tego, choć widać było, z jaką obawą i nieufnością zbliżał się do mnie i do kupi, którą miałem z sobą. Obawiał się, aby noże i inne małe wyroby zatrute nie były. Kazał mi je wprzód na własnej skórze próbować.

Poczęła się niby rozmowa, w ciągu której więcej słuchał, niż mówił. Musiałem się po rusińsku tłumaczyć, bo niemieckiej mowy, choć zrozumiałej sobie, nie cierpi. Rozpytywał mnie o Krzyżaków, a ja skorzystałem z tego, malując ich tak jak znałem. Śmiał się i rad był. Zakupiono u mnie prawie wszystko co miałem, a księżę zażądał, abym mu się postarał o takie noże do łowów na dzikiego zwierza, o jakich słyszał, że je w Niemczech robiono, uprawując bogato.

Przyrzekłem przywieźć mu je, i w powtórnej podróży do Wilna, umyślnie przybyłem z niemi tylko. Tym razem jeszcze nie bardzo mi ufał, ale już przyjął lepiej. Zdarzyło się że niewolników krzyżackich przyprowadzono, których badać było potrzeba, do czego mnie zawołać kazał. Z pomocą Bożą dobrze mi się powiodło.

Za trzeciem przybyciem do Wilna, zażądał Jagiełło, abym się tu przeniósł i osiedlił. Ważyłem się i na to. Zwolna a nierychło zaskarbiłem sobie zaufanie, trndne do zdobycia. Trafiło się nieraz, że powziąwszy podejrzenie jakieś, micsiącami całemi nie zbliżał się, nie mówił do mnie. Dopiero po wielu dowodach wierności mojej i oddania się usługom jego, przyszło do tego, że mi i miasto w zarząd i kupców a cudzoziemców dozór powierzono, potem monetę

i podskarbstwo. Nakoniec i do innych spraw książę zażywać mnie zaczął.

Korzystałem z tego, aby przysposobić grunt, na któryby ziarno ewangelii nie padło na próżno. Czekam tylko chwili sposobnej. Jagiełło przygotowany jest, ale z rąk Krzyżaków chrzest przyjąć się wzdraga. Zna ich nadto i brzydzi się niemi.

Da-li Bóg, przywiodę do tego, że zasiądzie między monarchami chrześcijańskimi.

— Wszak ci matka jego, księżna Twerska, chrześcijanką jest?—rzekł Semko.

— Tak, ale Jagiełło na zachód patrzeć musi i przyjąć chrześcijaństwo zachodnie, rzymskie, bo inaczej Krzyżacy nigdy go nie uznają chrześcianinem i balwochwalcą zwać będą.

Mineły te czasy — dodał Hawnul — gdy na górze nad Wilnem krzyżowano braci św. Franciszka, dziś już miejski lud oswojony jest z obrzędami chrześcijańskimi i z chrześciany, których tu wiele z Rusi napływa. Wszyscy wiedzą, że w tym samym klasztorze, z którego męczenników pochwycono, nowi ich bracia nieustraszeni mieszkają i Boga chwalą. Przecież dziś są bezpieczni.

To mówiąc podniósł się Hawnul i ręce ku niebu wyciągnąwszy, zawołał z przejęciem serdecznem.

— Dożyję może chwili tej, gdy mi Bóg da ujrzeć nad Wilnem krzyże i posłyszeć dzwony wołające na modlitwę. Naówczes powiem z Symeonem, odpuść Pańie, sługę swego.

Brat Antoniusz słuchając, ręce złożył jak do modlitwy i szepnął cicho:

— Amen.

Hawnul ruszył z miejsca, było to znakiem, że w dalszą drogę puścić się mieli.

— A książę, z którym wyjechaliście na łowy? — zapytał Semko.

— Pomyśli, żem się zbłąkał — odparł Hawnul —

szukać mnie i zbyt się troszczyć nie będzie, boć wie, że sobie dam radę.

Czeladź na znak dany, natychmiast konie przysposabiać zaczęła, Hawnul siadł na swego, i nie potrzebując już Kaukisa, puścili się ku Wilnu za dnia jeszcze, lasami, wśród których urzędnik Jagielly, okazał się dobrze dróg świadomym.

Na rozmowach o Polsce i Krzyżakach, których Hawnul był nieprzyjacielem, zeszła podróż do wieczora. Stary zakonnik opodał jadąc, różaniec swój przebierał.

Mrok był już gęsty, gdy wyjechawszy z puszczy nrzeli dolinę, po nad którą we mgłach wieczora, załedwie dojrzeć było można górnego zamku Wileńskiego i u stóp jego, murami opasanego grodu. Z małych domostw, drewnianych, gęsto ściśniętych złożone, szeroko pod nim rozścielały się przedmieścia.

Każdej wojny i napaści niemal, padały one ofarą. Lud w części na zamki się chronił, często do lasów rozbiegał, nieprzyjaciół palił domostwa, a załedwie odstąpił, jak grzyby wyrastały one znowu na zgłiszczach.

Były to raczej szałas y i drewniane namioty a obozowisko niż miasto. Bardzo niewiele budowli wśród nich, dachami lub ścianami górowało.

W chwili tej jeden ogromny obłok dymu i wozów leżał nad Wilnem całem, kołysząc się jak fala, niekiedy za powiewem wiatru odsłaniając światelka i ogniki.

Niezmierna ilość ścieżek i drożynek wiodła ku lasom, z których codziennie drzewo na opał wożono. Ubodzy tylko ludzie, którzy koni nie mieli, na plecach dźwigając gałęzie ścięte, wlekli je do chat opóźnieni. Szczekanie mnóstwa psów dochodziło zdaleka.

Hawnul chciał ich sam doprowadzić do bramy klasztornej, lecz brat Antoniusz wyręczył go, podejmując się tego.

— Spoczywajcie — rzekł Hawnul — jutro do księcia, a ja tymczasem będę wam drogi trzebił... Jeżeli się przekonam, że Jagiełło do zgody namówić się nie da, narażać was nie będę.

Semko wspomniał teraz o pierścieniu Julianny, niegdyś danym Birucie, który mu na znak Witold powierzył, i powiedział o nim Hawnulowi.

— Być może — odparł po namyśle starosta — że i on pomoże do utorowania wam drogi, naprzód do Juliany, a przez nią do Jagiełły.

Ciemno już było i od śniegów tylko mały odbłask drogę wskazywał, gdy rozstawszy się ze starostą, zwrócili ku klasztorowi.

— Konwent z kościołkiem, na którym krzyża nie było, chociaż stał na kraju przedmieścia, nie ostatnią był budową w pustem polu. Otaczały go drewniane domki i szopy, w których się łatwo było domyślać nawróconych już chrześcian, ciskających się bliżej ku swej starszysznie i świątyni. W istocie znaczniejsza część tych chat do chrześcian należała.

Nie śmieli oni jeszcze jawnie się uznawać niemi, wielu z nich dwie razem zmięszane wyznawało wiary, a w rzeczy żadnej, ale folgowano im w początkach, bo inaczej nawracać nie było podobna. Chrześcianie ci nowi chodzili ze strachu na dolinę Swentoroha, do ołtarza Perkunasa, a potem przekradali do kościołka i spowiadali się ze swej słabości.

Małemi uliczkami wśród płotów i chat, dostali się wreszcie podróżni do wysokiego częstokołu, opasującego plac dosyć rozległy.

Parkan był tak wysoki, iż po za nim nie widać nie było, nikły nawet dachy budowli wewnątrz stojących.

Brat Antoniusz trafił do furty i zaczął pukać do niej potrzykroć każdy raz, trzy razy. Czekali potem.

Wewnątrz słychać było chód ostrożny.

Zapukano w ten sam sposób raz wtóry, a po przestanku raz jeszcze.

Naówczas głos się odezwał wewnątrz, na który Antoniusz ze wzruszeniem odpowiedział:

— Laudetur Christus!

Zaczęto odryglowywać furtę, błysnęło światło zewnątrz. Po nad wysokim parkanem okazała się głowa zakapturzona, rozpatrująca się w przybyłych. Następnie otwarto wrota i wpuszczono naprzód tylko starego zakonnika.

Wszystkie te ostrożności nie były zbytecznymi. Franciszkanie czuli się tu wśród wrogów, musieli czuwać pilno. Podstępem mogli napaść ich poganie, równie przez chciwość, jak nienawiść.

Starczyło kilka słów brata Antoniusza, aby natychmiast księcia z orszakem jego wpuszczono.

Zakapturzony mnich w sile wieku, krzepki i rzeźwy, ojciec Paweł, przełożony, wyszedł na spotkanie mazowieckiego księcia.

Cała ta posiadłość ojców niepodobną była do tego, czem są dzisiejsze klasztory. Kościółka wśród innych budowli skrytego, odróżnić od nich nie było podobna. Żadnego godła chrześcijańskiego na widok nie ważono się wystawiać, aby poganie dostrzegli go, nie znieważyli.

Klasztor był długim budynkiem, najprostszego pierwotnego kształtu, ogromną chatą z bierwion sosnowych, z małąkami, kłapami zamkniętymi okienkami.

Po nad dachem, słomą nakrytym, plecione sterczały dymniki.

Częstokroć, przy lada jakim zburzeniu ludu, zmuszeni po kilka dni zamykać się w swej zagrodzie. Franciszkanie trzymali tu i małą trzódkę owiec dla mleka, i krów parę. Wielkie szopy pod parkanami zawierały zapasy siana, zboża nawet, które sami młócić musieli i żarna, w których sobie razową mąkę mielono. W pośrodku była studnia, aby wody

od sąsiadów nie potrzebować, a dalej klasztorna łaźnia.

Pomimo wielkiego ubóstwa tej pierwszej kolonii chrześcijańskiej w Wilnie, nie zbywało tej chacie klasztornej na foresterii dla gości.

Chronili się tu często przejezdni lub ścigani chrześcianie, którym przytulku nie godziło się odmawiać, choćby gościnność ta groziła klasztorowi pomstą i prześladowaniem.

Ojciec Paweł powitawszy mazowieckiego księcia, poprowadził go do przestronnej izby gościunej, tak ubogo opatrzonej jak klasztor cały. Wązkich stołów para, ławy przy ścianach, które razem za łoża na noc służyć musiały, wizerunek niewielki Chrystusa na ścianie, u drzwi gliniane naczynko z wodą święconą, ognisko w pośrodku, teraz wygasłe, to było wszystko, czem izba mogła służyć księciu.

— Radziłyśmy was, dostojny panie—odezwiał się przelożony—przyjąć jak najlepiej, ale ubóstwo nasze nie pozwala. Myśmy na nie ślubowali, a tu nam łatwo dochować przysięg, bośmy w kraju pogańskim i ledwie cierpiani przybysze. Jutro jednak, spodziewam się, gdy Hawnuł wie o przybyciu miłości waszej, iż się postara o to, by potrzeby zaspokojone były.

O. Paweł o tem ubóstwie swem i położeniu mówił z uśmiechem dobrodusznym na ustach z pogodą na twarzy i spokojem, jaki daje ofiara dobrowolna żywota za wiarę.

Dwaj za nim stojący ojcowie, z których jeden Litwinem był, równie jak brat Antoniusz, oblicza mieli wesołe synów prawych świętego Franciszka, którym każde cierpienie ducha rozpromienia.

— Ognia każemy napalić, ryby zgotować, chleb jest i piwo nasze klasztorne. Bądź wasza książęca mość pozdrowionym, spoczywaj i przebacz — dodał O. Paweł.

Po nużającej podróży, to co ubogi klasztor mógł

księciu Semkowi ofiarować, wydało się aż nadto wystarczającym.

Pobożny, jak wszyscy wówczas, zażądał tylko, aby mógł naprzód do kościółka pójść podziękować Bogu, iż go tu calo doprowadził. O. Paweł i brat Antoniusz towarzyszyli mu.

W podwórku wewnętrznym, opasany zewsząd budowlami stał maleńki kościółek, drewniany, na podmurowaniu z polnych kamieni. Bocznymi drzwiami przez zakrystykę weszli do niego.

Ołtarz drewniany stał w pośrodku, dzieląc budowlę na dwoje, po za nim znajdował się chór dla mnichów, szczupły jak ich liczba... Sam kościółek niewiele większy, starczył dla małej chrześcian gromadki, czysty był ale nieozdobny.

Wszystko co go przystrajało, własnymi rękami mnichów było wyrobionem z drzewa i kory, ale z tą miłością i staraniem pobożnym, które najprostszemu wyrobowi nadaje pieszczone oblicze.

Lampa od stropu zwieszona, paliła się przed ołtarzem. Kłękli tu wszyscy na modlitwę. Brat Antoniusz odmówił ją półgłosem, całując ziemię z gorącością wielką, stęsknionego za bożym domem zakonnika. Semko też pochylił się ręce rozkrzyżowawszy, prosząc Boga o opiekę nad sobą i niepewnymi losami swego poselstwa.

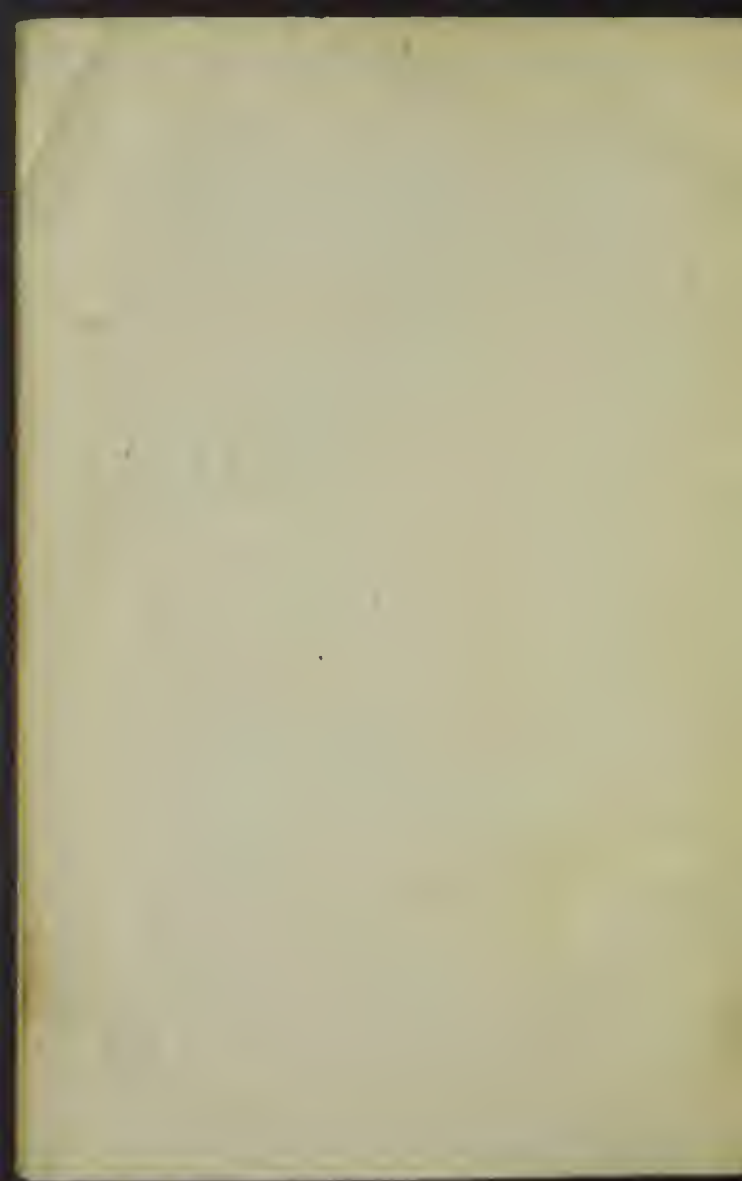
Mimowolnie myśl jego przeniosła się ku Polsce, wspomniął koronę, którą mu obiecywano i westchnął do Boga, lecz gdy oczy podniósł ku krzyżowi, szukając w nim jakiej wróżby przyszłości swej, lampa przed ołtarzem prysnęła światłem wielkiem i nagle zagasła.

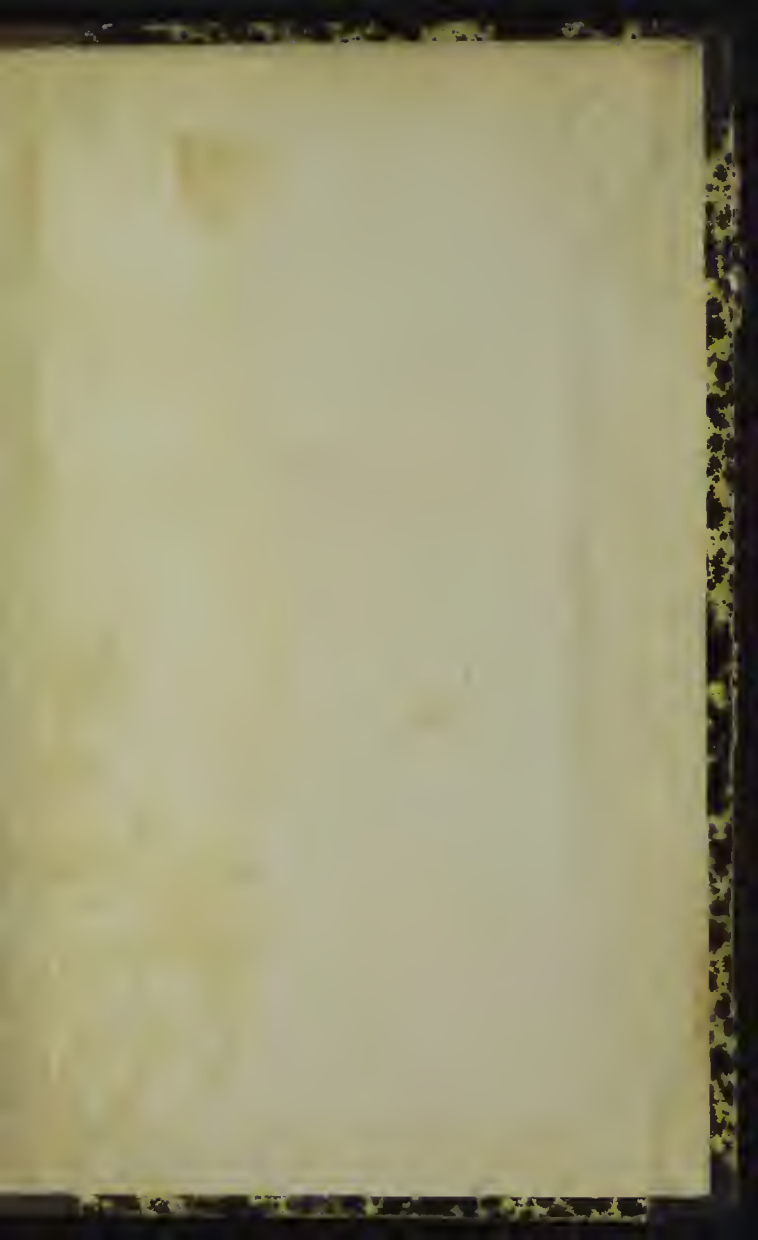
KONIEC TOMU PIERWSZEGO.











Biblioteka Raczyńskich

JK 352



JK0352